

BIULETYN IPN

nr 4-5/2012

pamięć POL

Spory historyków: Czy PRL była Polską?

Oblawa augustowska – „mały Katyń”

Wołyński konflikt pamięci

**– rozmowa
z dr. hab. Grzegorzem Motyką**

Cena 9 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 9500 egz.

**Dodatek specjalny:
fałszywa
„Trybuna Ludu”
z 1979 roku**



**3 AKTUALNOŚCI IPN****4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Maciej Rosalak, **Zwykła przepustka do historii****10** Antoni Dudek, **Pobożne życzenia****STOPKLATKA****11** Jacek Sawicki, **Powązki powstańcze****WYWIAD****14** **Wołyński konflikt pamięci** rozmowa z dr. hab. Grzegorzem Motyką**19** **Naukowcy w służbie III Rzeszy** rozmowa z twórcami wystawy „Nauka. Planowanie. Wypędzenia”**Z ARCHIWUM IPN****22** Grzegorz Wolk, **Sprawa Operacyjnego Sprawdzenia****SPORY HISTORYKÓW****24** Andrzej Zawistowski, **Polska (?) Rzeczpospolita Ludowa****28** Jerzy Eisler, **Polska „ludowa”, ale polska****WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****33** Daniel Koreś, **Mistrzowie ze stajni Prąglowskiego****38** Przemysław Wywiół, **75 lat kopca Piłsudskiego na Sowińcu****42** Sergiusz Kazimierczuk, **Na „śmietniku Moskwy”. Deportacje Polaków do Kazachstanu****46** Maciej Żuczkowski, **Wywiad Armii Krajowej****50** Szymon Nowak, **Nie strzelali do Polaków****54** Anna Pyżewska, **Pogrom w Jedwabnem**

Fot. ze zbiorów Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego



Fot. Ośrodek KARTA



Fot.: G. Motyka



Fot. AIPN

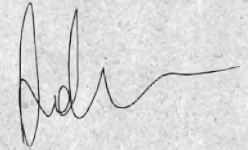
57 Łukasz Czepulkowski, **Zobaczyć Micka Jaggera. The Rolling Stones w PRL****61** Daniel Wicenty, **„Gierek do dymisji, Wojtyła królem Polski”****65** Grzegorz Majchrzak, **Kibice, przemytnicy, handlarze****69** Patryk Pleskot, **Życie szpiega w obrazach. Fotograficzna historia agenta CIA w Polsce****Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO****72** Anna Pyżewska, **Nie pozostał żaden ślad****77** Karol Nawrocki, **Bunt w Kwidzynie****PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU****80** Jerzy Eisler, **Tam i z powrotem****Z BRONIĄ W RĘKĘ****83** Michał Mackiewicz, **Granatniki z „Jajczarni”****ORZEŁ BIAŁY****86** Tomasz Zawistowski, **Orły Wojska Polskiego we Wschodniej Rosji i na Syberii****MIEJSCA Z HISTORIĄ****90** Tomasz Stańczyk, **Największa polska bitwa I wojny światowej****EDUKACJA HISTORYCZNA****93** Milena Bykowska, Andrzej Ossowski, **Z pomocą DNA****96** **Historia na planszy** Bogusław Kleszczyński, **Od Kijowa po Warszawę, czyli cała wojna w jednym pudełku****98 LISTY DO REDAKCJI****STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI****100** Instytut Pamięci Narodu**101 RECENZJE****104 BIBLIOTEKA IPN****PROSTO Z NAJWESELSZEGO BARAKU****105** **Historię piszą zwycięzcy...**

Szanowni Czytelnicy!

W ciągu ostatnich dwustu pięćdziesięciu lat Rzeczpospolita była w pełni niepodległa zaledwie przez cztery dekady. W czasach zaborów, rządów obcych władców, narzuconych konstytucji, okupacji i niepełnej państwowości Polska zawsze w jakiejś formie istniała, choć czasem nie na mapie, ale tylko w sercach Polaków. W tym numerze „Pamięci.pl” w dziale „Spory historyków” dyskusję o tym, czy Polska Rzeczpospolita Ludowa była Polską, o różnych stopniach suwerenności, prowadzą prof. Jerzy Eisler i dr Andrzej Zawistowski. W sytuacji odebranej niepodległości nie o wszystkich swych działaniach Polacy mogli decydować sami. Przykład mordu w Jedwabnem, o którego rocznicy przypomina Anna Pyżewska, pokazuje, że kierowni, zastraszeni i podjudzeni przez obcą siłę obywateli polscy są w stanie dopuścić się największego zła na współobywatelach, sąsiadach. Z kolei zbrodnia z 1945 roku, która przeszła do historii pod nazwą oblawy augustowskiej, pokazuje, jak daleko we współpracy z okupantem może

się posunąć kolaboracyjna władza, by zniewolić własny (?) naród. W numerze przypominamy także o ludobójstwie Polaków na Wołyniu. Profesor Grzegorz Motyka w rozmowie redakcyjnej wskazuje na ogrom ofiar, ale również na przyczyny konfliktu polsko-ukraińskiego, który na płaszczyźnie historiografii i pamięci ujawnia się także dziś. W numerze lipcowo-sierpniowym nie mogło zabraknąć tematu Powstania Warszawskiego: Szymon Nowak omawia rolę „naszych bratanków” Węgrów, jaką odegrali podczas zrywu stolicy, a Michał Mackiewicz w dziale bronioznawczym opisuje improwizowany, ale bardzo skuteczny granatnik wyprodukowany w konspiracyjnej fabryce. Daniel Koreś przypomina o momentach chwały polskiego jeździectwa sportowego w II RP, a Grzegorz Majchrzak opowiada, jak SB śledziła polskich kibiców podczas olimpiady w Moskwie. Ponadto losy Polaków w Kazachstanie, sukcesy wywiadu Armii Krajowej, Rolling Stonesi w PRL, historia fałszywej „Trybuny Ludu”, bunt w kwidzyńskim ośrodku internowania... Jednym słowem: numer podwójny.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Naukowa:
dr hab. Grzegorz Berendt,
dr hab. Krzysztof Szwaagrzyk,
dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski,
dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak,
dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Kolegium redakcyjne:
Dawid Golik, Agnieszka Jaczyńska,
dr Andrzej Krajewski, Jan Olszok,
Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka,
Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. (22) 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)
Maciej Foks, Filip Gańczak, Andrzej Sujka

Korekta:
Magdalena Baj, Anna Kaniewska

Projekt graficzny:
Krzysztof Findziński, Marcin Koc,
Sylwia Szafrąńska

Redakcja techniczna:
Andrzej Broniak

Skład i łamanie:
Sylwia Szafrąńska, Marcin Koc
Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Drukarnia Edit Sp. z o.o.
ul. Inwalidów Wojennych 14, 05-400 Otwock

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

Z Kazimierzem Piechowskim o ucieczce z Auschwitz

W 1942 roku doszło do jednej z najbardziej zuchwałych ucieczek w historii niemieckich obozów koncentracyjnych i zagłady. Czterech więźniowie Auschwitz, w tym jeden duchowny, przebrani w mundury SS, uzbrojeni, wyjechali poza teren obozu samochodem osobowym marki Steyr 220, będącym w dyspozycji władz obozowych. Jak do tego doszło? Kto poniósł za to konsekwencje? Jakie były dalsze losy uciekinierów? O tym m.in. w rozmowie z Kazimierzem Piechowskim, uczestnikiem tamtych wydarzeń.



Fot. M. Foks

Kłamstwo kartograficzne

W okresie PRL o treści map i planów miast nie decydowały wiedza i doświadczenie kartografów, lecz wytyczne cenzury – pisze Beata Konopska. Pod pretekstem ochrony tajemnicy wojskowej i bezpieczeństwa państwa z map znikaly tory i bocznicie kolejowe, zakłady przemysłowe czy lotniska. Brakowało skali, siatki kartograficznej, a nawet charakterystycznych punktów topograficznych, ułatwiających orientację w terenie. Turyści byli skazani na mapy przedwojenne, pomoc miejscowej ludności lub korzystanie z dobrze oznakowanych szlaków.



Zapraszamy na naszą stronę internetową: www.pamiec.pl

■ Do sprzedaży trafiła **międzynarodowa edycja gry planszowej „Kolejka”**. W pudełku obok polskich kart znalazły się także zestawy do gry po angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i japońsku. Prezentacja nowego wydania odbyła się 28 czerwca w warszawskim Centrum Edukacyjnym „Przystanek Historia” im. Janusza Kurtyki. Karol Madaj, twórca „Kolejki” i zarazem pracownik pionu edukacyjnego IPN, przypomniał, że uzyskała ona tytuł Gry Roku 2012. Madaj ma nadzieję, że gra „jednym opowie, a innym przypomni, jak to kiedyś w Polsce było”. „Kolejka” przybliży realia życia codziennego w latach schyłkowego PRL. Ideą jest pokazanie mechanizmów komunistycznej ekonomii niedoboru – mówić w trakcie promocji dr Łukasz Kamiński, prezes IPN. Wydanie międzynarodowe to odpowiedź IPN na ogromne zainteresowanie grą w wielu krajach. Reportaż na jej temat wyemitowała nawet japońska telewizja NHK.

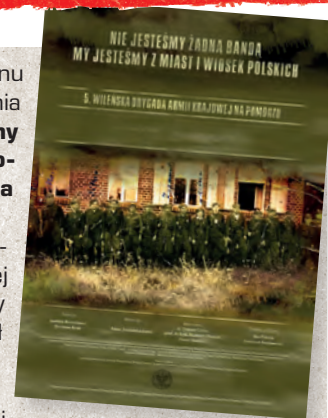


Fot. K. Hołopiak

■ Na tzw. Łączce na Powązkach Wojskowych w **Warszawie** ruszyły **prace ekshumacyjne**, prowadzone pod nadzorem IPN i finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. W okresie stalinowskim bezimiennie chowano tu ofiary komunistycznego aparatu represji. Najczęściej byli to żołnierze Polski Podziemnej, przetrzymywani w więzieniu na Mokotowie. Przyjmuje się, że „na Łączce” spoczęły w latach 1948–1954 co najmniej 284 osoby, w tym m.in. gen. August Emil Fieldorf „Nil” – dowódca Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej – i rtm. Witold Pilecki, dobrowolny więzień Auschwitz. Już w pierwszych dniach prac ekshumacyjnych udało się odnaleźć jamy grobowe i ludzkie szczątki. W najbliższych miesiącach tożsamość ofiar będzie ustalana m.in. w toku badań genetycznych. Działania podjęte na Cmentarzu Powązkowskim to wynik porozumienia zawartego pomiędzy IPN, Ministerstwem Sprawiedliwości oraz Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Realizowane są pod kierunkiem dr. hab. Krzysztofa Szważyka w ramach ogólnopolskiego projektu badawczego „Poszukiwania nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956”.

■ W Centrum Edukacji i Promocji Regionu w **Szymbarku** (woj. pomorskie) do 27 sierpnia prezentowana jest wystawa **„Nie jesteśmy żadną bandą. My jesteśmy z miast i wiosek polskich. 5. Wileńska Brygada AK na Pomorzu”**.

Chodzi o słynną brygadę mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” (1910–1951), w której szeregach był m.in. Leon Lech Beynar, znany później pod pseudonimem literackim Paweł Jasienica. Początkowo ludzie „Łupaszki” prowadzili głównie akcje przeciwko oddziałom niemieckim. Później podjęli walkę z Sowietami. Z Wileńszczyzny przebili się na Podlasie, a od 1945 roku działali na Pomorzu. Akcje prowadzone przez oddziały „Łupaszki” cechowała brawura, skuteczność i szybkie działanie. Karę śmierci wymierzano żołnierzom Armii Czerwonej, funkcjonariuszom urzędów bezpieczeństwa, doradcom NKWD, działaczom Polskiej Partii Robotniczej i konfidentom. Wystawa, przygotowana przez gdański IPN, szczegółowo pokazuje bohaterską i tragiczną historię oddziału oraz sylwetki „Łupaszki” i jego podkomendnych.



■ Prezes IPN dr Łukasz Kamiński i przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Piotr Duda 31 sierpnia otworzą w **Gdańsku** plenerową wystawę **„Anna Walentynowicz – Legenda Solidarności 1929–2010”**.

Ekspozycja składa się z osiemnastu paneli, na których przedstawiono niezwykle życie Anny Walentynowicz. Już w grudniu 1970 roku wzięła ona udział w demonstracjach przed budynkiem KW PZPR w Gdańsku. W 1978 roku zaangażowała się w działalność Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Była rozpracowywana i nękana przez gdańską SB. Na krótko przed przejściem na emeryturę, 7 sierpnia 1980 roku, została zwolniona z pracy w stoczni. Wydarzenie to zapoczątkowało falę strajków, które doprowadziły do powstania NSZZ „Solidarność”. Walentynowicz włączyła się w działalność Solidarności, a w stanie wojennym była internowana. Później nadal była aktywna w opozycji i doświadczała represji. Sprzeciwiała się rozmowom z komunistycznymi władzami w ramach Okrągłego Stołu. W 2006 roku została odznaczona przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Orderem Orła Białego. Zginęła w katastrofie smoleńskiej. Wystawa czynna będzie do 19 września na skwerze między Aleją Grunwaldzką a ul. Waryńskiego – niedaleko budynku, w którym mieszkała Anna Walentynowicz.



oprac. Filip Gańczak

W związku z pracami archeologiczno-ekshumacyjnymi na Powązkach Wojskowych ich wykonawcy apelują do rodzin ofiar terroru komunistycznego o zgłaszanie się w celu pobrania materiału genetycznego. To niezbędny element procesu identyfikacji ofiar, których miejsce pochówku nie zostało do tej pory jednoznacznie ustalone. Można się zgłaszać do dr. hab. Krzysztofa Szważyka (tel. 604 853 825) lub dr. Andrzeja Ossowskiego (tel. 606 270 035).

Pobranie materiału genetycznego jest czynnością łatwą, szybką i bezbolesną. Polega na wykonaniu wymazu śliny z ust. 31 lipca takiej procedurze poddał się Andrzej Pilecki – syn rotmistrza Witolda Pileckiego, zamordowanego przez komunistów w 1948 roku.

POSTAĆ MIESIĄCA

Sierpień 1942: Janusz Korczak, znany pedagog i opiekun warszawskiego Domu Sierot, zginął zamordowany przez Niemców.

Korczak (właśc. Henryk Goldszmit) urodził się w 1878 lub 1879 roku w Warszawie. Pochodził ze spolonizowanej rodziny żydowskiej. Po studiach medycznych zrezygnował z założenia własnej rodziny, by poświęcić się pracy społecznej. W 1912 roku został dyrektorem żydowskiego Domu Sierot przy ul. Krochmalnej (obecnie ul. Jaktorowska) w Warszawie. Od połowy lat trzydziestych pod pseudonimem „Stary Doktor” wygłaszał pogadanki dla dzieci w Polskim Radiu. Był także autorem popularnych książek dla dzieci (m.in. *Król Maciuś Pierwszy*) i licznych prac pedagogicznych. Od początku II wojny światowej zabiegał o środki finansowe na utrzymanie Domu Sierot. Starał się też, by mimo dramatycznej sytuacji życie jego wychowanków płynęło przedwojennym rytmem. Jesienią 1940 roku Dom Sierot – jako instytucja żydowska – został przesiedlony do getta, Korczak zaś trafił na miesiąc do aresztu, ponieważ uchylał się od noszenia opaski z gwiazdą Dawida, nakazanej Żydom przez niemieckie władze okupacyjne. Odrzucił propozycje pomocy w opuszczeniu getta i ukryciu się. Na początku 1942 roku dodatkowo zaopiekował się zaniedbanym inter-



Fot. AIPN

▶ Janusz Korczak

natem dla sierot przy ul. Dzielnej. Od maja pisał *Pamiętnik*, dokumentujący tragiczną codzienność w getcie. 22 lipca 1942 roku, w dniu urodzin Korczaka, Niemcy rozpoczęli likwidację getta warszawskiego (*Großaktion Warschau*). 5 lub 6 sierpnia zamknięty został Dom Sierot. Do legendy przeszedł ostatni marsz Korczaka i jego wychowanków na Umschlagplatz, skąd odchodziły transporty do obozów zagłady. Korczak do końca utrzymywał dzieci w nieświadomości tego, co je czeka. Zginął w obozie w Treblince lub jeszcze w trakcie transportu. Uchwałą Sejmu rok 2012 został ustanowiony Rokiem Janusza Korczaka.■

9 lipca 1917: Żołnierze dawnej I i III Brygady Legionów Polskich odmówili złożenia przysięgi na wierne „braterstwo broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier”. Wydarzenie to przeszło do historii jako tzw. kryzys przysięgowy.

Legiony Polskie od 1914 roku walczyły w I wojnie światowej w ramach armii austro-węgierskiej. Mimo że latem 1917 roku sytuacja Austro-Węgier i sprzymierzonych z nimi Niemiec była bardzo trudna, państwa centralne nie były zainteresowane przyznaniem Polsce pełnej niepodległości. Niemcy zażądali od żołnierzy Legionów powtórnej przysięgi wierności i planowali wcielić ich do tworzonej pod swoim dowództwem Polskiej Siły Zbrojnej. W tej sytuacji Józef Piłsudski wezwał legionistów, by odmówili złożenia przysięgi. Większość posłuchała wezwania Komendanta. Przysięgę złożyło tylko ok. 60 oficerów i 1250 żołnierzy, w większości z II Brygady pod dowództwem gen. Józefa Hallera. Oficerowie, którzy odmówili złożenia przysięgi, zostali internowani w obozie w Szczypiornie koło Kalisza, podoficerowie i szeregowi zaś – w Benjaminowie pod Zegrzem. Ci, którzy posiadali obywatelstwo austriackie, zostali wcieleni do wojska Austro-Węgier. Piłsudski, a później także jego bliski współpracownik Kazimierz Sosnkowski zostali osadzeni w twierdzy w Magdeburgu. Zwolniono ich dopiero w listopadzie 1918 roku.■

▶ Legioniści internowani w Benjaminowie

2 lipca 1947: Sejm przyjął ustawy, na mocy których tereny byłych niemieckich obozów Auschwitz-Birkenau i Majdanek zostały uznane za pomniki „męczeństwa narodu polskiego i innych narodów”. Powołano Państwowe Muzeum Oświęcim-Brzezinka i Państwowe Muzeum na Majdanku, których zadaniem miało stać się gromadzenie dowodów zbrodni hitlerowskich, „udostępnianie ich społeczeństwu oraz naukowe ich opracowanie”. Nad działalnością obu muzeów czuwać miała ustanowiona tego samego dnia Rada Ochrony Pomników Męczeństwa.

W czasie II wojny światowej w Auschwitz-Birkenau zostało wymordowanych lub zmarło co najmniej 1,1 mln ludzi, głównie Żydów. Na lubelskim Majdanku – według najnowszych ostrożnych ustaleń – liczba ofiar sięgnęła niemal 80 tys., z czego prawie 60 tys. to Żydzi. Charakterystyczne, że w ustawach z 1947 roku nie ma ani słowa o ofiarach żydowskich. Mowa jest o obozach i zbrodniach hitlerowskich, a nie niemieckich.

Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu odwiedziło do dziś ponad 30 mln osób, w tym Jan Paweł II, Benedykt XVI, Dalajlama oraz wielu prezydentów i premierów z całego świata.■



Fot. AIPN

▶ Auschwitz – brama wejściowa do obozu



Fot. AIPN

16 lipca 1922: W Katowicach podpisano uroczysty akt objęcia przez Polskę części Górnego Śląska. Zakończył się tym samym proces kształtowania zachodniej granicy II Rzeczypospolitej.

Przyszłość Górnego Śląska – od XVIII wieku należącego w większości do Prus, a później do Niemiec – ważyła się w latach 1919–1921. W 1919 i 1920 roku wybuchły na tych terenach dwa powstania polskiej ludności. 20 marca 1921 roku na Górnym Śląsku odbył się plebiscyt, który miał zdecydować o losach regionu. Za przynależnością do Polski opowiedziało się ok. 40 proc. głosujących. Wielka Brytania i Włochy skłonne były jednak przyznać prawie cały obszar Niemcom. W tej sytuacji wybuchło III powstanie śląskie, które wpłynęło na podjęcie decyzji o korzystniejszym dla Polski podziale. Polsce przypadło 29 proc. obszaru plebiscytowego, ale aż 46 proc. ludności i większość kopalń, stalowni i hut.

20 czerwca 1922 roku na Górny Śląsk wkroczyło Wojsko Polskie z gen. Stanisławem Szeptyckim na czele. W II RP województwo śląskie ze stolicą w Katowicach cieszyło się szeroką autonomią. Miało m.in. własny parlament (Sejm Śląski) i skarb. Potencjał przemysłowy tego regionu odgrywał w gospodarce przedwojennej Polski kluczową rolę. ■



Fot. INAC

► Uroczystość przejęcia Górnego Śląska przez Polskę, Katowice, 16 lipca 1922 roku

11 sierpnia 1947: Ruszył tzw. proces krakowski, jeden z głośniejszych publicznych procesów pokazowych w stalinowskiej Polsce. Na ławie oskarżonych zasiadło kilkunastu działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego i konspiracyjnego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, założonego przez grupę wyższych oficerów Komendy Głównej AK.

Komunistyczna propaganda starała się skompromitować WiN i wykazać, że działające legalnie PSL Stanisława Mikołajczyka – jedyna licząca się partia opozycyjna – jest powiązane z podziemiem i obcymi agenturami. Działaczom WiN zarzucano m.in. „robotę szpiegowską” na rzecz zachodnich mocarstw. PSL-owców oskarżano zaś o świadomą współpracę z nielegalnym podziemiem. O sprawiedliwym procesie nie mogło być mowy.

10 września 1947 roku Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie ogłosił wyroki. Na śmierć skazanych zostało ośmiu członków WiN-u, w tym kierujący organizacją płk Franciszek Niepokólczycki. Trzy wyroki śmierci wykonano: Alojzy Kaczmarczyk, Józef Ostafin i Walerian Tumanowicz zostali straceni w więzieniu przy Montelupich. Stanisław Mierzwa, czołowy polityk PSL, został skazany na dziesięć lat więzienia. ■



Fot. APIN

► Stanisław Mierzwa podczas procesu krakowskiego

22 lipca 1952: Sejm Ustawodawczy uchwalił konstytucję PRL, znaną także jako lipcowa lub stalinowska. Głosiła ona, że „Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem demokracji ludowej”, w którym „władza należy do ludu pracującego miast i wsi”.

„Ustawa zasadnicza z 1952 roku wprowadzała stalinowski model państwa, uwzględniając jedynie w niewielkim stopniu polską tradycję ustrojową” – oceniał po latach prof. Marian Kallas. Na projekcie konstytucji własnoręcznie nanosił poprawki Józef Stalin.

Zamiast władzy ustawodawczej, wykonawczej i sędziowskiej zastosowano podział na „władzę państwową” (Sejm, Rada Państwa i rady narodowe) oraz „administrację państwową” (rząd). Najwyższym organem „władzy państwowej” miał być Sejm. Jego nadrzędna rola była jednak fikcją. W rzeczywistości o jego składzie i działaniach decydowały władze Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wprowadzona w miejsce urzędu prezydenta Rada Państwa formalnie podlegała Sejmowi, ale pomiędzy sesjami parlamentu przejmowała niemal wszystkie jego uprawnienia. Ustawa zasadnicza teoretycznie gwarantowała szereg praw obywatelskich, m.in. wolność słowa, zgromadzeń i zrzeszania się, sumienia i wyznania. W praktyce wiele jej zapisów aż do schyłku PRL nie było respektowanych.

Konstytucja PRL była wielokrotnie nowelizowana. W 1976 roku wprowadzono zapisy o przewodniej roli PZPR i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, wykreślone dopiero w grudniu 1989 roku. W 1997 roku Zgromadzenie Narodowe uchwaliło nową konstytucję, obowiązującą do dzisiaj. ■

► Zbigniew Romaszewski (z lewej) z Lechem Wałęsą, 1989 rok

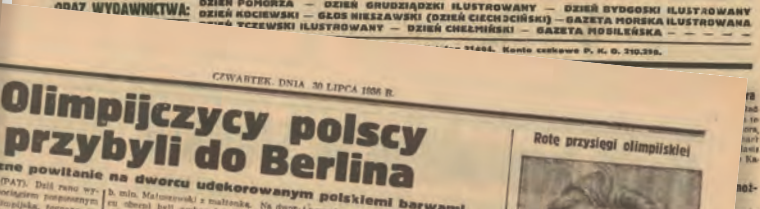


Fot. E. Ciołek

29 sierpnia 1982: Aresztowano Zbigniewa Romaszewskiego, jednego z liderów podziemnej Solidarności.

Romaszewski od wielu lat działał w opozycji. Od 1977 roku był członkiem Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. Wraz z żoną Zofią kierował Biurem Interwencji KSS „KOR”, rejestrującym przypadki łamania praw człowieka i niosącym pomoc ofiarom komunistycznej władzy. Zakładał Komitet Helsiński, a w latach 1980–1981 był ważną postacią NSZZ „Solidarność”. W okresie stanu wojennego zorganizował podziemne Radio Solidarność. Został skazany na cztery i pół roku pozbawienia wolności (w tym samym procesie jego żona otrzymała trzyletni wyrok). W więzieniu przebywał do amnestii w 1984 roku. ■

6 Z PIERWSZEJ STRONY



16 lipca 1922 roku

„Dzisiaj obchodzimy ostateczny dzień zatwierdzenia tego wielkopomnego aktu połączenia Śląska z Polską, aby stał się dniem szczęścia i początkiem ery nowej i chwalebnej dla Śląska i Polski” – pisano z entuzjazmem w „**Śląskim Głosie Porannym**” nr 87 z 16 lipca 1922 roku. Z okazji podpisania przez przedstawicieli najwyższych władz Rzeczypospolitej Polskiej symbolicznego dokumentu przejścia części Górnego Śląska i złożenia przez wojewodę śląskiego ślubowania wierności Polsce, co nastąpiło podczas uroczystej ceremonii na boisku miejskim w Katowicach, redakcja wydawanego w Królewskiej Hucie (dziś Chorzów) dziennika przybliżyła czytelnikom burzliwą historię regionu i jego mieszkańców, którzy najpierw byli poddani czeskimi, a następnie austriackimi i pruskimi. Górnolązacy najbardziej odczuli panowanie Fryderyka Pruskiego, który za pomocą niemieckich kolonistów próbował „zgermanizować lud tubylczy lub go wyprzeć ze swoich siedzib i osad”. „Dzisiaj jesteśmy już synami tej ziemi, za którą setki i tysiące legionistów i powstańców przelało swą krew serdeczną. Dzisiaj witamy ten dzień z uczuciem dziękczynnym, z uczuciem błogiej radości. Witaj nam Polsko! Witaj nam i bądź nam dobrą, miłą i troskliwą matką, troszczącą się o nasz byt moralny i materialny” – apelował „Śląski Głos Poranny”. Przy okazji gazeta zwróciła uwagę na bogactwa regionu, jak i pracowitość jego mieszkańców: „Nie przychodzimy zresztą z próżnymi rękami, jak ów biblijny syn marnotrawny, bo my na obczyźnie w wrogów naszych nauczyliśmy się pracy, nauczyliśmy się wydobywać te skarby naszej ziemi, które oto do nóg twoich składamy. Ty kochana Polsko strzeż i broń nas, a my ci damy naszą pracę, naszych synów, a jeżeli zajdzie potrzeba, naszą krew serdeczną w obronie twojej i naszej wolności”.

31 lipca 1936 roku

XI Igrzyska Olimpijskie w Berlinie, które trwały od 1 do 16 sierpnia 1936 roku, znajdowały się w centrum uwagi większości wydawców prasowych i cieszyły się nie mniejszym zainteresowaniem niż wojna domowa w Hiszpanii. Zmagania sportowców z blisko pięćdziesięciu krajów świata śledziła m.in. wydawana w Wolnym Mieście Gdańsku „**Gazeta Gdańska**”. W artykule *Olimpijczycy polscy przybyli do Berlina*, zamieszczonym na czwartej stronie dziennika nr 173 z 30 lipca 1936 roku, można było przeczytać m.in. o przyjęciu, jakie zgotowali sportowcom znad Wisły mieszkańcy stolicy III Rzeszy: „Cały dworzec udekorowany był wspaniałe chorągiewami o barwach polskich. Powszechną uwagę publiczności zwróciły nadzwyczaj ładne mundury polskiej ekipy. Po uroczystościach powitalnych drużyna polska, oklaskiwana przez publiczność, zajęła miejsce w autobusach wojskowych, udając się do wioski olimpijskiej. Zebrana na ulicach publiczność z awanturnikiem polskim zgotowała serdeczną owację”. Przez pół miesiąca „Gazeta Gdańska” bacznie obserwowała zmagania sportowców, a jej czytelnicy z nadzieją sięgali po kolejne numery, licząc na wieści o medalowych sukcesach Polaków. A tych, niestety, było niewiele. Tym bardziej cieszyło zdobycie ostatniego dnia igrzysk srebrnego medalu we Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego. „Gazeta Gdańska” nr 186 z 17 sierpnia donosiła o wspaniałym zwycięstwie rtm. Henryka Leliwy-Roycewicza, rtm. Seweryna Kuleszy i rtm. Zdzisława Kaweckiego. Drugie miejsce na podium zapewnił polskiej drużynie ten ostatni: „Polacy mieli ciężką chwilę przy starcie nerwowego kpt. Kaweckiego na Bambino, który po nieszczęśliwym wylądowaniu i wjechaniu w wodę na 9-ej przeszkodzie był na drodze do zmylenia *parcours*, w ostatniej jednak chwili jeździec spostrzegł właściwą trasę i pogalopował prawidłowo, zapewniając Polsce zdobycie srebrnego medalu w tak niesłychanie ciężkiej konkurencji i nieprawdopodobnie ciężkich warunkach”.



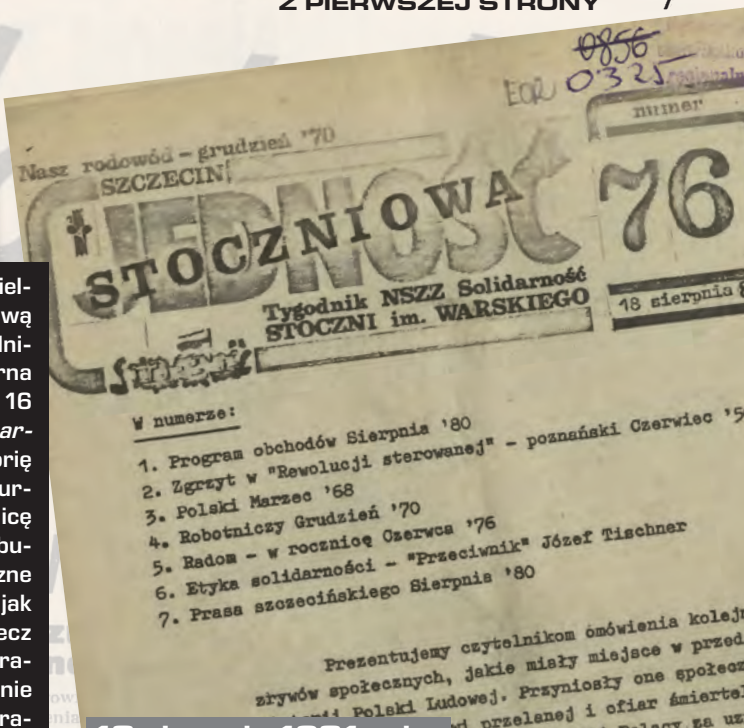
17 sierpnia 1944 roku

„Powstanie Warszawskie swym bezprzykładnym bohaterstwem wywołało i wśród ludności takie niedzielenie uczuć, że całe miasto żyje jakby w natchnieniu. Stan ten musi być podtrzymywany za wszelką cenę, on bowiem jest źródłem siły walczącego Powstania” – pisano w artykule *O co walczymy?*, opublikowanym na pierwszej stronie „**Barykady Powiśla**” nr 11 z 17 sierpnia 1944 roku. Wydawca pisma – Wydział Propagandy Komisarjatu Cywilnego przy Grupie Bojowej „Krybar”, a następnie Wydział Propagandy Delegatury Rejonowej Rządu Warszawa-Powiśle – z jednej strony apelował, aby walki z niemieckim okupantem nie oceniał jedynie przez pryzmat walczących dzielnic Warszawy, z drugiej natomiast wzywał do stawiania jasnych i sprecyzowanych postulatów na przyszłość. Na postawione w tytule pytanie twórcy pisma odpowiedzieli: „Nasz cel to nie tylko oswobodzenie Warszawy. Musimy oswobodzić całe ziemie Rzeczypospolitej. Musimy też odzyskać zrabowany nam niegdyś Śląsk, Pomorze, Prusy Wschodnie. To nie żaden »imperializm« czy »megalomania«, lecz kwestia życia i śmierci dla Polski i sąsiednich narodów. Musi powstać silna Polska i system bezpieczeństwa, zapewniający byt wszystkim mniejszym narodom Europy Środkowej”. A w jaki sposób należało zbudować „trwale bezpieczeństwo, dobrobyt i siłę” tej części Starego Kontynentu? „Dać nam to może jedynie system unijny, łączący wszystkie narody Europy Środkowej i broniący je przed agresją Zachodu czy Wschodu. Budowali go niegdyś Piastowie i Jagiellonowie. Póki on trwał, Polska była wielka i bogata. Gdy się załamał, popadliśmy w niewolę. Musimy go wskrzesić dzisiaj w całej rozległości i mocy. Pokój i potęga Polski to unia narodów »wolnych z wolnymi i równych z równymi!«” – podkreślano na łamach „Barykady Powiśla”. Mottem numeru, wydanego w siedemnastym dniu walk powstańczych, był fragment *Ody do młodości*: „Takie widzi świata koło, /Jakie tępymi zakreśla oczy...”.

ELEMENTY URBANISTYCZNE I ARCHITEKTONICZNE MDM

15 sierpnia 1952 roku

22 lipca 1952 roku oddano do użytku część Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej (MDM) wraz z placem Konstytucji, który swą nazwę zawdzięcza uchwalonej tego samego dnia ustawie zasadniczej. „Jest to niewątpliwie – po Trasie W-Z – najbardziej popularna inwestycja budowlana Warszawy” – pisano w „Stolicy” nr 16 z 15 sierpnia 1952 roku. W artykule *Elementy urbanistyczne i architektoniczne MDM* redakcja przybliżyła warszawianom historię ulicy Marszałkowskiej oraz walory socrealistycznego założenia urbanistycznego, które miało zamienić „dawną śródmiejską dzielnicę burżuazyjną w dzielnicę ludzi pracujących”. „Każdego cieszy, że budynki MDM są rzeczywiście monumentalne, oparte o historyczne wzory i bogate w detal dekoracyjny, że nie wyrażają się one – jak budowle międzywojenne – modernistycznie i funkcjonalnie, lecz są wyrazem dążeń artystycznych. Każdego też cieszy, że dekoracje są wykonane w szlachetnym rzemiośle kamieniarskim, a nie w szablonowych gipsaturach, jak również bogactwo tych dekoracji. Wyraźnie bowiem widać współpracę architektów z plastykami i rzeźbiarzami, która nigdzie w Warszawie nie wystąpiła dotychczas w takiej skali” – pisano z nieskrywanym entuzjazmem na łamach tygodnika. Obok licznych zdjęć placu Konstytucji, „Stolica” zamieściła także przedruk artykułu z „Życia Warszawy”, którego autorem był Jean Guillemot. Tekst, w którym korespondent „L'Humanité”, organu Francuskiej Partii Komunistycznej, nie szczędził pochwał pod adresem budowniczych MDM, kończył słowa: „Ludzkość na jednej ćwierci kuli ziemskiej weszła w nową erę, od chwili, gdy padł strzał armatni z krążownika »Aurora« o świcie 7 listopada 1917 roku. Powstały już pomniki, które wytyczać będą etapy tej nowej epoki w różnych krajach. Plac Konstytucji należy właśnie do takich etapów. Będzie się później mówiło w Polsce: »ta architektura oznacza epokę, epokę Konstytucji 1952 roku, epokę wielkiego rozmachu naszej Ojczyzny w drodze do socjalizmu«”.



18 sierpnia 1981 roku

Redakcja „**Jedności Stoczniowej**” cały numer (76) z 18 sierpnia 1981 roku poświęciła pierwszej rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych między rządem a komitetami strajkowymi ze Szczecina i Gdańska. Z tej okazji wydawcy tygodnika NSZZ „Solidarność” Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego zwrócili się do swoich czytelników tymi słowami: „W tych uroczystych dniach życzymy wszystkim związkowcom i wszystkim Polakom, aby już nigdy nie było potrzeby zrywów społecznych. Nie możemy utracić tej szansy, jaką uzyskaliśmy rok temu. Stańmy więc pod naszymi sztandarami ramię przy ramieniu do pracy nad odnową i odbudową życia społecznego i gospodarczego – stańmy do pracy organicznej w naszym kraju, mieście, zakładzie pracy, środowisku i rodzinie”. Obok szeregowego programu obchodów rocznicy, na który składały się m.in. uroczysta Msza św. i poświęcenie tablicy pamiątkowej, opublikowano także archiwalne numery „Jedności” z sierpnia 1980 roku, organu prasowego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego przy Stoczni Szczecińskiej. W drugim numerze tego pisma można było przeczytać: „Czego chcemy? – Wyrażają to najlepiej hasła rozwieszane na parkanach i bramach zakładów pracy. Czytamy na nich: »Prawda historyczna głosi, że kiedy dochodzi do konfliktów między narodem a władzą, zawsze rację ma naród«, »Wolne związki zawodowe to ochrona praw robotniczych«. Obchody Sierpnia '80 stały się doskonałym pretekstem do przypomnienia innych zrywów społecznych. Z tego też powodu odbiorcy „Jedności Stoczniowej” mogli się zapoznać z tekstami Aleksandra Halla na temat Marca '68 oraz Mirosława Chojeckiego, który przypomniał przebieg zająć w Radomiu 25 czerwca 1976 roku.”

STOLICA

ILUSTROWANA KRONIKA BUDOWY WARSZAWY



dr Mariusz Żuławnik – historyk, naczelnik Wydziału Ewidencji BUIAD IPN

Zwykła przepustka do historii

Maciej Rosalak

„Stocznioicy chcą tylko kielbasy i nic więcej ich nie obchodzi!” – dowodził partyjny dziennikarz. Gdzie to usłyszał? Na egzekutywie? Od towarzysza z bezpieki?

O strajku w Gdańsku dowiedziałem się w sierpniu 1980 roku z Głosu Ameryki. Mówiono o żądaniach podwyższenia płac i utworzenia wolnych związków zawodowych. Padało nazwisko przywódcy: „Walesa”. W krajowej telewizji zaczęto wspominać o „nieuzasadnionych przerwach w pracy”. Oficjalnie. Nieoficjalnie rozpuszczano wieści o „robotach”, którym się „we łbie przewraca” od rzekomo niebotycznych zarobków. A w redakcji „Tygodnika Demokratycznego” – pisma Stronnictwa Demokratycznego – naczelny przed urlopem zapowiedział, że mamy publikować teksty o koledze przewodniczącym SD i nic innego nie powinno nas obchodzić.

Rankiem 27 sierpnia podpisywałem do druku kolejny numer pisma. Błędów nie znalazłem, ale do czytania też nic interesującego nie było. Nic, czym zainteresowałby się ktokolwiek poza kolegą przewodniczącym stronnictwa „drzących”, jak mówiono o SD. Pomyślałem o beznadziei tej pracy i o tym, że w Gdańsku może właśnie teraz dzieje się prawdziwa historia; o pogłębiającej się degrengoladzie, czego dowodem były nawet wylczanki w przedszkolach: „Nie ma szynki, nie ma serka./ Powiesimy wujcia Gierka./ Raz, dwa, trzy, sekretarzem będziesz ty!”. I o swoich skończonych trzydziestu latach też pomyślałem.

Wieczorem tego dnia dotarłem do bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej, wówczas

imienia Lenina, i zobaczyłem drewniany krzyż, pod którym paliły się dziesiątki zniczy i świec. Krzyż był otoczony modlącymi się ludźmi. „Tu zabito w siedemdziesiątym roku pierwszego stoczniojca. Jego koledzy ustawili krzyż i wrócili do stoczni. Od tej pory nie ruszają się na zewnątrz” – objaśnił kolega z bratniego „Kuriera Polskiego”. Był tu już od kilku dni, codziennie wysyłał z faksów i telefonów miejscowej siedziby SD (zwykle połączenia przerywano) korespondencje i błagał redakcję o druk. Bezskutecznie – wydział prasy KC PZPR i cenzura postawiły kategorię szlaban.

No i stoję przed tym krzyżem. Wreszcie dojrzałem przyspiloną do krzyża kartkę, na której ktoś zapisał strofy Byrona: „Walka o wolność gdy się raz zaczyna/ Dziedzictwem z ojca przechodzi na syna/ Sto razy obcą złamana potęgą/ W końcu zwycięży”.

A, to o to chodzi... – pomyślałem. Ziemia się zatrzęsła pode mną i od tej pory – wedle znanego powiedzenia Hitchcocka – napięcie zaczęło stopniowo rosnać.

Do Gdańska dostałem się redakcyjnym samochodem. Było to efektem krótkiej rozmowy z zastępującym naczelnego, przeznaczym i mądrym Krzysztofem Boruniem: „Patrz, Krzysiu, jakie my tu g... wydajemy. Daj samochód i podpisz delegację do Gdańska”.

Natychmiast podpisał. Jakby tylko na mnie czekał. Jakby nadeszła Godzina „W”, a on znów znalazł się w załodze „Kubusia” podczas ataku Powstańców Warszawskich na uniwersytet...

Następnego ranka – 28 sierpnia – przeszedłem przez wartownię obok słynnej bramy, która tonęła w kwiatkach okalających portret Jana Pawła II i pod którą zbierały się w ciągu dnia setki, tysiące, a w końcu dziesiątki tysięcy mieszkańców Trójmiasta. Przepustkę otrzymałem bez problemu, w przeciwieństwie do ekip „Trybuny Ludu” i TVP, których nie wpuszczono, „bo kłamią”. Przepustka to był wąski skrawek papieru, na którym wypisano ręcznie moje nazwisko oraz tytuł tygodnika i który podstemplowano pieczęcią Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, wyciętą chyba z kartofla. Po miesiącu podpisał ją Lech Wałęsa, którego poprosiłem o to na jego pierwszej w Warszawie konferencji prasowej.

To było najbardziej niepozorne świadectwo akredytacji – wyjątkowo chałupniczo wykonana przepustka – jakie otrzymałem w karierze dziennikarskiej. A jednocześnie chyba każdy, kto ten dokument otrzymał, przeczuwał, że trzyma w ręku niezwykłą, choć tak zwyczajną przepustkę do historii.

Był to zarazem glejt całkowitego bezpieczeństwa, gwarantujący pomoc, życzliwość i serdeczność prostych ludzi. Tych „robotli”, którym rzekomo zależało tylko na kielbasie i rozróbie, poznałem później bliżej, zwłaszcza podczas długiej przerwy w negocjacjach. Nieśmiało pytali, czy mogą obejrzeć zdjęcia ze stoczni, byli ciekawi, jak oceniamy szanse ich protestu, częstowali wielkimi pajdami chleba przywożonego z trójmiejskich piekarni i krojonego dłońmi swych kobiet. Młody robotnik oprowadzał nas też po stoczni, skrupulatnie ostrzegając w rejonach z zakazem fotografowania.

„Który skrzywdził człowieka prostego...” – dedykował stoczniojcom parę miesięcy potem owe słowa noblista Czesław Miłosz. Do tej pory zdbiją one mur obok sławnej bramy. Kiedy je czytam, zawsze przypominam sobie moich rozmówców w granatowych, wymiętych i spłowiałych kombinezonach ze skweru przed halą BHP.

Akurat 28 sierpnia odbyły się najważniejsze rozmowy z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim. Wszedł wraz



z towarzyszami do stoczni boczną bramą, kroczył obok ubranego w szary garniturek Wałęsy, w obstawie rosłych stoczniowców, w szpalerze poważnych ludzi nieokazujących ani wrogości, ani entuzjazmu. Mogłem zaglądać do salki, gdzie toczyły się negocjacje, ale wolałem stać wraz z innymi na wolnym powietrzu, słuchać każdego słowa z megafonu i dzielić odczucia strajkujących. Pilnie słuchali i nagradzali oklaskami celne wypowiedzi. Pamiętam zwłaszcza Andrzeja Gwiazdę, mówiącego o wolnych związkach, i Annę Walentynowicz, przypominającą nie tylko swoje krzywdy. Z Jagielskim ludzie wiąźali ostrożne nadzieje.

Po odjeździe delegacji rządzących Wałęsa wdrapał się na wysięgnik dźwigu przy bramie i przez ręczny megafon zdał krótką relację. Przed nim – sto tysięcy mieszkańców Trójmiasta. Za nim – kilka tysięcy stoczniowców. A on w tym swoim niepowtarzalnym stylu, który nikogo wówczas nie raził, zapowiadał zwycięstwo. Z chłopą król, prawdziwy trybun ludowy. Tak to wtedy wyglądało.

To był wóz albo przewóz. Kiedy wszystko powiedziano z obu stron, tylko wypadło czekać, jaka decyzja zapadnie w Warszawie. Zgodzą się czy nie zgodzą na wolne związki, na ów pierwszy punkt, który miał zapalić w Polsce światełko demokracji. W ciągu następnych szesnastu miesięcy rozpalilo się ono w potężny płomień niebywałego entuzjazmu, nadziei i solidarności ogarniającej polską wspólnotę.

„Urodzony w niewoli, okuty w powiciu/ Ja tylko jeden taki sierpień miałem w życiu” – trawestowano później Mickiewicza. Kto tego nie przeżył, temu trudno pojąć, jak wielki potencjał tkwi w naszym narodzie, jak potrafi być on

skłonny do wyrzeczeń i ofiar w imię wspólnego dobra, jak potrafi być wielki po prostu.

„Kaźda niech Polska będzie wielka/ Synom jej ducha czy jej ciała/ Daj wielkość serc, gdy będzie wielka,/ I wielkość serc, gdy będzie mała”. Fragmenty *Kwiatów polskich* Juliana Tuwima recytowali po południu aktorzy Teatru Wybrzeże, którzy przyjechali pod prze-



➤ 31 sierpnia 1980 roku: Lech Wałęsa ogłasza zgromadzonym pod bramą Stoczni Gdańskiej mieszkańcom Trójmiasta zakończenie strajku

wodem kierownika artystycznego Macieja Prusa. Deklamacje, jak wcześniej rozmowy, były nadawane z sali BHP przez głośniki na całą stocznę. Doskonale słyszeli je też zgromadzeni przed bramą gdańszczanie, a stamtąd rozchodziły się na całą Polskę i – dalej – na cały świat. A słowa, tyle razy nadużywane i bezczeszczone, odzyskiwały swe prawdziwe znaczenie. Biało-czerwone barwy na opaskach i sztandarach strajkujących oznaczały rzeczywistą identy-

fikację z Ojczyzną, a nie dekorację dętych manifestacji. Nastrój – jak mówili starsi – przypominał pierwsze godziny Powstania Warszawskiego. A kiedy po Mszy św. zaśpiewano „Jeszcze Polska...”, łzy płynęły po niejednej twarzy.

Tak rodziła się nowa epoka w dziejach Polski. Tym, co zapomnieli – warto przypomnieć, tym, co nie słyszeli – powiedzieć, jak było. „Opowiemy Ci o tych wypadkach [...] O tych ludziach, którzy poczuli/ Że są wreszcie teraz u siebie/ Solidarnie walczą o dzisiaj/ I o jutro także dla Ciebie” – kiedy wracałem do Warszawy późnym wieczorem 28 sierpnia, brzmiała mi w uszach skomponowana w stoczni *Piosenka dla córki*. Moja córeczka miała wtedy cztery lata i nie zdążyłem się z nią pożegnać przed wyjazdem do Gdańska.

Kiedy wychodziłem przez bramę nr 2, młody chłopak ze stoczni położył mi na pożegnanie rękę na ramieniu. „Niech pan napisze, co pan tu widział i słyszał, o nic innego nam nie chodzi” – powiedział cicho. Ludzie z miasta otoczyli mnie i ścisкали dłonie, dziękowali. „Za co?” – broniłem się. „Jestem tylko dziennikarzem, byłem tam gościem”. „Ale był pan TAM, wśród NICH. Może pan jeszcze wnułkom opowiadać!”

Od czasu do czasu staram się opowiadać. Czy dziś, kiedy siódmy krzyżyk mam na karku, do końca udaje mi się uniknąć późniejszych naleciałości, strzępów cudzych świadectw i opinii, a nade wszystko „potępieńczych swarów” – nie wiem. Rzecz jasna, wszystko w historii należy dokumentnie wyjaśnić – niezależnie od tego, czy ocaleje czyjś mit i legenda. Ale nie piszę tu historii jako historyk. Piszę historię tego, co naprawdę widziałem i czułem 28 sierpnia 1980 roku. I co chciałbym ocalić. ❄

Maciej Rosalak – redaktor dodatków historycznych „Rzeczpospolitej”; w sierpniu 1980 roku był sekretarzem redakcji „Tygodnika Demokratycznego”

Pobożne życzenia

Antoni Dudek

„Nie można przewidzieć chwili, kiedy kryzys wybuchnie z pełną ostrością. Może go nagle przyspieszyć awanturnicza polityka ZSRR, przesłaniającego konflikty wewnętrzne agresywnością na arenie międzynarodowej. Może rozpocząć się od Polski”.

Wtrzy i pół roku po opublikowaniu tych słów sowieccy spadochroniarze wylądowali w Kabulu, rozpoczynając interwencję wojskową w Afganistanie, która trwała prawie dziesięć lat. Kilka miesięcy później przez Polskę przetoczyła się olbrzymia fala strajków, których owocem był NSZZ „Solidarność”. Przytoczone zdanie zaś, autorstwa Zdzisława Najdera, znalazło się w programie Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Program (który pomagał przygotowywać m.in. Jan Olszewski) został ogłoszony w maju 1976 roku na łamach londyńskiego „Tygodnika Polskiego”.

W podręcznikach historii PPN pozostaje w cieniu Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz innych znacznie częściej wymienianych organizacji opozycji przedsierpniowej. Powód tego jest prosty i wynika z odmiennej formuły działania.

Po pierwsze, twórcy PPN nie zdecydowali się pójść drogą wytyczoną przez działaczy KOR i prowadzić działalności w sposób jawny, czyli występować pod własnymi nazwiskami. Po wtóre, aktywność zakonspirowanych uczestników Porozumienia koncentrowała się na publikowaniu kolejnych ekspertyz, których do 1981 roku, gdy PPN zakończyło działalność, uzbierało się ponad czterdzieści. Bodaj najpopularniejszą z nich był poradnik *Obywatel a Służba Bezpieczeństwa*, napisany przez Olszewskiego wiosną 1977 roku, w którym znalazło się nie tylko wiele informacji na temat praw przysługujących osobie zatrzymanej, ale i konkretnych rad, jak nie dać się podejść funkcjonariuszom bezpieki. „Jeśli ktoś pozwolił się zaskoczyć – pisał Olszewski – i wciągnąć w »prywatne rozmowy«



► Jan Olszewski

z przedstawicielami bezpieczeństwa, może skutecznie ochronić się od groźących konsekwencji poprzez jak najszybsze przerwanie takich spotkań i jak najszersze rozgłoszenie ich przebiegu. W świetle przepisów obowiązujących w PRL zarówno odmowa takich kontaktów, jak i ich ujawnienie nie są sprzeczne z prawem i nie stanowią jakiegokolwiek wykroczenia”.

Z perspektywy lat to jednak nie ta broszura, ale właśnie jasne i jednoznaczne postawienie w programie PPN postulatu niepodległości wydaje się największym dokonaniem niewielkiej grupy osób zorganizowanych przez Najdera. Jak to często bywało z ideami wykraczającymi poza horyzont wyznaczony stanem świadomości większości ówczesnych Polaków, rzucenie hasła niepodległości w środku epoki Gierka nie spotkało się ze zrozumieniem. Nawet u większości ludzi mających już za sobą przeszłość opozycyjną, co dobrze ilustruje odnotowana przez SB wypowiedź Jacka Kuronia, który tak skomentował publikację programu PPN: „W sumie to po prostu pobożne życzenia. [...] To zupełnie dorośli ludzie, mądrzy, poważni. Co prawda, mam do nich pretensje, bo nie wolno takich rzeczy robić, to jest kompletny idiotyzm, bo albo się podpisuje nazwi-

► Zdzisław Najder

skami i imionami, albo się ich wcale nie podpisuje, natomiast nie wymyśla się nazwy. Bo co to znaczy – Porozumienie Niepodległościowe. [...] Jest o niezawisłości od ZSRR, o granicach, Litwinach, Rusinach, tylko pobożne życzenia, co jest denerwujące”. Co jednak ciekawe, końcowa ocena Kuronia była

pozytywna: „Jak idzie taki tekst, to za chwilę będzie drugi, trzeci. Słusznie”.

Tak też się stało i w niektórych ekspertyzach PPN można było znaleźć oceny i prognozy rzeczywiście wykraczające poza horyzont epoki. Jak chociażby w opracowanym na początku 1978 roku przez Zdzisława Najdera i Władysława Bartoszewskiego raporcie *Polska a Niemcy*, w którym uznawano prawo Niemców do zjednoczenia, formułując równocześnie dwa niezbędne warunki tego procesu z polskiej perspektywy: „1. Bezwzględne uznanie naszej granicy zachodniej. 2. Zasadnicza integracja Niemiec ze Wspólnotą Europejską”. Oba doczekały się realizacji, choć z perspektywy lat siedemdziesiątych mogły się rzeczywiście wydawać „pobożnymi życzeniami”.

Na jeszcze bardziej utopijną wyglądała zarysowana w programie PPN wizja członkostwa Polski w EWG. „Nie sądzimy, aby Grecja albo Portugalia były w swoich tradycjach kulturalnych i politycznych bliższe niż Polska krajom Zachodu, stanowiącym centrum Wspólnoty. Możliwie najściślejsze związki ze Wspólnotą będą dla nas najlepszą gwarancją nieodnowienia się konfliktu z Niemcami”.

Z ostatnim zdaniem można się zgadzać lub nie, ale trudno zaprzeczyć, że w 2012 roku, a więc trzydzieści pięć lat później, nie budzi już zdziwienia. Niekiedy zatem warto mieć „pobożne życzenia” i głośno o nich mówić. ■

prof. dr hab. Antoni Dudek – politolog i historyk, zajmuje się dziejami najnowszej Polski oraz jej systemem politycznym; ostatnio opublikował *Instytut. Osobista historia IPN* (2011)

Fot. AIPN

Fot. P. Życieński

POWAŹKI POWSTAŃCZE

Jacek Sawicki

Powstanie Warszawskie było – obok Lenino i Monte Cassino – jedną z trzech najważniejszych bitew oręża polskiego, które wpłynęły na losy Polski po II wojnie światowej. O miejscu i terminie każdej z nich zadecydowały zarówno cele wojskowe, jak i polityczne, które stały się mocnymi argumentami w sporze o przyszły kształt kraju, o stopień jego suwerenności i niezawisłości, o jego ustrój, perspektywy oraz miejsce w powojennej Europie i świecie.

Powstanie Warszawskie wybuchło w czasie, kiedy stosunki dyplomatyczne między rządem RP a ZSRR były zerwane, Armia Czerwona zajmowała kolejne tereny rdzennie polskie, a działania zbrojne Armii Krajowej w ramach akcji „Burza” (m.in. na Wołyniu czy Podlasiu, walki o Wilno 6–13 lipca, o Lwów 22–25 lipca) skończyły się aresztowaniami, internowaniem oraz masową wywózką polskich żołnierzy do sowieckich łagrów. Powstanie Warszawskie było jednak wyrazem nadziei, bitwą o wolność stoczoną z najwyższym poświęceniem, świadectwem woli samostanowienia i zachowania

► Zdjęcia operacyjne SB wykonywane z ukrycia uczestnikom uroczystości rocznicowych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, 1 sierpnia 1956 roku



przez Polskę pełnej suwerenności.

Trwało 63 dni, od 1 sierpnia do 2 października 1944 roku. „Są rzeczy – napisała Barbara Skarga w swoich wspomnieniach *Po wyzwoleniu* – które nie tylko są godne utrwalenia. Należałoby o nich krzyczeć tak głośno, żeby ten krzyk słyszeli wszyscy. Ciągłe bowiem są aktualne i ciągle kładą się kamieniem na nasze życie”. Dla mieszkańców Warszawy – żołnierzy i cywilnych uczestników – pomimo tragicznej daniny krwi Powstanie było bodaj najważniejszym wydarzeniem w życiu. W tym tygodniu pełnym improwizacji oraz ►



jednostkowych inicjatyw zrodziło się społeczeństwo świadome swej odpowiedzialności za Ojczyznę, które próbowało własnymi rękami odbudować skrawek wolnego kraju. Ludzie czuli się upodmiotowieni. „Nie byli głupcami – zanotowała w swoich dziennikach Maria Dąbrowska – którzy ślepo słuchali takich czy innych rozkazów. Ci wielotysięczni żołnierze i cywile walczyli o Polskę rzeczywiście wolną i rzeczywiście demokratyczną”.

Rzeczpospolitą demokratyczną i samorządną była każda dzielnica, każdy wolny od nieprzyjaciela kwartał domów, niemal każde podwórko. Dlatego później powszechnie i z uporem broniono tak zakosztowanej wolności, przekładając ją na „ideały i pamięć Powstania Warszawskiego”. Był to bowiem zrozumiały dla wszystkich symbol niezawisłości, jednoczący Polaków i podtrzymujący ich opór społeczny.

Komuniści od pierwszej chwili dostrzegli w Powstaniu Warszawskim niewygodny, a nawet niebezpieczny dla siebie element sprzeciwu, aczkolwiek ogromnym zaskoczeniem był dla nich ujawniony w walczącej Warszawie stopień zorganizowania wojska i rozbudowanych struktur władz cywilnych, jak również – akceptacji społecznej. Dlatego po wojnie niemal od razu wystąpili z kontrakcją, wykorzystując arsenał będących do ich dyspozycji środków oddziaływania. W historii PRL był okres, kiedy stosowali nawet tak skrajne metody jak tortury, skrytobójstwa czy morderstwa sądowe. Mało kto już pamięta, że przed 1956 rokiem rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego służyła władzy „ludowej” jedynie do bezkarnego oskarżenia i poniżania przywódców Polskiego Państwa Podziemnego.

W odpowiedzi duchowo wolny naród odwołał się do rytuałów i symboli. Należały do nich „kotwica” – znak Polski Walczącej – piosenki, wiersze powstańcze, a przede wszystkim uroczystości rocznicowe. To one mobilizowały Polaków do tworzenia własnej wersji historii i narodowej tradycji.

Korzystano w tym celu z miejsc, gdzie pamięć była przechowywana i pozwalała na zachowanie poczucia ciągłości historycznej. Takimi miejscami pamięci, ku którym zwracano się w Polsce co roku 1 sierpnia, były kościoły, gdzie odprawiano uroczyste Msze św., a z czasem umieszczano także okolicznościowe tablice. Były też nieliczne pomniki, wydawnictwa-symbolowe, a przede wszystkim cmentarze, gdzie pochowano poległych w Powstaniu Warszawskim. I na tym gruncie broniono niezależnej, alternatywnej w stosunku do oficjalnej, niepoddającej się presji komunistów pamięci społecznej. Wystarczyło zanuć *Palacyk Michla...* czy *Marsz Mokotowa*, użyć „kotwicy” – znaku Polski Walczącej – by jasno zmanifestować swoją postawę wobec przeszłości i teraźniejszości.

Takim miejscem-symboliem był cmentarz Powązkowski (wojskowy), gdzie zaraz po wojnie, póki można było, w kwaterach oddziałów powstańczych zaczęto chować poległych. Jan Mazurkiewicz „Radosław” – legendarny dowódca Kedywu Komendy Głównej AK – pierwsze kroki po wyjściu ze stalinowskiego więzienia skierował właśnie na cmentarz Powązkowski, gdzie pochowani zostali m.in. jego żołnierze. Z goryczą napisał później: „Groby zarosły zielskiem, krzyże pogniłe i powywracane, szczególnie na grobach «Parasola», «Miotły» i «Żywiela», pomnik [Gloria Victis] popękany – odpadają płyty z granitowego cokołu, pozrywane łańcuchy ogradzające kwaterę, całość – przerażający obraz opuszczenia i zaniedbania”.

Wydawało się, że następują szybkie zmiany: wypuszczono z więzień akowców, rozpoczęły się procesy rehabilitacyjne. Tymczasem Archiwum IPN przechowuje inne ważne świadectwo. Są to zdjęcia pochodzące z rozpracowania operacyjnego prowadzonego w dalszym ciągu przez bezpiekę. Przedstawiają one osoby, które 1 sierpnia 1956 roku uczestniczyły w uroczystościach rocznicowych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Charakterystyczne



ujęcia – np. z poziomu teczki czy dziecięcego wózka – wskazują, że zdjęcia te były robione z ukrycia. Fotografowano nie tylko przy powstańczych mogiłach. Czasem odprowadzano kogoś pod dyskretną „opieką” aż poza cmentarz, na ulicę czy na przystanek autobusowy. Niektóre osoby i twarze na oryginałach zdjęć oznakowane zostały kółkami – prawdopodobnie w ten sposób wyróżniono ludzi, którymi bezpieka szczególnie się interesowała.

Kilka tych fotografii zamieściliśmy w „Biuletynie IPN” w sierpniu 2004 roku w nadziei, że uda się rozpoznać uczestników. Niestety, dotychczasowe poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Być może w rozszyfrowaniu tej zagadki pomogą Czytelnicy miesięcznika „Pamięć.pl”. 📌

dr hab. Jacek Sawicki –
kierownik Sekcji Opracowywania
Dokumentacji Audiowizualnej BUIAD IPN

Wołyński konflikt pamięci

Z **dr. hab. Grzegorzem Motyką** o bolesnej historii polsko-ukraińskiej rozmawiają Magdalena Semczyszyn i Filip Gańczak

Lato 1943 roku to apogeum rzezi wołyńskiej. Jak doszło do tego, że w czasie II wojny światowej ukraińscy nacjonaści wymordowali na Wołyniu, a później w Galicji Wschodniej tysiące Polaków?

Trzeba wyjść od tego, że Polaków i Ukraińców dzielił wówczas głęboki spór o granicę państwową. Jedni i drudzy chcieli, aby Lwów przynależał do ich państwa. Żądania terytorialne obu narodów absolutnie się wykluczały, dlatego wszystkie rozmowy prowadzone w czasie wojny przez polskie i ukraińskie podziemie spęły na niczym. Na to nałożyła się skrajnie nacjonalistyczna ideologia Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), zakładająca, że przyszłe państwo ukraińskie winno być monoetniczne. Stąd był już tylko krok do uznania wojny za dobrą okazję do pozbycia się Polaków.

Popularność OUN rosła już w latach trzydziestych.

Ukraińców w II RP – chociaż formalnie byli równoprawnymi obywatelami – w praktyce traktowano jak obywateli drugiej kategorii, co oczywiście wywoływało niezadowolenie i tworzyło atmosferę sprzyjającą nacjonalistom. W czasie wojny pamięć o tym, co się działo przed 1939 rokiem, skutecznie podważała zaufanie do polskich propozycji. Zapowiedzi, że w państwie polskim po odzyskaniu niepodległości prawa wszystkich będą w pełni szanowane, wywoływały niedowierzanie. W tych warunkach ukraińskim nacjonalistom łatwiej było zyskać poparcie społeczne.

Ale to II wojna światowa zradycyzowała ich plany.

Sowieckie deportacje z lat 1940–1941 oraz prowadzona przez Niemców planowa zagłada Żydów pokazały nacjonalistom, że zastosowanie masowych represji jest technicznie możliwe. Co więcej, wyznawany przez ukraińskich nacjonalistów światopogląd prowadził ich do wniosku, że dla zbudowania silnego państwa warunkiem wręcz koniecznym jest zastosowanie brutalnej przemocy.

Naszkicujmy, jaka była sytuacja wyjściowa, tzn. struktura narodowościowa na Wołyniu i w Galicji Wschodniej u progu wojny.

W II Rzeczypospolitej mieszkało około pięciu milionów Ukraińców, tj. 16 proc. wszystkich obywateli państwa polskiego. Na Wołyniu było jednak dokładnie odwrotnie – to Polaków było 16 proc. Ukraińcy stanowili większość także



Fot. P. Życieński

dr hab. Grzegorz Motyka jest historykiem, znawcą stosunków polsko-ukraińskich, członkiem Rady Instytutu Pamięci Narodowej; pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN, wykłada też na Uniwersytecie Jagiellońskim; jest autorem i współautorem wielu książek; ostatnio opublikował *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła”. Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947* (2011)

w Galicji Wschodniej: w województwach stanisławowskim, tarnopolskim i wschodniej części lwowskiego.

Ale już nie w samym Lwowie.

Nie, miasta były przeważnie polskie i żydowskie. Ukraińcy często byli dopiero trzecią grupą ludnościową. We Lwowie było to szczególnie widoczne. Miasto to miało wyraźnie polski charakter. Nawet tamtejsza ludność żydowska była w znacznej mierze zasymilowana.

Wspomniał Pan, że II RP prowadziła błędną politykę wobec mniejszości ukraińskiej.

I w dodatku niekonsekwentną. Część środowisk politycznych (m.in. piłsudczycy) opowiadała się za programem *asymilacji państwowej* mniejszości narodowych, czyli zagwarantowaniem im pełni praw obywatelskich i autonomii kulturalnej. Inne jednak (w tym endecy) nawoływały do wprowadzenia w życie wizji *asymilacji narodowej*, zakładającej całkowite podporządkowanie mniejszości polskiej dominacji. Jednak nawet piłsudczycy w odpowiedzi na sabotaże OUN w 1930 roku zastosowali odpowiedzialność zbiorową wobec ludności ukraińskiej – w teren wysłano oddziały wojska i policji, które prowadziły tzw. dokuczliwe rewizje, w czasie których niszczone mienie i bito mieszkańców. Z kolei w 1938 roku na Lubelszczyźnie zniszczono 138 prawosławnych obiektów

sakralnych, w tym mające dużą wartość historyczną. Tego typu akcje wywoływały wśród wielu Ukraińców uzasadnione poczucie krzywdy.

A tak zwany eksperyment Henryka Józewskiego?

Wojewoda Józewski chciał stworzyć na Wołyniu wzorcowy model współistnienia Polaków i Ukraińców. Dbał o poszanowanie kultury ukraińskiej. Dążył na przykład do wprowadzenia w wołyńskich szkołach języka ukraińskiego jako obowiązkowego przedmiotu dla wszystkich uczniów – a więc także dla Polaków. Liczył na to, że w efekcie w ciągu kilkudziesięciu lat wytworzy się wśród Ukraińców przekonanie, że Polska jest ich państwem, wygodnym domem, w którym można spokojnie żyć. Przychyłam się do opinii amerykańskiego historyka Timothy’ego Snydera, że tego typu polityka była wówczas najlepszym możliwym realnie do zastosowania rozwiązaniem. Polityka polska prowadzona na Wołyniu w opozycji wobec programu Józewskiego do dziś budzi zażenowanie. Jej efektem było na przykład „nawrócenie” pod przymusem kilku tysięcy prawosławnych Ukraińców na katolicyzm.

Inne dwa modele rządzenia przyniosły mieszkańcom regionu ogromne cierpienia. Realizacja programu państw totalitarnych – nazistowskiego i sowieckiego – pochłonęła życie dziesiątek tysięcy ofiar.

Co zatem było bezpośrednią iskrą, która wywołała rzeź wołyńską? Po stronie ukraińskiej są głosy mówiące o narodowowyzwoleńczym buncie. Porównuje się to czasami wręcz do powstania Chmielnickiego w XVII wieku. Tymczasem w 1943 roku trudno mówić o spontanicznej akcji ludności ukraińskiej przeciwko Polakom.

Jestem przekonany, że całą odpowiedzialność za rzeź wołyńsko-galicyską ponosi kierownictwo Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów Stepana Bandery (OUN-B), które wymyśliło i konsekwentnie przeprowadziło antypolską czystkę etniczną. Pokusa, aby wywołać antypolską irredentę, była wśród nacjonalistów bardzo silna. Już przed wojną pisali wprost, że w przyszłym państwie ukraińskim nie ma miejsca dla ziemian i kolonistów polskich, którzy osiedlili się na tych terenach po 1918 roku. Najpóźniej jesienią 1942 roku w kierownictwie banderowskim zapadła decyzja, by w momencie wybuchu powstania polską ludność ze wszystkich ziem, które OUN-B uznawała za ukraińskie, wypędzić pod groźbą śmierci, przy

czym od razu zamierzano zabić tzw. aktyw polski, czyli liderów lokalnych społeczności – nauczycieli, księży itp.

Kilka miesięcy później, 9 lutego 1943 roku, doszło w Parośli do wymordowania pierwszej polskiej wioski.

Zginęli niemal wszyscy mieszkańcy wsi, ponad 150 osób. Nie jest jasne, czy kierownictwo banderowskie chciało wymordować niektóre wioski – po to, by przerazić i skłonić do wyjazdu pozostałych Polaków – czy też już wtedy zamierzano zrealizować plan pełnej eksterminacji ludności polskiej. Tak czy inaczej, wołyńskie kierownictwo OUN i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), prawdopodobnie z własnej inicjatywy, najpóźniej w czerwcu 1943 roku wysłało do wszystkich oddziałów UPA na Wołyniu rozkazy wprost nakazujące wymordowanie wszystkich Polaków. W efekcie 11 lipca 1943 roku dochodzi do potężnej fali napadów na ludność polską.

Początkowo rzezie dotknęły Polaków mieszkających na Wołyniu, później także w Galicji Wschodniej.

Do masowej „antypolskiej akcji” doszło tam na początku 1944 roku. Znamy wydane przez centralne kierownictwo OUN-B i UPA rozkazy nakazujące wypędzanie Polaków pod groźbą śmierci (powrócono więc do koncepcji przyjętej w końcu 1942 roku). W przypadku nieposłuszeństwa zalecano zabijanie „tylko” mężczyzn, jednak w praktyce w czasie napadów ginęły często kobiety i dzieci.

Zdarzały się przypadki zmuszania ukraińskiej ludności cywilnej do uczestniczenia w takich akcjach.

Czytałem zeznania jednego z Polaków, który był ukrywany w stodole przez Ukrainca i widział, jak do wioski przychodzi oddział UPA. Upowcy zmusili ukraińskich mieszkańców, by poszli do sąsiedniej miejscowości i wymordowali siekierami tamtejszych Polaków. Do udziału w masakrze przymuszono też gospodarza, który ukrywał Polaka. To wstrząsająca historia. Wiadomo, że tego typu wypadków było znacznie więcej. Moim zdaniem wynikało to z zamierzeń UPA, która w ten sposób chciała wciągnąć w swoje szeregi jak największą grupę ludzi, a jednocześnie „schować” prowadzoną akcję zorganizowanej eksterminacji za rzekomym spontanicznym buntem ludowym.

▶ Ekshumacja ofiar napadu UPA w Woli Ostrowieckiej, 1992 rok

Jakie były wtedy postawy przeciętnych Ukraińców na tych terenach? Jak liczne były przypadki pomocy Polakom?

Tych przypadków zidentyfikowano kilkaset na Wołyniu i drugie tyle w Galicji Wschodniej. Jest to jednak problem do dzisiaj nie do końca zbadany. Bardzo ciekawe pod tym względem są wspomnienia ukraińskiego baptysty Mychajły Podwornia-ka, który jako chrześcijanin i pacyfista był zdecydowanym przeciwnikiem zabijania. Mimo to widok płonących w dali polskich wiosek przyjmował z pewną obojętnością. Nie pochwałał zbrodni, ale wpisywał to w szerszy konflikt polsko-ukraiński. Szokiem dla niego stał się dopiero przyjazd do jego wsi bojówki Służby Bezpieczeństwa OUN i zamordowanie dwójki Polaków, starszków. Te dwie osoby były tak wtopione w miejscową społeczność, że niektórzy nawet nie kojarzyli, że są one polskiego pochodzenia. Absurdalność tego mordu wstrząsnęła mieszkańcami. Często nawet ci gospodarze, którzy sympatyzowali z walką UPA, jednocześnie nieśli pomoc konkretnym Polakom, bo uważali, że są to uczciwi ludzie i należy im pomóc, nawet ryzykując własne życie.

W Polsce Ukraińcy często mają opinię tych, którzy w czasie II wojny światowej współpracowali z Niemcami.

Wśród zachodnich Ukraińców silna była orientacja na Niemcy, gdyż w tym państwie widziano sojusznika sprawy ukraińskiej. Dopiero w 1941 roku, gdy doszło do wojny niemiecko-sowieckiej, okazało się, że naziści nie zamierzają tworzyć ukraińskiej państwowości. Pomimo to część środowisk zachodnioukraińskich do samego końca miała nadzieję, że Niemcy z czasem zmienią swoją politykę, i opowiadała się za współpracą z III Rzeszą. Dlatego możliwe było powstanie pod okupacją niemiecką Ukraińskiej Policji Pomocniczej czy Dywizji SS „Galizien”.

Czy zbrodnie ukraińskich nacjonalistów na Polakach można nazwać ludobójstwem?

Sądzę, że tak. Uchwalona w 1948 roku przez ONZ konwencja uznaje za ludobójstwo zbrodnie, które mają na celu zniszczenie w całości lub części grup narodowych, etnicznych, rasowych lub religijnych. W wypadku rzezi wołyńsko-galicyskiej wyraźnie chodziło o zniszczenie – oczywiście w poszczególnych regionach – w całości lub części polskiej grupy narodowościowej, która w dodatku w większości przynależała do Kościoła rzymskokatolickiego. Z tego powodu, moim zdaniem, należy uznać antypolskie akcje UPA za spełniające definicję ludobójstwa; czasami w tym kontekście używam określenia „ludobójcza czystka etniczna”. Nawiasem mówiąc, mam wrażenie, że można dostrzec liczne podobieństwa pomiędzy tym, co się stało z Polakami na Wołyniu w 1943 roku, a losami Tutsi w afrykańskiej

Rwandzie w 1994 roku. Także sam sposób mordowania – za pomocą broni siecznej: siekier, maczet – jest do siebie podobny. Z kolei w wydarzeniach w Galicji Wschodniej można dopatrywać się podobieństw do tego, co się działo w Jugosławii w latach dziewięćdziesiątych. W Srebrenicy wojska serbskie wymordowały po zajęciu enklawy wszystkich mężczyzn; podobnie rzecz się miała w licznych wsiach Galicji Wschodniej – oddziały UPA po wejściu do wioski wybierały mężczyzn i ich rozstrzeliwały. Za modelowy przykład może tu posłużyć egzekucja w bieszczadzkiem Baligrodzie.

Niektórzy polscy historycy mówią wręcz o *genocidum atrox*, czyli ludobójstwie okrutnym.

Część badaczy odczuwa taką pokusę, żeby działania banderowców, którzy dokonali zbrodni, potraktować trochę jak najazd zewnętrzny. W tym kontekście czasami mówi się o „trzecim – po niemieckim i sowieckim – ludobójstwie”. Gdybyśmy brali pod uwagę tylko liczbę ofiar, to taki pogląd miałby swoje uzasadnienie. Różnica pomiędzy tym, co się stało na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, a zbrodniami niemieckimi i sowieckimi polega jednak na tym, że w pierwszym wypadku współobywatele mordowali współobywatele tego samego państwa. W dodatku rzeź wołyńską od innych ludobójstw odróżnia tyleż okrucieństwo, co prymitywizm środków użytych do jej przeprowadzenia.

Jak wobec tego nazwać polskie akcje odwetowe, które miały miejsce jeszcze podczas wojny i dotknęły ukraińską ludność cywilną?

Polscy historycy są zgodni, że w żadnym wypadku nie wolno stawiać znaku równości między działaniami OUN-B i UPA a polskim odwetem. Zarazem jednak spierają się o ocenę tego typu akcji. Zdaniem jednych odwet był zjawiskiem rzadkim i właściwie zawsze usprawiedliwionym. Inni natomiast uważają, iż przynajmniej niektórych działań przeciwko ukraińskim cywilom w żaden sposób nie da się usprawiedliwić, gdyż wykraczały one poza granice obrony koniecznej i przybierały formę zbrodni wojennych. Tu ostatnio przywołuje się najczęściej wydarzenia w Sahryniu, gdzie w marcu 1944 roku oddziały polskiej partyzantki wymordowały ludność ukraińską. Przez wiele lat uważano, że cywile zginęli tam przypadkowo, ale w kontekście ostatnich ustaleń – także rozmów z polskimi świadkami tych wydarzeń – nie ulega wątpliwości, że zabijano wszystkich, którzy mieli napisane w kenkarcie, że są Ukraińcami.

Od 1945 roku banderowskie podziemie było w defensywie.

Trwały już wówczas – realizowane przez komunistów – przymusowe przesiedlenia ludności ukraińskiej z ziem dzi-

siejszej Polski na wschód. Jednocześnie Polacy z Galicji Wschodniej i Wołynia byli przymuszani przez Sowieców do przesiedlenia się do „nowej Polski”. Ostatnim akordem tej wielkiej operacji wysiedleńczej była akcja „Wisła” – krótko po wojnie polscy komuniści przymusowo przesiedlili Ukraińców i Łemków z południowo-wschodnich terenów nowej Polski na ziemie północne i zachodnie.

Nadal pojawia się pogląd, że akcja „Wisła” była jedynym sposobem na zwalczenie ukraińskiego podziemia w Polsce.

Komuniści od samego początku starali się stworzyć wrażenie, że chodzi o zlikwidowanie ukraińskiej partyzantki. Moim zdaniem chodziło jednak raczej o to, aby pozbyć się kłopotu z mniejszością ukraińską. Zdawano sobie sprawę, że tej mniejszości – jeśli się ją pozostawi na ziemiach południowo-wschodnich – nie można łatwo spolonizować. A zapewnianie jej praw kulturalnych komuniści nie mieli zamiaru. Zdecydowano więc o wysiedleniu tych ludzi na zachód i północ i podjęciu tam próby ich polonizacji. Wysiedlano wszystkich, nie patrząc, czy ktoś współpracował z OUN i UPA, została więc zastosowana zasada zbiorowej odpowiedzialności. Co ważne, akcja „Wisła” objęła także tereny, na których ukraińskie podziemie było bardzo słabe lub w ogóle nie istniało. Z tych wszystkich powodów uważam, że akcja „Wisła” nie tylko zasługuje na potępienie, ale też spełnia przyjętą w ustawie o IPN definicję zbrodni komunistycznej.

Do dziś nie ma zgody co do liczby ofiar polsko-ukraińskiego konfliktu z lat 1943–1947. Coraz częściej mówi się o stu tysiącach polskich ofiar, ale pojawiają się też inne liczby: 60 tys. lub nawet 150–200 tys.

W oparciu o istniejące dane naukowe – nie mówię tu o utrzymywanych w sensacyjnym tonie różnych popularnych publikacjach – można mówić o liczbie około 100 tys. zamordowanych Polaków. Zapewne będzie to liczba trochę mniejsza, jednak proponuję używać sformułowania „około stu tysięcy”, bo być może w przyszłości postępujące badania naukowe pokażą, że ofiar jest o kilka-kilkanaście tysięcy więcej

(uważa tak na przykład pani Ewa Siemaszko, która szacuje liczbę ofiar na 120–130 tys.). Z kolei po ukraińskiej stronie w wyniku polskich działań odwetowych zginęło od 10 do 15 tys. osób. Tak jak po polskiej stronie, w większości byli to cywile.

Można powiedzieć, że wokół wydarzeń na Wołyniu i w Galicji Wschodniej istnieje polsko-ukraiński konflikt pamięci.

Po stronie ukraińskiej najbardziej rozpowszechniony jest pogląd – który moim zdaniem jest wręcz nieoficjalną linią polityki historycznej państwa ukraińskiego – że doszło wówczas do polsko-ukraińskiej wojny, w której obie strony popełniały podobne, porównywalne pod względem etycznym zbrodnie. Tego typu ujęcie problemu jest dla strony polskiej nie do przyjęcia. Przyjęcie takiego stanowiska oznaczałoby bowiem postawienie znaku równości między zorganizowaną akcją eksterminacyjną a pojedynczymi wypadkami zbrodni wojennych. To zwyczajnie byłoby niezgodne z prawdą.

Dzisiaj na Ukrainie, zwłaszcza w jej zachodniej części, jest wiele pomników czy ulic Stepana Bandery. Próbuje się budować tożsamość narodową na miocie OUN i UPA. Czy jest tak, jak twierdził historyk Jarosław Hrycak, że na Ukrainie OUN i UPA są postrzegane przede wszystkim w kontekście walki z Sowietami, a sprawa Wołynia albo nie istnieje, albo jest marginalizowana?

Warto wiedzieć, że od 1944 do 1954 roku podziemie nacjonalistyczne na zachodniej Ukrainie toczyło bezpardonową wojnę z reżimem komunistycznym. Bilans tej walki był tragiczny: bez mała pół miliona represjonowanych Ukraińców ▶

▶ Oddział Armii Krajowej na tle płonącego Sahrynia; w wyniku akcji odwetowej Polaków zginęło kilkuset mieszkańców wsi, 9 marca 1944 roku; paradoks historii polega na tym, że nie zachowały się podobne zdjęcia z napadów UPA na polskie miejscowości



– ponad 150 tys. zabitych i ok. 300 tys. aresztowanych czy wywiezionych na Syberię. To jest mniej więcej co dziesiąty mieszkaniec zachodniej Ukrainy. Niemal każda rodzina została dotknięta sowieckimi represjami. Niektórzy zwracają uwagę, że dla ukraińskich mieszkańców Wołynia i Galicji Wschodniej było to znacznie cięższe doświadczenie niż sama II wojna światowa. W sposób naturalny, kiedy Ukraina uzyskała niepodległość, zaczęto stawiać kurhany tym, którzy walczyli przeciwko Sowietom. Zjawisko to początkowo, w latach dziewięćdziesiątych, wynikało z chęci uczczenia członków rodzin, którzy padli ofiarą stalinowskich represji. Mniej więcej do 2003 roku można było zakładać, że Ukraińcy faktycznie niemal nic nie wiedzieli o rzezi wołyńsko-galicyskiej. Ale dziś tego usprawiedliwienia nie można już stosować, gdyż w 2003 roku przetoczyła się przez Ukrainę wielka dyskusja na ten temat, wywołana przygotowaniem do uroczystych obchodów 60. rocznicy rzezi wołyńskiej. Badacze, którzy się tym zajmują, nie mają więc prawa dziś mówić, że to było jakieś marginalne wydarzenie.

Tymczasem w 2010 roku wybory samorządowe na zachodniej Ukrainie wygrała Swoboda – partia, delikatnie mówiąc, skrajnie narodowa. Swoboda głosi radykalnie nacjonalistyczny program, którego częścią jest kult OUN i UPA. Pomijanie w związku z tym rzezi wołyńskiej, galicyjskiej czy więcej – fragmentów historii kładących się cieniem na działalności ukraińskiej partyzantki – musi budzić niepokój, gdyż jest częścią strategii politycznej partii, której program odstaje od demokratycznych standardów.

A czy państwo polskie zrobiło dostatecznie dużo, by upamiętnić polskie ofiary rzezi na Wołyniu i w Galicji Wschodniej?

W latach dziewięćdziesiątych polscy politycy opowiedzieli się za rozłączeniem w kontaktach z Ukrainą i jej obywatelami bieżących spraw politycznych od rozliczeń historycznych. I zasadniczo była to słuszna strategia – wystarczy w tym miejscu przypomnieć, że dzięki temu Polsce i Ukrainie udało się wspólnie zorganizować Euro 2012. Za poważne zaniedbanie uważam jednak fakt, że do dzisiaj nie udało się postawić krzyży i tablic na wszystkich grobach pomordowanych Polaków. Często ofiary wciąż leżą w bezimiennych mogiłach. Do grobu w Parośli – pierwszej wymordowanej polskiej wiosce – można dojść tylko pieszo, leśnym duktem zrytym przez dziki. To, że po przeszło dwudziestu latach po uzyskaniu niepodległości przez Polskę i Ukrainę ciągle trwają debaty, a często spory o kolejne pomniki i cmentarze, jest rzeczą zawstydzającą. Dopóki nie uregulujemy tej sprawy, różne lokalne konflikty o cmentarze będą powracały, rzucając cień na relacje polsko-ukraińskie. Jak ktoś mi nie wierzy, niech jeszcze raz przeczyta *Antygonę*. ■



Od 2002 roku w różnych polskich miastach gości wystawa „Polacy–Ukraińcy 1939–1947”, przygotowana przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Lublinie



• Miejsce, w którym przed wojną była wieś Wydimer, spalona na przełomie lipca i sierpnia 1943 roku przez oddziały UPA; po latach miejscowy Ukrainiec postawił tutaj krzyż z napisem: „Tu była polska wieś Wydimer. W 1943 roku – zniszczona. Polacy rozbiegli się po całym świecie. 1943–2006”

Naukowcy w służbie III Rzeszy

Likwidacja Żydów, wysiedlenie i wyniszczenie większości ludności słowiańskiej oraz osiedlenie w Europie Środkowo-Wschodniej kilku milionów Niemców – takie były główne założenia Generalnego Planu Wschodniego nazistów. Jego autorami byli niemieccy naukowcy, a ich projekty finansowała Niemiecka Wspólnota Badawcza (DFG). Dziś DFG rozlicza się z własną wstydliwą przeszłością. W kilku polskich miastach gości w tym roku przygotowana przez DFG wystawa „Nauka. Planowanie. Wypędzenia”. Filip Gańczak rozmawiał z jej pomysłodawcami i twórcami: **prof. Matthiasem Kleinerem**, prezesem niemieckiej Wspólnoty Badawczej; **prof. Peterem Funke**, wiceprezesem DFG; **doc. Sabine Schleiermacher** z Instytutu Historii Medycyny w Berlinie; **prof. Willim Oberkrome**, historykiem z uniwersytetu we Fryburgu; **prof. Isabel Heinemann**, historyczką z uniwersytetu w Münster.



Fot. P. Życieński

Matthias Kleiner



Fot. P. Życieński

Peter Funke



Fot. P. Życieński

Sabine Schleiermacher



Fot. W. Oberkrome

Willi Oberkrome



Fot. P. Życieński

Isabel Heinemann

Generalny Plan Wschodni był dziełem naukowców. Duża część niemieckiego świata nauki z radością powitała przejście władzy przez Adolfa Hitlera.

Matthias Kleiner: Postawy konserwatywne i nacjonalistyczne były wówczas rozpowszechnione, zwłaszcza w tzw. kręgach mieszczańskich i intelektualnych. To może dziś nieco dziwić, bo od czasu rewolty 1968 roku bycie intelektualistą albo przynajmniej bycie postępowym jest kojarzone z lewicowością. Przed wojną było jednak inaczej. W 1933 roku nie doszło do nagłego pojawienia się nowego fenomenu, jakim były rządy nazistowskie, tylko do dość płynnego przejścia do nowej rzeczywistości. A naukowcy zaoferowali swoje usługi reżimowi Hitlera.

Jak bliskie były związki Niemieckiej Wspólnoty Badawczej z nazistowską władzą?

MK: Rudolf Mentzel, ówczesny prezes DFG, był członkiem NSDAP i Brigadeführerem SS. To pokazuje skalę powiązań.

Peter Funke: Nie chodzi tylko o powiązania instytucjo-

nalne. Uderza okropny oportunizm, z jakim naukowcy podejmowali tematy bliskie nowej władzy. Używali przy tym tego samego języka co wcześniej. Wystarczy spojrzeć, jakim językiem pisane są ekspertyzy na temat eksperymentów medycznych Josefa Mengele. W innych czasach projekty badawcze innych lekarzy opiniowane były niemal takim samym językiem. Nie było tak, że po dojściu Hitlera do władzy wszystko w nauce zaczęło się od nowa.

Sabine Schleiermacher: Zasadnicze punkty, na których opierał się Generalny Plan Wschodni, zostały sformułowane już w czasach Republiki Weimarskiej. Po 1933 roku narodowi socjaliści tylko rozbudowali i radykalizowali te postulaty.

Jakie były główne założenia Generalnego Planu Wschodniego?

Isabel Heinemann: Chodziło o to, by w Europie Środkowo-Wschodniej uzyskać tzw. przestrzeń życiową dla Niemców. Można mówić o kilku etapach lub różnych wariantach. Pierwsze plany powstają na zlecenie Heinricha Himmlera po hitlerowskiej napaści na Polskę i odnoszą się ➤



► Konrad Meyer propagował niemiecką kolonizację „nowego Wschodu”; oznaczało to wypędzenia i masowe mordy

początkowo do zachodnich ziem polskich, włączonych do Rzeszy. Przewidują wypędzenie stamtąd ludności polskiej, całkowite usunięcie Żydów i osiedlenie na tych terenach Niemców. Celem jest trwałe zabezpieczenie niemieckości tych ziem.

Od 1941 roku dyskutowane są warianty, w których także okupowane Generalne Gubernatorstwo coraz częściej jest wymieniane jako obszar przeznaczony do zniemczenia. W maju i czerwcu 1942 roku plany te zostają rozciągnięte na kraje bałtyckie, Ukrainę, część Białorusi i Rosji. Z uwagi na przebieg wojny koncepcja ta nie mogła już zostać zrealizowana.

Chodziło o trwałe zapewnienie niemieckiego panowania na tych terenach, a to oznaczało wywiezienie i całkowitą zagładę Żydów i osiedlanie tam Niemców z Rzeszy i folksdojczów z całej Europy. Miejscowa ludność słowiańska miała zostać podzielona pod względem rasowym na pożądaną i niepożądaną. Rasowo pożądanymi Polacy to niewielki odsetek populacji. Nazywano ich zdolnymi do zniemczenia. Zdecydowana większość ludności polskiej – ale też czeskiej, bałtyckiej czy sowieckiej – została uznana za niezdolną do zniemczenia. Początkowo przewidywano jej wypędzenie. Potem zarzucono tę koncepcję i założono, że ludność tę zdziesiątkują głód i przymusowa praca. W najstrzejszej wersji przewidywano nawet 60 mln ofiar. Trzydzieści milionów ofiar dla nikogo

z planistów nie byłoby problemem. W to miejsce miało zostać osiedlonych około pięciu milionów Niemców.

Jaka była rola Niemieckiej Wspólnoty Badawczej w tych bestialskich planach?

Willi Oberkrome: DFG finansowała te tzw. prace badawcze. I pochłaniało to znaczącą część jej budżetu.

IH: Na Generalny Plan Wschodni i związane z nim badania przygotowawcze DFG wydawała wówczas rocznie od 100 do 150 tys. marek. To tylko bezpośrednie wydatki, a i tak stanowią 2,5 proc. budżetu Wspólnoty. Jeśli przyjąć, że DFG ma dziś budżet w wysokości 2,2 mld euro, to tak, jakby obecnie na Generalny Plan Wschodni wydawano 55 mln euro rocznie. To pokazuje, że był to jeden z ważnych projektów. I DFG o tym wiedziała. Gdy prof. Konrad Meyer, główny architekt Generalnego Planu Wschodniego, pisał do DFG, podawał swoją funkcję w SS. Pisał też jasno, że potrzebuje tych pieniędzy na umacnianie niemieckości. Kierownictwo DFG i osoby odpowiedzialne za ocenę projektów dobrze wiedziały, na co są przeznaczane te środki.

SS: Naukowcy dostarczali ekspertyzy, z których pomocą prowadzone były potem selekcje, deportacje i lustracja ludności pod względem rasowym. W pewnym sensie legitymizowali więc te działania.

Fot. DFG



Fot. DFG

► Heinrich Himmler objaśnia plany osadnicze zastępcy Hitlera Rudolfowi Hessowi, 20 marca 1941 roku

Fot. K. Holopiak



► Prezes IPN dr Łukasz Kamiński (w środku) oprowadza po wystawie wicemarszałka Sejmu Eugeniusza Grzeszczaka

Wystawa pokazuje jednak, że naukowcom, którzy odpowiadali za Generalny Plan Wschodni, po II wojnie światowej pozwolono w RFN kontynuować kariery.

IH: W czasach narodowego socjalizmu profesorowie i doktorzy ochoczo oddali się w służbę nazistowskiemu państwu. Później jednak twierdzili, że byli tylko apolitycznymi naukowcami. Nawet główni architekci Generalnego Planu Wschodniego, tacy jak Konrad Meyer, mogli po wojnie objąć katedry akademickie i w istotnym stopniu kształtować naukę w RFN. Meyer i inni przedstawiciele Komisariatu Rzeszy do spraw Umocnienia Niemczyzny stanęli przed sądem w Norymberdze. Zdołali go jednak przekonać, że pracowali tylko teoretycznie na rzecz poprawienia sytuacji na tym problematycznym pod względem etnicznym terenie, jakim była Europa Środkowo-Wschodnia. Mniej prominentni naukowcy tłumaczyli, że czynili dobrze i słusznie, służąc własnemu państwu. Gotowość do autorefleksji i samokrytyki była znikoma.

WO: Karani byli mordercy. Niemcy nie mieli problemu z tym, że ci, którzy pracowali dla morderców, nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności, tylko mogli znaleźć swoje miejsce w powojennym społeczeństwie – o ile tylko nie eksponowali nazistowskich poglądów – a z czasem się zdemokratyzować.

SS: Wiedza, jaką wypracowano w czasach III Rzeszy, była – z wyjątkiem teorii rasowych – wykorzystywana przez niemieckie społeczeństwo po 1945 roku. Nie pytano więc krytycznie, kto z naukowców co ma na sumieniu.

W ostatnich latach wiele niemieckich urzędów i instytucji zleciło historykom zbadanie swojej prze-

szłości w czasach Trzeciej Rzeszy. Zrobiło tak m.in. ministerstwo spraw zagranicznych. Czy Państwa wystawa wpisuje się w te wysiłki?

MK: Jak najbardziej. Wśród instytucji naukowych pierwsze było Towarzystwo Maxa Plancka. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych także Niemiecka Wspólnota Badawcza zdecydowała się poprosić niezależną grupę naukowców, by przyjrzała się historii DFG. Przyjęto okres od 1920 do 1970 roku, by uniknąć wygodnego koncentrowania się na latach 1933–1945. Dzięki temu można było pokazać, jaka sytuacja poprzedziła działalność świata nauki w III Rzeszy i jak sprawy nauki potoczyły się po wojnie. Prace badawcze trwały osiem lat i w ich trakcie narodził się pomysł, by część historii DFG – Generalny Plan Wschodni – przedstawić nie tylko w opasłych tomach, lecz również w formie wystawy. Naturalną konsekwencją było wciągnięcie do dyskusji naukowców z Polski. Nie było to proste, bo w ostatnich latach Polacy i Niemcy spierali się m.in. o wypędzenia. Tym bardziej cieszymy się więc, że jesteśmy dziś w Warszawie i możemy otworzyć tu naszą wystawę. Duża w tym zasługa Polskiej Akademii Nauk i prof. Michała Kleibera. 🍷



„Nauka. Planowanie. Wypędzenia. Generalny Plan Wschodni narodowych socjalistów”, 1–31 sierpnia, Pałac Działyńskich, Stary Rynek 78/79, Poznań; wcześniej wystawa gościła w Warszawie, Lublinie i we Wrocławiu; we wrześniu będzie można oglądać ją w Muzeum Miasta Gdyni

By znaleźć się pod lupą Służby Bezpieczeństwa, nie trzeba było wcale popełnić przestępstwa ani angażować się w działalność opozycyjną. „Urok” państwa policyjnego, jakim była PRL, polegał właśnie na tym, że to bezpieka decydowała, który obywatel wart jest jej zainteresowania.

Zbiurokratyzowany aparat represji posiadał odpowiednie kategorie „tecek”, czyli spraw operacyjnych, dla każdego typu „przewinień”. Jedną z najniższych w hierarchii była Sprawa Operacyjnego Sprawdzenia (SOS). Wprowadzała ją datowana na 2 lipca 1960 roku instrukcja nr 03/60 o podstawowych środkach i formach pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa. Możemy w niej przeczytać, że SOS zakładano w dwóch przypadkach, a mianowicie gdy „uzyskane dane i informacje wstępne o wrogiej działalności (dokonanej lub zamierzonej) budzą wątpliwości ze względu na wiarygodność źródła informacji lub zgodność z rzeczywistością i zachodzi potrzeba ich sprawdzenia; zaistniałe fakty lub występujące zjawiska z uwagi na okoliczności im towarzyszące wymagają sprawdzenia, czy są wynikiem działalności przestępczej, a brak jeszcze podstaw do wszczęcia rozpracowania”.

Cytowana instrukcja dopuszczała przy prowadzeniu SOS wykorzystanie wszystkich dostępnych środków pracy operacyjnej. To oznacza, że funkcjonariusze mogli korzystać ze środków technicznych (np. podsłuchów telefonicznych), śledzić „figurantów” (czyli osoby podejrzewane w danej sprawie) czy zbierać informacje o nich w miejscach zamieszkania i pracy. Instrukcja nr 03/60 podkreślała, że podstawowym środkiem do prowadzenia SOS powinni być tajni współpracownicy SB. Innym elementem, na który zwracano uwagę, było wykorzystanie analiz i ekspertyz fachowców z dziedziny, jakiej dotyczyła sprawa. SOS powinna trwać w miarę możliwości krótko (maksymalnie rok), a czas jej zakończenia miał określić naczelnik wydziału (w MSW bądź komendach wojewódzkich MO) lub zastępca

komendanta ds. SB (w komendach powiatowych MO).

Zakończenie SOS mogło nastąpić aż na siedem różnych sposobów. Najważniejsze to zakończenie z powodu niewykrycia sprawców, zaprzestania „wrogiej” działalności, śmierci lub pozyskania figuranta do współpracy. Sprawa Operacyjnego Sprawdzenia mogła zostać przekwalifikowana na wyższą kategorię, czyli Sprawę Operacyjnego Rozpracowania (SOR). W takim przypadku inwigilacja była prowadzona nieprzerwanie, a zmiany następowały jedynie w materiałach ewidencyjnych SB.

Kolejna instrukcja (nr 006/70 z 1 lutego 1970 roku) zmieniająca zasady pracy SB zapisy dotyczące prowadzenia SOS pozostawiała niezmiennione. Rozszerzała jedynie możliwość objęcia nią konkretnych osób podejrzewanych o wrogą działalność (wcześniej takie sprawy prowadzono w ramach Sprawy Obserwacji Operacyjnej lub Sprawy Rozpracowania Operacyjnego). Ostatnia zmiana miała miejsce w 1989 roku, podczas tzw. reformy Kiszczaka, zmieniającej całkowicie strukturę organizacyjną SB, a przy okazji zasady prowadzenia pracy operacyjnej. Przyjęta wtedy instrukcja nr 00102/89 likwidowała SOS, wprowadzając na jej miejsce Sprawę Sprawdzenia Operacyjnego (SSO).

Prezentowany obok dokument pochodzi z jednej z wielu tysięcy SOS zakładanych przez SB. Jest on doskonałym przykładem ukazującym priorytety w działalności SB. Sprawa Operacyjnego Sprawdzenia o kryptonimie „Tekst” pokazuje bowiem, że dla funkcjonariuszy Departamentu III MSW (zwalczającego opozycję i niepokorną inteligencję) ważniejsze od pytania, kto odpowiada za opisane w raporcie Najwyższej Izby Kontroli marnotrawstwo w gospodarce, było ustalenie źródła

przecieku. Dla SB potencjalnym przestępcą była osoba, która dostarczyła raport NIK do podziemnej prasy (w oficjalnej prasie nie było szans na publikację), a nie winni ogromnej skali marnotrawstwa opisanego przez NIK.

W sprawie wykorzystano agenturę ulokowaną w NIK, zabezpieczono dokumentację związaną z przeciekami, rozmawiano z osobami odpowiedzialnymi za powstanie raportu oraz obieg dokumentów w NIK. Wszystko to w celu ustalenia źródła przecieku. W ciągu trwających dwa miesiące działań (sprawę wszczęto 12 marca 1985 roku) funkcjonariuszom prowadzącym sprawę udało się ustalić, że dokument NIK jest autentyczny i miało do niego dostęp ok. 160 jednostek administracji państwowej (a w każdej przynajmniej kilka osób). Z uwagi na tak dużą liczbę potencjalnych podejrzanych i relatywnie niski stopień przewinienia nie kontynuowano sprawy.

Przy okazji warto zauważyć nieścisłości występujące w dokumentacji SB, które świadczą o niezbyt priorytetowym traktowaniu sprawy. Przede wszystkim „Tajne Protokoły Najwyższej Izby Kontroli” nie ukazały się w „Tygodniku Wojennym”, lecz wyszły jako kilkunastostronicowa broszura w sygnowanej przez „Tygodnik Wojenny” serii „Teksty” już w 1984 roku. Ponadto w SOS „Tekst” brak jakichkolwiek śladów kontaktowania się z jednostką SB prowadzącą rozpracowanie redakcji „Tygodnika Wojennego”, co przecież powinno być oczywistym krokiem.

Nie wszystkie Sprawy Operacyjnego Sprawdzenia były prowadzone w tak niedbały sposób i kończyły się porażkami SB. Niektóre faktycznie doprowadzały do „pozytywnych” efektów w postaci wyroków skazujących bądź kontynuowania inwigilacji w ramach SOR-ów. ■

Grzegorz Wołk – historyk, politolog, pracownik BEP IPN, doktorant w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności”; zajmuje się badaniem dziejów aparatu represji oraz opozycji w PRL; opublikował m.in. *Ośrodki odosobnienia w Polsce południowo-wschodniej 1981–1982* (2009)

Data i miejsce powstania dokumentu; powszechną praktyką było oficjalne zamykanie spraw wiele miesięcy po zakończeniu działań operacyjnych, w tym przypadku po czterech latach

Numer karty nadany, a później zmieniony w archiwum

Zakończenie sprawy musiało być oficjalnie zatwierdzone przez naczelnika wydziału prowadzącego rozpracowanie (w tym przypadku naczelnika Wydziału VIII Departamentu III MSW)

Warszawa, dnia 1989.07.13

ZASTĘPCA
NACZELNIKA WYDZIAŁU VIII
Departamentu III MSW

TAJNE SPEC.ZNACZENIA
Egz.pojedynczy

13 94

W celu konspiracji działań SB w większości dokumentów używano jedynie kryptonimu, nie informując, co dokładnie jest przedmiotem inwigilacji

Najwyższa klauzula tajności oraz wykonanie jednego egzemplarza gwarantowało większą konspirację działań

W N I O S E K

o zakończeniu sprawy operacyjnego sprawdzenia krypt. **TEKST**
nr ewidencyjny 90797

Numer, pod jakim sprawa była zarejestrowana w materiałach ewidencyjnych SB

Jedno z najważniejszych pism podziemnej Solidarności, wydawane w Warszawie od 2 stycznia 1982 roku do 26 marca 1985 roku

Sprawa operacyjnego sprawdzenia krypt. "Tekst" została założona w dniu 1985.03.12 na fakt opublikowania w "Tygodniku Wojennym" -nielegalnym piśmie konspiracyjnym struktur b. "Solidarności" materiałów Najwyższej Izby Kontroli.

Z kontekstu sprawy wynika, że atak na władze był głównym powodem jej założenia

Na 16 stronach oracowania powołano się na uzyskany dokument kontroli NIK z marca 1984 r. pt. "Informacja o wynikach kontroli jakości produkcji wyrobów przemysłowych". Autorzy artykułu obarczają winą władze państwowe za marnotrawstwo w gospodarce narodowej z tytułu złej jakości wytwarzanych wyrobów.

Cel prowadzenia sprawy

W ramach sprawy podjęto działania operacyjne zmierzające do ustalenia osoby lub osób, zatrudnionych w NIK, które mogły udostępnić wspomniany dokument strukturom podziemnym. M.in. ustalono, dokument ten został istotnie opracowany przez Zespół Nauki i Postępu Technicznego NIK

Termin używany w stosunku do konspiracji solidarnościowej działającej po wprowadzeniu stanu wojennego

Z zebranych danych wynika, że informacja o jakości wyrobów przemysłowych została przesłana przez NIK do ok. 160 jednostek administracji państwowej szczebla centralnego i terenowego co w konsekwencji uniemożliwia ustalenia źródła "przecieku" tych materiałów do struktur podziemnych. Ponadto "Informacja o wynikach kontroli jakości wyrobów przemysłowych" została szeroko rozpropagowana w środkach masowego przekazu, jak również była omawiana w różnych środowiskach zawodowych.

W związku z nie wykryciem sprawcy czynu mając na uw

wadze w/w okoliczności wnioskuję sprawę złożyć w Wydz.IIb Biura "C" MSW. B-5

Funkcjonariusze wszczęli sprawę dotyczącą kolportowania raportu, który był materiałem jawnym i znanym wielu osobom; jedynym wykroczeniem było wydanie go w piśmie solidarnościowym

"B-5" - kategoria archiwalna akt (do zniszczenia po pięciu latach od złożenia do archiwum)

mjr A. Lorenc

Jedna z jednostek organizacyjnych archiwum SB

Wniosek o zakończenie podpisywał funkcjonariusz prowadzący SOS

Polska (?) Rzeczpospolita Ludowa

Andrzej Zawistowski

Sejm Ustawodawczy, wybrany w styczniu 1947 roku w sfalszowanych przez komunistów wyborach, przyjął 22 lipca 1952 roku konstytucję wprowadzającą nową nazwę państwa: Polska Rzeczpospolita Ludowa. Przyjęło się jednak umownie, że Polska „ludowa” nazywa się państwo istniejące w latach 1944–1989. Od dawna toczy się spór o to, czy PRL była przynajmniej w pewnym stopniu krajem suwerennym; krajem, do którego dziedzictwa III Rzeczpospolita powinna choć w części się odwoływać. Mówiąc wprost: czy Polska „ludowa” była Polską?

Wydaje się, że w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku ocena była oczywista. W grudniu 1989 roku orzeł odzyskał złotą koronę, a kraj historyczną nazwę – Rzeczpospolita Polska. Otrzymał nazwę III Rzeczypospolitej, co miało symbolizować nawiązanie do okresu międzywojennego. Parlament przyjął nową numerację swych kadencji, licząc od pierwszych wolnych wyborów (stąd Senat liczy swoje kadencje od 1989 roku, a Sejm dopiero od 1991 roku). I wreszcie w czerwcu 1998 roku Sejm RP przyjął uchwałę potępiającą peerelowski ustrój totalitarny.

W mówieniu o PRL ciągle jednak występuje dysonans: zdarzają się zwolennicy tezy, że – pomimo pewnej zależności od ZSRR – Polska rządziła się samodzielnie (zwłaszcza od 1956 roku) i przyniosła swym obywatelom wiele sukcesów, zarówno tych dotyczących kwestii życia codziennego, jak też ogólnonarodowych (np. sportowych). Przeciwnicy tezy o częściowej suwerenności PRL wskazują na całkowite pozbawienie Polaków jakiegokolwiek wpływu na sprawujących władzę – przede wszystkim brak niezależnych wyborów. Spór ten prowadzi wprost do pytań: Czy PRL można uznać za Polskę? Czy działania władz komunistycznych możemy nazwać „polskimi”? Czy dzisiejsi Polacy powinni ponosić za nie odpowiedzialność – na przykład za komunistyczne obozy, które po 1944 roku funkcjonowały na terenie dawnego obozu na Majdanku, w Jaworznie czy Świętochłowicach-Zgodzie.

Jak więc mówić o PRL? Proponuję, by na Polskę „ludową” spojrzeć podobnie jak na okres zaborów. W polskiej historiografii wielokrotnie dokonywano dziejowego osądu nad minionymi wydarzeniami, oceniając je z historycznej perspektywy.

To, że koronowani w Warszawie w XIX wieku Aleksander I i Mikołaj I nie są uznawani za królów polskich, jest kwestią umowną. Także kolejni carowie rosyjscy – już bez koronacji – nosili godność króla Polski. Czyli – zgodnie z ówczesnym prawem – ostatnim królem Polski był Mikołaj III! Uznanie tego za obowiązującą wykładnię historyczną automatycznie przekreślałoby możliwość traktowania lat 1795–1918 jako czasu zaborów. Uznajemy jednak, że narzuceni nam władcy nie byli prawowitymi dziedzicami polskiej korony. Dlatego uważam, że tak jak okres 123 lat niewoli określamy jako zabory, tak lata 1944–1989 powinniśmy postrzegać jako czas, gdy Polska była całkowicie pozbawiona suwerenności, a rządzący w niej ludzie sprawowali swój mandat z nadania Moskwy.

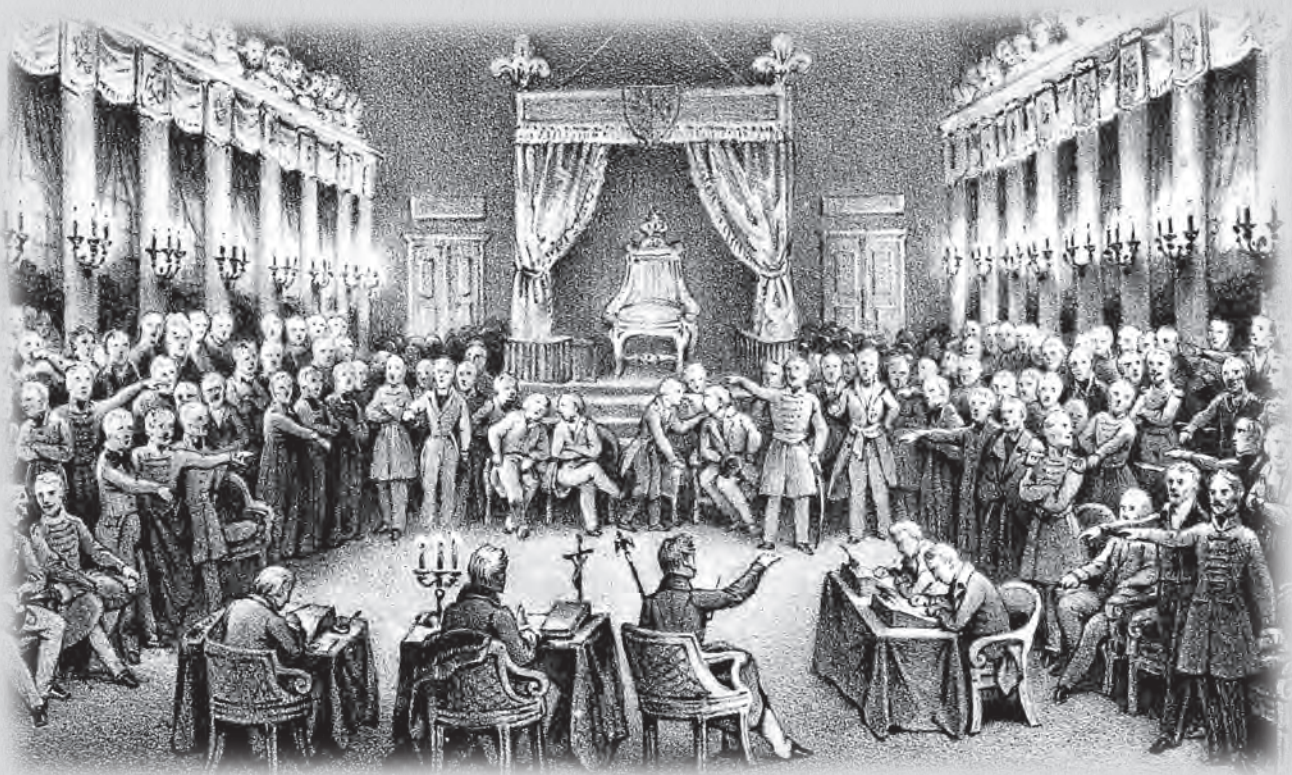
Złe urodzenie

O wymazaniu u schyłku XVIII wieku państwa polskiego z mapy Europy przesądziły rozbiory. Preludium do nich była konfederacja targowicka, zawiązana przez przeciwników reform Konstytucji 3 maja. Pomysłodawcy konfederacji pojechali do Petersburga, by uzyskać pomoc imperium, w którego orbicie Rzeczpospolita znajdowała się już od wielu lat. Zasady konfederacji ustalono w Petersburgu, ogłoszono jednak pod fałszywą datą w polskiej Targowicy. Korzystając ze wsparcia wojsk carskich, targowiczanie sięgnęli po władzę wbrew obowiązującej konstytucji.

Tak jak współpraca konfederatów z Rosją przyczyniła się do utraty przez Rzeczpospolitą resztek suwerenności, tak współpraca polskich komunistów z ZSRR była początkiem powstania Polski, nazwanej publicystycznie „ludową”. W historiografii peerelowskiej za moment narodzin Polski „ludowej” uznawano powołanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (formalnie na terenie pierwszego miasta „wyzwolonej” Polski, czyli Chelma) i ogłoszenie przez ten twór 22 lipca 1944 roku Manifestu zwanego Lipcowym. W rzeczywistości PKWN powołano 21 lipca w Moskwie, tam też zredagowano manifest. Jednak ze względów propagandowych – tak jak w przypadku konfederacji – jego powstanie ogłoszono w polskim mieście. Komitet powstał z nadania Stalina, całkowicie i wbrew obowiązującej konstytucji. I tak jak konfederaci targowiccy zdobyli władzę dzięki bagnetom rosyjskiej armii, tak władzę komunistyczną przywieziono na radzieckich czołgach.

Terytorium

W 1815 roku na kongresie wiedeńskim powołano do życia Królestwo Polskie, całkowicie zależne od Rosji. Terytorium tego quasi-państewka zostało sztucznie określone, bez brania pod uwagę kwestii narodowościowych, wyznaniowych, ekonomicznych itd. Poza granicami państwa pozostały dwie jego historyczne stolice: Gniezno i Kraków. Poza granicami znalazła się także większość Polaków. Nie tylko na terytorium



► Detronizacja Mikołaja I jako króla Polski przez Sejm podczas Powstania Listopadowego, 25 stycznia 1831 roku, rycina François'a de Villaina

pruskim czy austriackim – także na terytorium Imperium Rosyjskiego (wewnętrzna granica odcinała od Królestwa takie miasta jak Wilno, Grodno czy Białystok). Z formalnego punktu widzenia nic nie stało na przeszkodzie, by terytoria te znalazły się w Królestwie. Car jednak chciał inaczej.

Także o tym, jak będzie wyglądała Polska i jej terytorium po II wojnie światowej, nie decydował żaden Polak. Zdecydował o tym Stalin. Ogłoszono, że Chełm był pierwszym miastem „wyzwolonej” Polski. To mniej więcej tak, jakby dzisiaj uznać Kalisz, Bydgoszcz albo Częstochowę za leżące tuż przy granicy państwa. Chełm przed II wojną światową leżał ok. 150 kilometrów od geograficznego środka Polski! Co więcej, wbrew propagandzie, nie był pierwszym „wyzwolonym” miastem na zachód od linii Curzona, która miała stać się nową granicą. Już 18 lipca zajęto Hajnówkę, która jednak ze względów narodowościowych, wyznaniowych i historycznych nie nadawała się na tymczasową stolicę nowej, komunistycznej Polski.

Sowieci bez skrupułów odebrali Polsce niemal połowę terytorium, przyznając arbitralnie ziemie pomorskie na zachodzie i północy. Nie liczyło się dla nich to, że nowy przebieg granicy w żaden sposób nie odzwierciedla podziału etnicznego, ekonomicznego, społecznego. Przeciwnie, Stalin bez najmniejszych skrupułów zdecydował o odcięciu od Polski terytoriów od wieków będących ostoją polskiej kultury, nauki, życia ekonomicznego. Za linią Curzona zostały miliony Polaków, którzy – jeżeli nie chcieli żyć w ZSRR – musieli na zawsze porzucić rodzinne strony, domy i groby bliskich. „W zamian” przyznano okrojonej państwu terytoria, które często z Polską przez wieki miały niewiele wspólnego, np. Wałbrzych, Koszalin czy Szczecin.

Rosjanie w czasach zaborów – a po II wojnie światowej Sowieci – mieli niemal nieograniczoną władzę nad podporządkowanymi sobie Polakami i zamieszkiwanym przez nich terytorium. Mogli je zmieniać według swojego uznania. Gdy w 1912 roku władze carskie zdecydowały o oderwaniu od Królestwa Polskiego Chełmszczyzny i podporządkowaniu jej gubernatorowi w Kijowie, zrobiły to mimo licznych protestów. Podobnie było w 1951 roku, gdy na żądanie władz ZSRR Polska „ludowa”, w zamian za fragment bieszczadzkich gór, oddała sowieckiemu państwu bogaty w zasoby węgla teren wokół Krystynopola. ►

► Na plakacie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego żaden z przymiotników nie jest prawdziwy



Władza

Warto zauważyć, że Królestwo Polskie w latach 1815–1832 miało własną konstytucję nadaną przez Aleksandra I, która utrzymywała wszelkie atrybuty niepodległego państwa. Na czele państwa stał król (czyli car reprezentowany przez namiestnika), funkcjonowały Sejm i Senat, Rada Stanu i Rada Administracyjna. Bank Polski emitował nominowane w złotych banknoty. Wojsko nosiło na czapkach orły w koronach, polski był językiem komendy, narodowe były sztandary. Jedynie głównodowodzącym był z nadania cara jego brat – wielki książę Konstanty Pawłowicz. To wszystko miało miejsce w okresie określanym w historiografii jako czas zaborów.

Dla porównania: Polska „ludowa” także miała konstytucję. Konstytucja z 1952 roku była co prawda formalnie uchwalona przez Sejm Ustawodawczy, ale wcześniej została zaakceptowana przez Stalina, który odręcznie nanosił poprawki na jej rosyjskojęzycznej wersji. Faktycznie to on ją nadał!

Władze PRL tylko formalnie były niezależne. Polska „ludowa” faktycznie miała – tak jak Królestwo Polskie – namiestnika. Piastował on stanowisko I sekretarza KC PZPR. Zostawmy jednak na chwilę partię. Chciałbym wymienić w porządku chronologicznym kilka nazwisk: Aleksander Zawadzki, Edward Ochab, Marian Spychalski, Józef Cyrankiewicz, Henryk Jabłoński, Wojciech Jaruzelski. To osoby pełniące od 1952 roku funkcję przewodniczącego Rady Państwa, czyli *de iure* – głowy państwa. Nikt jednak nie nazywa okresów historii PRL jako czasów Zawadzkiego, Jabłońskiego, Spychalskiego. Mówimy o czasach Bieruta, Gomułki, Gierka czy Jaruzelskiego. Tylko ten ostatni łączy te dwa zestawienia, i tylko przez część lat osiemdziesiątych. *De facto* władzę w PRL

sprawowali więc I sekretarze KC PZPR. Żaden z nich nie został wybrany bez namaszczenia Moskwy. Pełnili więc funkcję namiestników ZSRR w Polsce, tak jak było to z carskimi namiestnikami w XIX wieku. Różnicy nie ma żadnej.

Szczególnie ciekawie przedstawia się porównanie sytuacji wojska. W Polsce „ludowej” od początku było ono zsovietyzowane. Przez pierwsze lata na stanowiskach oficerskich wprost roilo się od POP-ów (obywateli ZSRR pełniących obowiązki Polaków), kadre dowódczą w dużej części stanowili oficerowie sowieccy (czasami nawet paradujący wprost w sowieckich mundurach). Ci, którzy nałożyli polskie mundury (jak gen. Karol Świerczewski), wciąż formalnie byli w szeregach radzieckiego wojska. Kwintesencją podporządkowania Wojska Polskiego było wyznaczenie w 1949 roku na jego zwierzchnika, ministra obrony narodowej i marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego. Tak jak ponad 140 lat wcześniej, na czele polskiego

wojska stanął przysłany ze wschodu Konstanty Rokossowski zmyła odwilż 1956 roku, ale do końca istnienia PRL na czele wojska stał wychowanek sowieckiego wojskowego systemu szkolenia. Warto też pamiętać, że ludowe Wojsko Polskie od 1955 roku było częścią Układu Warszawskiego, którego dowódcami (formalnie naczelnym dowódcą Zjednoczonych Sił Zbrojnych Państw Stron Układu Warszawskiego) byli I wiceministrowie obrony ZSRR. Do tego dochodziły dziesiątki tysięcy żołnierzy Armii Radzieckiej stacjonujących na polskiej ziemi. Jeżeli więc dziewiętnastowieczne Królestwo Polskie nie było krajem suwerennym, ale jedynie częścią polskich terenów rozbiorowych, to tym bardziej PRL nie zasługuje na miano kraju wewnętrznie i zewnętrznie suwerennego.

Obywatele

Zgodnie z definicjami prawnymi głównym zadaniem państwa jest ochrona obywateli przed zagrożeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi. Jeżeli więc obywatele ze strony formalnie ich własnego państwa nie mogą oczekiwać ochrony, lecz muszą obawiać się niebezpieczeństwa – trudno, by takie państwo uznawali za własne. W czasie zaborów symbolem represji rosyjskich były zsyłki na Sybir. Tysiące Polaków, tylko dlatego że odważyli się upomnieć o własną niepodległość, byli zsyłani w głąb Związku Radzieckiego. Można przewrotnie powiedzieć, że i tak mieli więcej szczęścia niż ci, którzy za swoje dążenia zapłacili cenę najwyższą, oddając własne życie.

Po wejściu na ziemie polskie Armii Czerwonej w latach 1944–1945 sytuacja wyglądała niemal identycznie jak w czasie zaborów. Patrioci trafiali do więzień, skąd wywożeni byli na długie lata za Ural. Sowietom bez żadnych problemów aresztowali, sądzili i skazy-

wali – na mocy radzieckiego prawa – przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Warto pamiętać, że Obława Augustowska, największa zbrodnia popełniona na polskich obywatelach po zakończeniu w Europie II wojny światowej, została dokonana przez sowiecką armię na formalnie niepodległym polskim terytorium!

Symbole

W historii Polski niezmiernie ważną oznaką niepodległości są narodowe symbole. Orzeł, biało-czerwony sztandar, Mazurek Dąbrowskiego są pewnego rodzaju wyznacznikiem ciągłości polskiego państwa, dążenia do suwerenności narodu. Warto jednak przypomnieć, że orzeł biały był wykorzystywany przez państwa zaborcze niemal do 1918 roku. Do annałów przeszedł np. rysunek, na którym żołnierz niemiecki i austriacki w 1916 roku uwalniali z klatki białego orła. Po II wojnie światowej



► Okolicznościowa moneta wybita z okazji 25. rocznicy przyłączenia tzw. ziem odzyskanych; niekiedy od setek lat nie miały one styczności z Polską, o ich „polskości” zdecydowała obca siła; fot. ze zbiorów M. Foksa

komuniści także postanowili posłużyć się narodową symboliką, by pod tym szyldem prowadzić własną politykę podporządkowywania Polski Sowiетom. Oczywiście, przemyślano się do zmiany godła, flagi czy hymnu, jednak – także za radą Stalina – pozostawiono te symbole z niewielkimi zmianami. Brak radykalnych zmian symboli utrudniał bowiem podziemiu niepodległościowemu propagandową walkę z komunistycznymi organami władzy.

Jedyną widoczną różnicą między symbolami narodowymi z czasów II Rzeczypospolitej i Polski „ludowej” było pozbawienie orła korony. To właśnie kształt narodowego godła stał się symbolem braku narodowej legitymizacji PRL. Ale przecież orzeł bez korony nie był nowością w polskiej codzienności. Wystarczy przypomnieć, że legionieści Józefa Piłsudskiego nosili na czapkach orła bez korony. Sam Piłsudski do końca życia nosił maciejówkę z takim właśnie orłem. Komuniści pozbawili orła korony w 1943 roku, gdy Janina Broniewska zaprojektowała wojskowego orła wzorowanego na księżycym sarkofagu władców polskich pochowanych w Płocku. W ten sposób powstał orzeł (złośliwie nazywany „kuricą”) noszony przez żołnierzy Berlinga. „Kurica” była bezpośrednią poprzedniczką godła, któremu komuniści odebrali koronę. Gdy w 1981 roku wprowadzili stan wojenny, postanowili legitymizować swoją władzę przez wykorzystanie narodowych symboli. To właśnie wówczas pojawił się pomysł przywrócenia orłowi korony, nadania gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu stopnia marszałka Polski i wprowadzenia w wojsku tradycyjnych rogatywek w stroju galowym (w miejsce czapek mających radzieckie korzenie). Ostatecznie zdecydowano się tylko na ten ostatni krok, ograniczając go jedynie do kompanii reprezentacyjnej. Z symbolami niepodległej Polski komuniści postępowali więc tak jak kraje zaborcze – wykorzystywali je instrumentalnie do uzyskania partykularnych celów.

Koniec u początku

Nie da się nie zauważyć, że koniec zaborów i koniec PRL mają bardzo wiele wspólnego. 11 i 14 listopada 1918 roku Józef Piłsudski przejmował władzę z rąk Rady Regencyjnej – organu powołanego wszak przez państwa zaborcze: Niemcy i Austro-Węgry. Kilka dni później, wraz z Jędrzejem Moraczewskim, wyrzucił on cały porządek prawny przygotowany przez zaborców i poprowadził Polskę do suwerenności! Z formalnego punktu widzenia przez pierwsze miesiące władza Piłsudskiego była pozbawiona jakiegokolwiek legitymizacji.

Jeśli spojrzeć na ostatnie miesiące istnienia PRL, to trudno oprzeć się wrażeniu, że świadomie złamano jej konstytucyjne prawo i historyczną legitymizację. Najpierw – w wyniku okrągłostołowych ustaleń – przywrócono Senat, który usunięto z systemu prawnego na skutek sfałszowanego referendum z czerwca 1946 roku. Najważniejsze jednak jest to, że powołany we wrześniu 1989 roku rząd Tadeusza Mazowieckiego był nielegalny z punktu widzenia ówczesnego porządku konstytucyjnego. Wszak utworzenie tego gabinetu podważało zapisaną



Fot. ze zbiorów M. Foksa

► Rok 1917: Orzeł Biały w koronie na banknocie gwarantowanym przez Rzeszę Niemiecką

w konstytucji kierowniczą rolę PZPR. Podważało też system ekonomiczny, którego była ona gwarantem. Ten fragment konstytucji usunięto dopiero w końcu grudnia 1989 roku, a więc ponad trzy miesiące po powstaniu solidarnościowego rządu!

PRL z dobrodziejstwem inwentarza?

Bardzo często obrońcy tezy o przynajmniej częściowej polskości władz peerelowskich żądają, by ci, którzy wyrzekają się odpowiedzialności za PRL, wyrzekli się także tego, co



► Radziecki marszałek Polski Konstanty Rokossowski podczas defilady Świąta Odrodzenia Polski 22 lipca 1951 roku na warszawskim placu noszącym imię twórcy sowieckiej bezpieki Feliksa Dzierżyńskiego; czy państwo z armią dowodzoną przez namiestnika ze wschodu można uznać za niepodległe?

Fot. AIPN

zostawiło to państwo współczesnym Polakom. Podawane są przykłady rozkwitającej kultury narodowej, sukcesów na polach oświaty i nauki. Pojawia się wręcz swoisty szantaż: jeżeli nie uznajesz PRL za swoje państwo, oddaj zdobyte wówczas wykształcenie, wyprowadź się ze zbudowanego wówczas mieszkania, a jadąc do Katowic, omijaj „gierkówkę”.

To błędne myślenie, bo jeżeli zastosować je w odniesieniu do XIX wieku, Polacy powinni wyrzec się ówczesnych narodowych wieszczów czy stworzonych wtedy podstaw przemysłu i infrastruktury. Chłopi powinni zrezygnować z ziemi uzyskanej w latach reform uwłaszczeniowych. Trzeba by zamknąć Uniwersytet Warszawski (utworzony w 1816 roku) i zburzyć pomnik Adama Mickiewicza w Warszawie (1898 rok). Warto tymczasem pamiętać, że to, co dobrego przyniosły lata PRL, wytworzyli sami Polacy, a nie władza komunistyczna. Tak naprawdę od komunistów Polacy dostali (oprócz niedemokratycznego systemu politycznego, centralnie planowanej gospodarki i aparatu represji) jedynie stołeczny Pałac Kultury i Nauki.

Gdzie była Polska?

Jeżeli więc PRL nie była Polską, to gdzie ona była? Czy mogła istnieć Polska bez Polski? Oczywiście, mogła, i można podać wiele przykładów potwierdzających tę tezę. Ograniczę się do cytatu z pieśni, którą znają wszyscy Polacy. W 1797 roku, dwa lata po trzecim rozbiore Polski, Józef Wybicki pisał: „Marsz, marsz Dąbrowski, do Polski z ziemi włoskiej!” Za Polskę uznał więc terytorium zamieszkałe przez Polaków oraz wspólnotę, którą tworzyli – także na emigracji. Po II wojnie światowej Polska była wśród tych, którzy nie pogodzili się z utratą suwerenności: dawnych żołnierzy AK, harcerzy wiernych ideom ruchu, uczniów na lekcjach prowadzonych przez nauczycieli polskiej historii. Polska była wśród ludzi Solidarności, która była jedyną demokratyczną organizacją w latach PRL, a jej zjazd stał się quasi-parlamentem zniewolonego kraju. Polska była także w Kościele, który przechował narodowe tradycje i aktywnie wspierał dążenia do niepodległości i demokracji. Polska była wreszcie wśród emigrantów, Polaków szukających godnego życia. To oni przechowywali pamięć o niepodległym kraju i z ogromnym osobistym zaangażowaniem zmierzali do wolnej Polski.

PRL nie była Polską, tak jak Polska nie było rozbiorewe Królestwo Polskie czy habsburskie Królestwo Galicji i Lodomerii. Mimo zamiarów zaborców, mimo ich polityki zjednywania poparcia Polaków, mimo represyjności systemów – ducha narodowego nie udało się złamać. Dzięki wysiłkowi zbrojnemu w latach 1914–1921 wyrosła niepodległa II Rzeczpospolita, dzięki ludziom Solidarności wyrosła niepodległa III Rzeczpospolita. 🇵🇱

dr Andrzej Zawistowski – dyrektor BEP IPN i pracownik Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie

Polska „ludowa”, ale polska

Jerzy Eisler

Co pewien czas powraca wywołujące niemalże emocje pytanie, czy Polska Rzeczpospolita Ludowa była Polską, to znaczy, czy należy uznać, że była to jakaś niedoskonała, ale jednak forma polskiej państwowości.

Czym była PRL?

Wiele osób, w tym znaczna część badaczy dziejów najnowszych (sam czasem dostrzegam u siebie taką tendencję), już do samego wyrażenia „PRL” podchodzi z nutą ironii, a nawet z pewnym lekceważeniem. Z pewnością nie ułatwia to merytorycznej dyskusji o tym, czy PRL była, czy nie była państwem polskim. Dla mnie nie ulega wszakże wątpliwości, że – przy wszystkich niezbędnych zastrzeżeniach – należy w tym wypadku udzielić odpowiedzi twierdzącej. Co więcej, w moim przekonaniu PRL była państwem nie tylko polskim, lecz także niepodległym – ale już nie państwem suwerennym.

Była państwem niepodległym przede wszystkim dlatego, że cieszyła się oficjalnym uznaniem na arenie międzynarodowej, utrzymywała stosunki dyplomatyczne z przeszło setką krajów świata. Należała do rozmaitych organizacji międzynarodowych – w tym do ONZ, której była jednym z założycieli. Ponadto PRL posiadała instytucje typowe dla organizmu państwowego – takie jak Sejm, Rada Państwa, Rada Ministrów, rady narodowe różnych szczebli. Naturalnie nie pochodziły one z wolnych wyborów, niemniej jednak formalnie z czegoś, co przecież było aktem głosowania, w którym każdorazowo uczestniczyli miliony obywateli. Ludzie, którzy w PRL ani razu nie wzięli udziału w żadnych wyborach do Sejmu czy rad narodowych, byli w wyraźnej mniejszości.

Symbole narodowe

PRL miała także takie atrybuty państwowości – których nie mają województwa, departamenty czy landy – jak prawo emisji pieniądza (choć złoty był walutą niewymienialną), własną armię (choć całkowicie uzależnioną od Związku Radzieckiego), barwy narodowe, hymn i godło, które w porównaniu z innymi państwami bloku wschodniego zostało zmienione w niewielkim stopniu. Orzeł stracił wprawdzie złotą koronę, ale to jednak dość niewiele, jeśli porównać to z sytuacją na Węgrzech, gdzie herb



Fot. Sobieszczuk, Bogacz/PAP

► Orzeł Biały odzyskał koronę na mocy ustawy z 29 grudnia 1989 roku o zmianie Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej; nowy wzór godła wprowadziła jednak dopiero 22 lutego następnego roku ustawa o zmianie przepisów o godle, barwach i hymnie Rzeczypospolitej Polskiej; na zdjęciu: malowanie orła według nowych przepisów w zakładzie sztyldów, 10 stycznia 1990 roku

Kossutha został zastąpiony czerwoną gwiazdą. Warto też zauważyć, że komuniści nie zmienili nam hymnu. Plotka głosi, że zawdzięczamy to Józefowi Stalinowi, któremu podobno podobał się *Mazurek Dąbrowskiego* i polski orzeł. Wydaje się to dość prawdopodobne, ponieważ ekipa Bolesława Bieruta była bardzo serwilistyczna i bez wahania zrealizowałaby każde polecenie Kremla.

Niepodległa, ale nie suwerenna

Wspomniałem już, że Polska „ludowa” była państwem niepodległym, ale nie była państwem suwerennym. Jej suwerenność była okrojona w dwójnasób. Po pierwsze, ponieważ w ciągu 45 lat nigdy nie przeprowadzono wolnych i niesfałszowanych wyborów do Sejmu i rad narodowych (wyjątkiem były wybory do Senatu w czerwcu 1989 roku), rządzący pozbawieni byli nie tylko demokratycznej legitymizacji, ale też społecznego, suwerennego mandatu do sprawowania władzy.

Po drugie, a był to czynnik jeszcze ważniejszy, przez 45 lat – oczywiście w różnym stopniu – suwerenność PRL była skutecznie ograniczana przez ZSRR. Wiele decyzji dotyczących Polski zapadało w Moskwie. W okresie stalinowskim na Kremlu decydowano o obsadzie wielu stanowisk państwowych w Polsce, a i później zmiany na najwyższych piętach władzy nie

następowały wbrew Związkowi Radzieckiemu, ale w najlepszym razie za przyzwoleniem aktualnych gospodarzy Kremla.

Różne stopnie zależności

Jeżeli dyskutujemy, czy PRL miała jakkolwiek zakres suwerenności, to zawsze w praktyce mówimy o okresie po 1956 roku. Wcześniej nie było mowy o żadnej suwerenności. Stalin telefonicznie instruował przywódców partii komunistycznej w Polsce, co i jak mają robić. To nie były propozycje do dyskusji. To był dyktat. Nikita Chruszczow, Leonid Breżniew, a w największym stopniu Michaił Gorbaczow stwarzali pozory, że relacje łączące PRL i ZSRR mają charakter partnerski, choć mało kto naprawdę w to wierzył. Tymczasem Stalin nawet nie udawał. Bierut i Berman nie byli dla niego żadnymi partnerami. Po prostu wzywał ich do siebie jak na odprawę wojskową. Traktował Polskę jak kraj kompletnie podległy. Później to się stopniowo zmieniło. Stanisław Kania, I sekretarz KC PZPR w latach 1980–1981, tłumaczył mi: „Oczywiście, na mnie Breżniew krzyczał, miał do mnie pretensje. Ale mogłem przedstawiać mu swoje racje i mogłem go przekonywać”. Był zatem pewien margines niezależności i swobody polskich przywódców. Wiele zależało od ich cech charakterologicznych. Gomułka pewnie nie zgodziłby się na ►

budowę szerokotorowej linii kolejowej od granicy polsko-radzieckiej do planowanej Huty Katowice. Edward Gierek od razu na to przystał. Gomułka nie chciał słyszeć o powrocie do polityki kolektywizacji rolnictwa. Gierek zaś wyraźnie wspierał tzw. rolnictwo uspołecznione. Oczywiście realizowano to innymi środkami niż w okresie stalinowskim – były jednak naciski finansowe, organizacyjne, administracyjne oraz wyraźne preferencje dla „rolnictwa uspołecznionego”.

PRL jak Francja Vichy

Sytuacja PRL przypomina nieco sytuację Państwa Francuskiego z lat 1940–1942. W listopadzie 1942 roku całe terytorium Francji zajęli Niemcy. Wcześniej jednak przez ponad dwa lata rząd marszałka Philippe’a Pétaina z siedzibą w Vichy cieszył się znaczną niezależnością, mimo że północną część Francji wraz z Paryżem i całym wybrzeżem atlantyckim okupował Wehrmacht.

Państwo Francuskie utrzymywało stosunki dyplomatyczne z trzydziestoma kilkoma krajami świata, w tym ze Stolicą Apostolską, z neutralną Szwajcarią, do czerwca 1941 roku ze Związkiem Radzieckim, a do listopada 1942 roku ze Stanami Zjednoczonymi. *Marsylianka* nadal była hymnem francuskim, barwy narodowe były te same. Zniknęła tylko nazwa „Republika Francuska”, zastąpiona określeniem „Państwo Francuskie”. Istniała stutysięczna armia rozejmowa, utrzymywana w południowej Francji. Do tego dochodziła czwarta co do wielkości flota wojenna świata, stacjonująca w Tulonie. Co więcej, władzom francuskim nadal podlegała zdecydowana większość

imperium kolonialnego wraz z przebywającymi tam wojskami, które należałoby szacować na paręset tysięcy żołnierzy.

Jednak tak jak kolejne ekipy polityczne w PRL nie mogły zrobić nic przeciwko Związkowi Radzieckiemu, tak żadna ekipa francuska – ani Pétain, ani Pierre Laval, ani admirał François Darlan – nie mogła podjąć polityki antyniemieckiej. Przywódcy francuscy spotykali się z Hitlerem, tak jak przywódcy PRL przez bardzo długi czas spotykali się prawie wyłącznie z przywódcami radzieckimi i liderami „bratnich” partii. Dopiero w latach sześćdziesiątych zaczęły się kontakty władz PRL z politykami zachodnimi na najwyższych szczeblach.

Kompromisy z reżimem

Pamiętam, jak po zamachu stanu w Chile, dokonanym we wrześniu 1973 roku przez gen. Augusto Pinocheta, szedłem Krakowskim Przedmieściem w Warszawie. Myślałem wtedy: „Jak nieszczęśliwi są ludzie żyjący w krajach rządzonych po dyktatorsku”. Nie zdobyłem się na refleksję, że sam w takim kraju żyję. Dziś wielu ludzi chętnie mówi, że byli w opozycji, że walczyli z reżimem o demokratyczną, wolną, niepodległą Polskę. Gdyby rzeczywiście tak było, gdyby faktycznie jawny i czynny opór był tak powszechny, jak można to czasem dzisiaj usłyszeć, to całkiem możliwe, że byłoby nas dzisiaj nie 38, lecz może nie więcej niż 28 milionów. Im bowiem silniejszy byłby opór społeczny – zwłaszcza zbrojny – tym represje ze strony władz byłyby bardziej bezwzględne i brutalne. Bez porównania więcej ludzi by zginęło, zostało deportowanych w głąb ZSRR albo zdecydowało się na ucieczkę z kraju.

Narodowi polskiemu brutalnie przetrącono kręgosłup, w dużym stopniu jeszcze w czasie II wojny światowej. Społeczeństwo poniosło wtedy gigantyczne straty. Mówimy o sześciu milionach zabitych obywateli polskich. Ale ludność Polski – także wskutek zmiany granic, przesiedleń, emigracji – zmniejszyła się z 35 do 24 milionów. Straciliśmy niemal jedną trzecią obywateli przedwojennej Rzeczypospolitej. Po takiej traumie społeczeństwo nie miało siły się bronić, a w następ-

nych latach proces przystosowania się Polaków do życia w nowym systemie był znacznie silniejszy, niż dziś wielu chciałoby to przyznać.

Ludzie uczestniczyli w kolejnych wyborach do Sejmu i rad narodowych (mając na ogół świadomość ich fasadowego charakteru), chodzili na pochody pierwszomajowe, zapisywali się do partii i różnych oficjalnie działających organizacji. Zapominamy przy tym łatwo, że przecież w stanie

▶ Polska „ludowa” obchodziła święta inne niż II i III RP, choć w tym samym miejscu – na zdjęciu ostatnie uroczyste obchody Narodowego Święta Odrodzenia Polski 22 lipca 1989 roku przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie; za godłem (jeszcze bez korony) stoi prezydent PRL i przyszły pierwszy prezydent III RP gen. Wojciech Jaruzelski, drugi od lewej marszałek Sejmu kontraktowego Mikołaj Kozakiewicz, pierwszy od prawej marszałek Senatu Andrzej Stelmachowski



Fot. Ireneusz Sobieszczuk/PAP

wojennym nawet Polski Związek Niewidomych był członkiem zbiorowym PRON. Do związków zawodowych przed 1980 rokiem należało kilka milionów ludzi. Tych, którzy „bez skazy” przeszli przez PRL, jest absolutna garstka. Mam tutaj na myśli takich, którzy od władz PRL niczego nie oczekiwali i niczego osobiście nie chcieli: ani paszportu, ani mieszkania, ani przyjęcia dzieci na studia – po prostu nic! Ale to były sytuacje zupełnie wyjątkowe.

Nie odpowiada mi w żadnym razie filozofia głosząca, że w jakiś sposób praktycznie wszyscy ludzie, którzy wtedy żyli, „umoczyli się” w PRL, choć zarazem trudno zaprzeczyć, że wchodziliśmy z władzą w rozmaite układy, zawieraliśmy tzw. zgniłe kompromisy, aby uzyskać jakieś korzyści. Gdyby trzymać się twardych zasad, to ktoś, kto w PRL przyjął talon na samochód, nagrodę lub odznaczenie państwowe, nie zasługiwałby na miano człowieka honoru. Trzeba by w takiej sytuacji wyrzucić z naszej dumnej historii pół świata literackiego, aktorskiego, sportowego i naukowego. Moi rówieśnicy i ludzie starsi ode mnie nie urodzili się 4 czerwca 1989 roku, w dniu częściowo wolnych wyborów do Sejmu. Na pewno nie wszystko, co robiliśmy w PRL, byłoby dzisiaj godne pochwały. Na masową skalę dawaliśmy łapówki, nazywając to drobnymi upominkami. Kupowaliśmy cielęcinę „od baby”, towary spod lady, kombinowaliśmy, omijaliśmy na różne sposoby prawo, zaliczaliśmy wykłady polityczne, ozdabialiśmy nasze prace cytataми z „klasyków”, nierzadko też kłamaliśmy, gdyż obowiązywało orwellowskie dwójmyślenie.

Szkodliwi kolaboranci

Czy można to wszystko nazwać kolaboracją z reżimem? Moim zdaniem nie. Stefan Korboński mawiał, że kolaboracja musi być dobrowolną działalnością na szkodę własnego narodu. Czy zatem chłop w Generalnym Gubernatorstwie, dostarczający Niemcom kontyngent, był kolaborantem? Oczywiście nie, bo nie robił tego dobrowolnie. Jeżeli nie dostarczyłby okupantom krowy, świnii, drobiu, zboża itd., to naraziłby siebie i swoich bliskich na surowe represje. Z kolei pracownicy Polskiego Czerwonego Krzyża czy Rady Głównej Opiekuńczej zdecydowanie dobrowolnie współpracowali z Niemcami, ale nie tylko nie robili tego na szkodę, ale wręcz dla dobra polskiego społeczeństwa.



► Plakat propagandowy: „ojczysty dom” to w domyśle Polska, ale plon przyjmują sterowany przez Stalina prezydent Bolesław Bierut i radziecki marszałek w polskim mundurze Konstanty Rokossowski

A czy w PRL kolaborantem był nauczyciel, członek Związku Nauczycielstwa Polskiego (organizacja podporządkowana ideowo), który uczciwie pracował i nawet jeśli nie opowiadał uczniom o Katyniu, to pięknie mówił, dajmy na to, o Tadeuszu Kościuszcze czy Juliuszu Słowackim? Nigdy nie pozwoliłbym sobie na to, aby kogoś takiego w ten sposób nazwać. Byli wszakże i tacy nauczyciele, którzy opowiadali swoim uczniom, że polskich oficerów w Katyniu zabili esesmani. To już było zwykłe draństwo. Nikt od nich tego nie wymagał. Nie można było publicznie głosić w tym zakresie prawdy, ale nie było też obowiązku kłamania. Sporo zależało więc od stopnia szkodliwości ludzkiego działania.

Dobre dla partii, dobre dla Polski

Przy okazji sporów o naturę systemu panującego w PRL stosunkowo często powraca pytanie o to, czy wszystko, co w ciągu 45 lat zostało tutaj zrobione, osiągnięte, zrealizowane przez władze, było tylko w interesie Polski „ludowej”, czy może też niekiedy w interesie Polski i Polaków. Oczywiście polski interes narodowy bywał czasem zbieżny z tym, co władze PRL uważały za rację stanu. Dobrym przykładem jest układ o normalizacji stosunków z Republiką Federalną Niemiec z 7 grudnia 1970 roku. Zachodnie Niemcy potwierdziły w nim nienaruszalność polskiej granicy zachodniej na Odrze i Nysie Łużyckiej. Czy był to układ wy-

łącznie w interesie polskich komunistów, czy może w interesie nas wszystkich, jak i następnych pokoleń Polaków? Dla mnie odpowiedź w tym wypadku jest oczywista.

Zresztą właśnie kwestia niemiecka była po II wojnie światowej elementem, który łączył tak różnych ludzi jak Stefan Wyszyński, Jerzy Giedroyc, Jan Nowak-Jeziorański i Władysław Gomułka. W tej jednej kwestii wszyscy oni byli zgodni: Polska, która straciła wschodnie województwa na rzecz ZSRR, bez Ziem Zachodnich i Północnych stałaby się znowu Księstwem Warszawskim.

Dorobek Polaków, dorobek PRL

Przez pojęcie Polska należy rozumieć nie tylko państwo, ale także kraj (terytorium) oraz ludzi. Te sprawy trzeba umieć i może przede wszystkim chcieć rozróżnić.

Jeśli chodzi o dorobek państwa, to z PRL nie chciałbym zachować nic. Ani Rady Państwa, ani Sejmu jako maszyny do głosowania, ani fasadowych rad narodowych, ani sądów, które uzgadniały wyroki z „czynnikami politycznymi”, ►



Fot. Zbigniew Jodkowski / PAP / CAF

► Interes partii czy państwa, PRL czy Polaków – spotkanie aktywu partyjno-gospodarczego w gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Szczecin, 10 września 1980 roku

ani prokuratorów, którzy oskarżali zgodnie z partyjnymi instrukcjami, ani cenzurowanej prasy, ani zideologizowanego wojska na usługach jednej partii, ani nieefektywnej gospodarki nakazowo-rozdziałowej. Było to państwo, które prowadziło Polskę w kierunku przeciwnym do rozwoju cywilizowanego świata. Często słyszy się, że „władza ludowa” zlikwidowała w Polsce analfabetyzm. Ale dziś w Europie nigdzie nie ma analfabetyzmu w istotnej skali, niezależnie od tego, czy kraj przechodził przez doświadczenie realnego socjalizmu, czy nie.

Polska to jednak także terytorium. Trzecia Rzeczpospolita cały kształt terytorialny przejęła po Polsce „ludowej”: rzeki, morze, mazurskie jeziora, Bieszczady, Tatry; miasta, w których widać specyfikę trzech zaborów – ale też dziedzictwo setek lat gospodarowania przez Niemców na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Całe to otaczające nas środowisko było, jest i będzie Polską.

Polska to wreszcie żyjący tutaj ludzie. Ja także w PRL żyłem, kończyłem szkoły, studia. Pamiętam smak pierwszego pocałunku i radość z pierwszych wydanych książek. Pamiętam wakacje w górach i nad jeziorami, koncerty, spacer, prywatki, grę w piłkę z kolegami. Nikt mi nie odbierze tego, że w PRL poznałem moją żonę, urodziły się moje dzieci, coś osiągnąłem zawodowo. Tak się również złożyło, że to właśnie w okresie PRL Polska miała najlepszych piłkarzy, kolarzy, wielu wybitnych sportowców, których zwycięstwa i porażki były naszymi wspólnymi zwycięstwami lub porażkami.

To także w PRL powstawały wybitne filmy i wspaniałe książki. Można oczywiście pytać, czy dzięki, czy obok, czy wbrew władzy komunistycznej. Jednak prawda jest taka, że w III Rzeczypospolitej kabaretu na miarę Kabaretu Starszych Panów czy Studenckiego Teatru Satyryków nie udało się stworzyć. Niestety – po śmierci polskich noblistów – nie żyje z nami obecnie pisarz na miarę Stefana Żeromskiego. W PRL paru „Żeromskich” jeszcze żyło. Maria Dąbrowska czy Jarosław Iwaszkiewicz to przecież postaci tego kalibru.

„Nasza wspaniała władza”

Prawdą jest, że komunistyczna władza przyjechała do Polski na radzieckich czołgach. W roku 1945 ludziom niejednokrotnie trudno było znać w swoim sąsiedztwie czy otoczeniu choćby jednego członka Polskiej Partii Robotniczej. Jednak z upływem lat doszło do „umasowienia” i „unarodowienia” partii. W latach siedemdziesiątych trudno już było nie znać nikogo, kto należałby do PZPR. W niektórych środowiskach była wtedy wręcz swoista moda, żeby czym prędzej zapisywać się do partii – na przykład niekiedy uczniowie ostatnich klas liceów i techników wstępowali do PZPR między studniówką a maturą. Na uczelniach istniały wydziały humanistyczne, na których ponad połowa profesorów należała do partii. Nawet katolicy księża często mieli kogoś partyjnego w bliższej lub dalszej rodzinie.

W sporach o PRL zwykle też pojawia się kwestia, czy była ona – i ewentualnie w którym momencie – państwem totalitarnym. Jeżeli tak, to jak wytłumaczyć, że za państwowe pieniądze powstały wówczas i weszły na ekrany takie filmy jak *Człowiek z marmuru* Andrzeja Wajdy czy *Miś* Stanisława Barei? Wydaje się, że nie uda się odpowiedzieć krótko, jednym zdaniem na pytanie: czym była PRL? Czy tego chcemy, czy nie, okres, gdy ona trwała, jest częścią (dość niewielką, ale na pewno specyficzną) przeszłości tysiącletniej historii Polski. ■

Wysłuchali Filip Gańczak i Jan Olaszek

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, kierownik Pracowni Dziejów Polski po 1945 roku w Instytucie Historii PAN; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008)

► Zawody jeździeckie
o Konne Mistrzostwo
Armii w Hrubieszowie
w 1934 roku

Fot. Witold Pikiel/NAC

Mistrzowie ze stajni Pragłowskiego

Daniel Kores

Sport konny w II Rzeczypospolitej stanowił dla wielu oficerów – przede wszystkim kawalerii – ważny element życia zawodowego i osobistego. Jeździectwo było sposobem na spędzanie wolnego czasu, miało też podnosić umiejętności – mimo iż z upływem czasu było coraz bardziej jasne, że kawaleria nie odegra już znaczącej roli na polu bitwy. Hippiczne pasje oficerów WP zaowocowały za to sukcesami olimpijskimi.

Sport konny był elementem zespalającym kadrę oficerską korpusu kawalerii w duchu rywalizacji. Służyły temu m.in. zawody o mistrzostwo poszczególnych brygad kawalerii oraz zawody Militari – o Konne Mistrzostwo Armii. W II RP kadrę polskich jeźdźców sportowych na zawody międzynarodowe, o Puchar Narodów i na igrzyska olimpijskie stanowili oficerowie zawodowi kawalerii, artylerii konnej i artylerii. Podobnie było w innych krajach europejskich.

Jednym z najbardziej znanych kawalerzystów II Rzeczypospolitej był płk Aleksander Radwan-Pragłowski.

W trakcie czynnej służby wojskowej odcisnął on piętno na wszystkich aspektach polskiej hippiki – sam uprawiał ten sport, był trenerem i szefem polskiej ekipy na zawodach międzynarodowych, a zorganizowana i wyszkolona przez niego drużyna jeźdźców z 17. Pułku Ułanów Wielkopolskich święciła triumfy w zawodach o Konne Mistrzostwo Armii. To spod jego ręki wyszło kilku wybitnych polskich jeźdźców sportowych.

Pierwsze sukcesy

Sport konny w Polsce zaczął się gwałtownie rozwijać tuż po zwycięskiej wojnie z bolszewicką Rosją, choć na-

leży stwierdzić, że pierwszy konkurs hippiczny w Warszawie zorganizowano już 18 czerwca 1880 roku, znacznie wcześniej niż podobne imprezy w wielu krajach europejskich. Uczestnictwo w imprezach zagranicznych było świadectwem aspiracji narodowych i zarazem stanowiło jeden z symboli suwerenności Polski. Dlatego jeszcze w czasie trwania wojny w 1920 roku sformowano pierwszą ekipę jeździecką, która miała pojechać na igrzyska olimpijskie w Antwerpii, czemu ostatecznie przeszkodziły wypadki wojenne. Przygotowanie ekip na zawody za granicą i na igrzyska olimpijskie całkowicie leżało w gestii wojska. Na igrzyskach olimpijskich w Paryżu w 1924 roku por. Adam Królikiewicz na koniu Picadorze zdobył brązowy medal w konkursie skoków przez przeszkody. Był to oszałamiający sukces dla kraju, który po latach niebytu dopiero zaznaczał swoją obecność na arenach sportowych. W roku następnym mjr dypl. Aleksander Radwan-Pragłowski, po powrocie ze szkolenia we Francji, m.in. w słynnej Szkole Kawalerii w Saumur, został skierowany na staż liniowy do 2. Pułku Szwoleżerów ►

Michał Woysym-Antoniewicz

(1897–1989) – mjr kawalerii WP, instruktor i szef nauki jazdy konnej (ekwitacji) w Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu w latach 1924–1934. Brązowy i srebrny (drużynowo) medalista igrzysk olimpijskich w Amsterdamie w 1928 roku; czterokrotny uczestnik międzynarodowych zawodów o Puchar Narodów.

Rokitniańskich, gdzie, jak pisał po latach, „rozwinęło się moje zamiłowanie do konkursów hippicznych”.

W 1925 roku polskie jeździectwo sportowe odniosło kolejny sukces: pierwszy raz w historii polska drużyna z ppłk. Karolem Rómmlem i rtm. Królikiewiczem na czele w imponującym stylu zdobyła na zawodach w Nicei Puchar Narodów. W 2. Pułku Szwoleżerów służyli w tym czasie znakomici jeźdźcy o międzynarodowej sławie, rtm. Michał Woysym-Antoniewicz i rtm. Henryk Dobrzański, także jeden z „nicejczyków”. Dzięki temu pułk miał w tym czasie renomę oddziału sportowego. Konie przeznaczone do zawodów były specjalnie selekcionowane i trenowane.

Zimą 1926/1927 roku Pragłowski odniósł swój pierwszy sukces na zawodach konnych: w czasie konkursu na krytej ujeżdżalni 1. Pułku Szwoleżerów w Warszawie zdobył puchar ufundowa-

ny przez brytyjskiego attaché wojskowego płk. Emila Claytona. Był to jednak sukces lokalny, który nie mógł przynieść mu rozgłosu. W 1927 roku Pragłowski spróbował swoich sił w poważniejszym konkursie: 30 maja stanął w szranki na nowym hipodromie w Łazienkach w konkursie myśliwskim o Nagrodę Armii Polskiej. Stadion w Łazienkach – według wielu opinii jeden z najpiękniejszych w Europie – powstał z inicjatywy wybitnego jeźdźcy, szefa Gabinetu Wojskowego Prezydenta RP płk. Sergiusza Zahorskiego. Jako oficer armii carskiej uczestniczył on w igrzyskach olimpijskich w Sztokholmie w 1912 roku, reprezentując Rosję. Marzył o przyciągnięciu do Polski najlepszych ekip jeździeckich ze starego kontynentu. Warszawski hipodrom zbudowano w rekordowym czasie – roboty zaczęły się 1 kwietnia, a zakończyły 27 maja 1927 roku. Zawody inauguracyjne funkcjonowanie obiektu, choć międzynarodowe, nie zgromadziły wielu zawodników z zagranicy – przyjechały tylko drużyny z Francji i Węgier. Pragłowski miał w tych zawodach pecha – koń zrolował przed przeszkodą, a jeździec uderzył głową w stojak, łamiąc kość jarzmową prawego policzka.

Rok później polska ekipa odniosła wielkie sukcesy na arenie międzynarodowej – najpierw w Warszawie, a póź-

niej w Nicei drużyna wygrała Puchar Narodów, na igrzyskach olimpijskich w Amsterdamie zdobyła zaś drużynowo srebrny medal w skokach przez przeszkody i brązowy drużynowo we Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego (WKKW). Trzon ekip, które zdobywały Puchar Narodów i medale olimpijskie, stanowili: ppłk Rómmel, rtm. Królikiewicz, rtm. Kazimierz Szosland, rtm. Woysym-Antoniewicz, por. Henryk Roycewicz, por. Władysław Zgorzelski, por. Kazimierz Gzowski i mjr Józef Trenkwald. Po triumfach roku 1928 dla polskiej hippiki nadeszły jednak chude lata.

Dwie dziurki wyżej

W 1929 roku ppłk Aleksander Radwan-Pragłowski został dowódcą 17. Pułku Ułanów Wielkopolskich, co dało mu swobodę w budowaniu ekipy młodych, ambitnych i utalentowanych oficerów, którzy w przyszłości mieli święcić triumfy w Polsce i na arenie międzynarodowej. Efekty pojawiły się kilka lat później, a sukcesy sportowe przełożyły się na przydomek, którym obdarzono pułk: „żółte niebezpieczeństwo” – od barw pułkowych (żółte otoki na rogatywkach oraz żółto-białe proporczyki ze szkarłatną żyłką). W 1933 roku drużyna 17. Pułku Ułanów była I wicemistrzem w zawodach Militari, w 1934 i 1935 roku – drużynowym Mistrzem Armii. Zawody Militari rozgrywano najpierw w poszczególnych brygadach (dywizjach) kawalerii, a następnie na szczeblu centralnym. Mistrzostwa centralne rokrocznie organizowała inna brygada kawalerii. Rywalizacja stała na wysokim poziomie. Oprócz zawodów Militari Polski Związek Jeździecki orga-

► Zawody jeździeckie były stałym elementem świąt pułkowych; na zdjęciu porucznik artylerii Jan Mickunas, przyszły instruktor Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu

Stanisław Czerniawski (1905–1939)

– rtm. WP, wychowanek płk. Aleksandra Pragłowskiego, oficer 17. Pułku Ułanów Wielkopolskich, poległ pod Piotrowicami. Uczestnik zawodów o Konne Mistrzostwo Armii (w ekipie 17. Pułku Ułanów – w 1933 roku wicemistrz; w 1934 i 1935 roku mistrz Armii); w latach 1937–1939 członek Grupy Sportu Konnego przy Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu.



nizował także mistrzostwa Polski w ujeżdżaniu, championacie konia i w skokach przez przeszkody. Co ciekawe, na początku lat trzydziestych wiodącą pozycję w polskim jeździectwie zaczęli zdobywać... artylerzyści, m.in. kpt. Zygmunt Ruciński, kpt./mjr. Franciszek Mrowec i por./kpt. Paweł Nerlich-Dąbski (z artylerii konnej).

W maju 1929 roku Pragłowski wziął udział w dużych międzynarodowych zawodach hippicznych w Poznaniu, zorganizowanych podczas Powszechnej Wystawy Krajowej, które ponownie okazały się dla niego pechowe: „Lezgin [...] wskoczył mi krzywo na dwumetrowy bankiet i spadł z niego razem ze mną na ziemię. Wyglądało to bardzo brzydko, ale wyszło nie najgorzej, bo złamałem tylko prawą kostkę i dwa zębra” – Pragłowski słynął z nieustępliwości i ducha walki, dlatego jego starty na zawodach często kończyły się ciężkimi kontuzjami. Podkomendni zostawili opis sytuacji,

Adam Łukasz Królikiewicz

(1894–1966) – mjr kawalerii WP. W latach 1934–1939 komendant Szkoły Jazdy i główny instruktor jazdy konnej w Centrum Wyszko- lenia Kawalerii w Grudziądzu. Pierwszy polski indywidualny zdobywca medalu olimpijskiego (brązowego) w skokach przez przeszkody (Paryż 1924).



Fot. CAW

▶ Płk Aleksander Radwan-Pragłowski, fotografia z 1929 lub 1930 roku

która znakomicie obrazuje charakter ich dowódcy: „Pragłowskiemu nie w smak było zbyt wolne najeżdżanie dosyć pokąznego okseru, zagalopował [...], najeżdżał ostro, ale Łuszer źle obliczył odbicie [...], wziął drągi pomiędzy nogi i zrołował. Pułkownik obłożony poderwał się z ziemi, poprawił rogatywkę, której daszek został prawie oderwany, i krzyknął do luzaka: – Dawaj Łuszera, a do obsługi przeszkody: – A wy podnieście o dwie dziurki wyżej! [...] Koń pokonał tym razem przeszkodę pełnym, wspaniałym skokiem; pułkownik chrząknął, poklepał konia, zsiadł z niego i powiedział: – Tak macie najeżdżać okser”. Taka postawa

Aleksander Radwan-Pragłowski

(10 lutego 1895 – 15 marca 1974) – gen. bryg. WP; w 1914 roku ukończył Akademię Wiener Neustadt, a przez całą I wojnę światową służył w austriackim 4. Cesarskim Pułku Ułanów. W czasie wojny w 1920 roku był szefem sztabu 1. Dywizji Jazdy i Korpusu Jazdy; po wojnie m.in. dowódca 17. Pułku Ułanów Wielkopolskich w latach 1929–1935; od 1935 roku służył w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych, w 1939 roku był szefem sztabu Armii „Łódź” i „Warszawa”. Po 1945 roku na emigracji, zmarł w Londynie. Wychowawca znakomitych jeźdźców i dowódców kawaleryjskich.

przyniosła mu przydomek: „Pułkownik Dziurka Wyżej”.

Największe indywidualne sukcesy jeździeckie Pragłowski odniósł na zimowych zawodach w Zakopanem, organizowanych cyklicznie przez Małopolski Klub Jazdy Konnej we Lwowie. Ze wszystkich konkursów najważniejszy był ten o Puchar Przechodni Prezydenta RP, który Pragłowski wygrał dwukrotnie: w 1930 roku, wspólnie z rtm. Włodzimierzem Hipolitem Łączyńskim, i w 1931 roku, bezbłędnie przejeżdżając tor przeszkód. Pragłowski bliski był zdobycia pucharu na własność – do czego prawo miał trzykrotny jego zdobywca, lecz w 1935 roku przegrał ze znakomitym jeźdźcą Pawłem Nerlichem-Dąbskim. ▶

▶ Hipodrom w warszawskich Łazienkach cieszył się opinią jednego z najładniejszych tego typu obiektów w Europie; na zdjęciu zawody konne Policji Państwowej, lata trzydzieste XX wieku

Fot. MAC



Droga do Berlina

W 1934 roku Pragłowski zadebiutował w polskiej reprezentacji jeździeckiej jako szef ekipy na zawodach w Akwizgranie, o czym zapewne zadecydowały sukcesy w zawodach Militari drużyny 17. Pułku Ułanów, która w 1934 roku wygrała drużynowo i indywidualnie (Mistrzem Armii został por. Gutowski). Nominację zawdzięczał marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, który obserwował rozgrywane w Łazienkach zawody międzynarodowe (1–12 czerwca 1934 roku) wygrane zdecydowanie przez ekipę niemiecką, i zdecydował o wysłaniu polskiej drużyny z Pragłowskim na czele do Niemiec, licząc na rewanż.

Zawody konne w Akwizgranie miały bardzo długą tradycję, lecz polska ekipa wystąpiła na nich po raz pierwszy. Przyjechały najlepsze drużyny europejskie: Włosi, Niemcy i Węgrzy, a także jeźdźcy z Finlandii, Holandii, Jugosławii, Szwajcarii i Szwecji. Gospodarze wystąpili w najsilniejszym składzie z Grupą Hanowerską na czele. Łącznie w zawodach wzięło udział przeszło sto koni. Reprezentacją polską kierował Pragłowski, a kierownikiem technicznym zespołu był instruktor z Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu, mjr Michał Antoniewicz. Ekipa polska wystąpiła w składzie: kpt. Zygmunt Ruciński, kpt. Franciszek Mrowec, por. Roman Pohorecki, por. Michał Gutowski.

Zawody rozpoczęły się 26 czerwca. W ciągu sześciu dni rozegrano siedem konkursów, w których polska reprezentacja zdobyła łącznie 30 nagród: dwie za I miejsce, trzy nagrody za II, jedną nagrodę za III, dwie nagrody za IV miejsce. Drużynowo zajęła trzecie miejsce.

Był to największy sukces na arenie międzynarodowej od 1928 roku. Dniem szczególnego triumfu Polaków było zwycięstwo kpt. Rucińskiego na Moskalu w konkursie potęgi skoku o Nagrodę Ministra Reichswehry w ostatnim dniu zawodów – 1 lipca 1934 roku. Sukces był tym większy, że skakała cała międzynarodowa czołówka, a Ruciński w pierwszej serii startował na koniu kpt. Mrowca, na którym siedział po raz pierwszy. Jeśli wierzyć Pragłowskiemu, to właśnie on przyczynił się do tego triumfu: „Cieszyłem się zaufaniem i autorytetem. Tylko dzięki temu mogłem zaproponować kapitanowi Mrowcowi pod koniec zawodów, żeby na ostatnie najtrudniejsze konkursy oddał swoje konie Rucińskiemu, który był o kilkanaście kilo lżejszy”.

W sprawozdaniu z zawodów szef ekipy zanotował kilka ciekawych spostrzeżeń, z których część wprowadzono w życie: „Konie mamy – ale trzeba je odnaleźć i szkolić. Nie mamy natomiast jeźdźców przygotowanych na zawody międzynarodowe i jest błędne, jeżeli posyłamy ich na naukę w charakterze ekipy. Jeźdźców trzeba przygotować w kraju! W tym celu trzeba podnieść wymagania i poziom wszystkich konkursów w Pol-

sce [...]”. Sądzę, że jest konieczne, aby stworzyć w Grudziądzu ekipę reprezentacyjną i stosowny tor przeszkód. Niepodobna konkurować dyletantami ze starymi i rutynowanymi zawodnikami innych narodowości [...]. Minimalny skład ekipy to 5 jeźdźców i 15 koni”. Co ciekawe, Pragłowski uważał, że „ogólny poziom jeździectwa konkursowego wojskowego w Niemczech stoi nisko”, a cała potęga niemieckich skoków leżała w Grupie Hanowerskiej, stąd też jego postulat utworzenia w Polsce grupy reprezentacyjnej na wzór niemiecki. Ostatecznie w grudniu 1935 roku Departament Kawalerii ponownie utworzył polską reprezentację jeździecką przed olimpiadą w Berlinie w 1936 roku, lecz sugestie Pragłowskiego dotyczące utrzymywania w Polsce stałej ekipy reprezentacyjnej wprowadzono w życie dopiero w 1937 roku, gdy przy Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu utworzono Grupę Sportu Konnego. Wcześniej zawodników do oficjalnej ekipy narodowej wybierano *ad hoc* z najlepszych polskich jeźdźców i mieli oni możliwość wspólnie trenować zaledwie parę miesięcy (lub tygodni) przed ważną imprezą.

Niemcy górą

Sukces odniesiony w Akwizgranie zaowocował powołaniem Pragłowskiego na szefa ekipy polskiej na przedolimpijskich zawodach w WKKW w Berlinie w dniach 11–13 lipca 1935 roku. Tym razem drużyna polska liczyła zaledwie dwóch jeźdźców: rtm. Seweryna Kule-



Gen. Stanisław Grzmot-Skotnicki gratuluje por. Michałowi Gutowskiemu zwycięstwa w zawodach o Mistrzostwo Armii, 1934 rok

Fot. Witold Pikiel/NAC

Michał Mieczysław Wojciech Gutowski

(1910–2006) – gen. bryg. WP, wychowanek płk. Aleksandra Pragłowskiego, oficer 17. Pułku Ułanów Wielkopolskich – w 1939 roku dowodził 1. szwadronem, bohater boju pod Walewicami. Uczestnik zawodów o Konne Mistrzostwo Armii (w ekipie 17. Pułku Ułanów – w 1933 roku wicemistrz; w 1934 i 1935 roku mistrz Armii), igrzysk olimpijskich w Berlinie w 1936 roku, zawodów o Puchar Narodów. Po wojnie był m.in. trenerem kanadyjskiej ekipy jeździeckiej, z którą zdobył złoty medal na olimpiadzie w Meksyku w 1968 roku.

Henryk Dobrzański (1897–1940) – mjr kawalerii WP, legendarny „Hubal” – dowódca oddziału partyzanckiego, który nie złożył broni po kampanii polskiej 1939 roku. Wybitny jeździec sportowy, m.in. członek drużyny polskiej, która w 1925 roku na zawodach w Nicei zdobyła przechodni Puchar Narodów; olimpijczyk (rezerwowy, Amsterdam 1928). Jego bilans sportowy zamknął się imponującą liczbą 22 zwycięstw na zawodach międzynarodowych i krajowych.

szą (późniejszy drużynowy srebrny medalista olimpijski z Berlina w WKKW) i por. Jana Mickunasa (artylerzysta). Jako obserwator uzupełniał ją komendant Szkoły Jazdy Konnej w Grudziądzu mjr Adam Królikiewicz. Polscy zawodnicy nie zachwycili swoim występem. Wysłanie tak małej ekipy okazało się błędem – Polacy nie wykorzystali szansy, by większą liczbę zawodników – w tym przyszłych olimpijczyków – zapoznać z torem olimpijskim w Döberitz. Zemściło się to rok później.

Reprezentację Polski na igrzyskach olimpijskich w Berlinie tworzyli por. Michał Gutowski, por. Janusz Komorowski i rtm. Tadeusz Sokołowski. W drużynie WKKW znaleźli się: rtm. Zdzisław Kawecki, rtm. Seweryn Kulesza, rtm. Henryk Leliwa-Roycewicz. Szefem ekipy olimpijskiej był płk Tadeusz Komorowski (późniejszy gen. „Bór”), a kierownikiem technicznym mjr Królikiewicz.



Fot. ze zbiorów M. Foksa

► Niemiecki znaczek pocztowy wyemitowany z okazji Igrzysk Olimpijskich

Wśród olimpijczyków znalazł się jeden z podopiecznych Pragłowskiego – por. Gutowski, który okazał się jednym z największych pechowców w ekipie. 16 sierpnia 1936 roku przejechał wspólnie jedenaście z trzynastu przeszkód i dopiero na dwóch ostatnich jego Warszawianka najpierw wpadła do rowu z wodą, a następnie odmówiła skoku przez przeszkodę wodną – i Gutowski nie ukończył *parcours*. Jeszcze gorzej poszło rtm. Sokołowskiemu, a jedynym polskim zawodnikiem, który przejechał *parcours*, był por. Komorowski. Na pocieszenie tego samego dnia polska ekipa zajęła drugie miejsce w WKKW – za gospodarzami igrzysk. O sile niemieckiej reprezentacji świadczyło to, że zdobyła złoto we wszystkich sześciu konkurencjach jeździeckich podczas XI Igrzysk Olimpijskich.

Pragłowski czynną karierę sportową zakończył w 1935 roku, gdy zdał obowiązki dowódcy pułku i przeszedł do Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Był jednym z tych oficerów WP, którzy przyczynili się do ugruntowania pozycji polskiego sportu konnego na arenie krajowej i międzynarodowej. Dość przypomnieć, że na ogólną liczbę dwudziestu medali olimpijskich zdobytych przed wojną cztery Polska zawdzięcza oficerom w siodle. To także od sukcesu kierowanej przez niego ekipy na zawodach w Akwizgranie polska hippika zaczęła wychodzić z kryzysu. W latach 1935–1939 nasi zawodnicy – a byli wśród nich wychowankowie Pragłowskiego – odnieśli liczne sukcesy, zdobywając m.in. Puchar Narodów w Spa (1935), w Rydze (1936) i w Warszawie (1938), nie licząc nagród indywidualnych i zwycięstw drużynowych w konkursach międzynarodowych niższej rangi. Wybuch wojny przerwał na długie lata rozwój sportu konnego w Polsce, w którym największe sukcesy odnosiliśmy właśnie w okresie II Rzeczypospolitej. 🇵🇵



dr Daniel Koreś – historyk, pracownik BEP IPN, specjalizuje się w historii wojskowości XX wieku, ostatnio wydał: *General brygady Aleksander Radwan-Pragłowski (1895–1974). Studium biograficzne* (2012)

► Rtm. Henryk Roycewicz na koniu Arlekin III podczas zawodów hippicznych na XI Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie, 1936 rok

75 lat kopca Piłsudskiego na Sowińcu

Przemysław Wywiał

„I podczas gdy podziwiałem ten tłum pełen zapалу, pracujący przed moimi oczyma, ożywiony tą samą wiarą, która kiedyś służyła mi do wznoszenia katedr, zastanawiałem się, czego oczekiwać można od tego narodu, który dopiero co wyszedłszy z grobu, jest w stanie dać światu taki wzór abnegacji, patriotyzmu i wdzięczności!”

Henry Laporte, korespondent „La Revue de France”, po wizycie na Sowińcu wiosną 1936 roku



► Kopiec Piłsudskiego, lata trzydzieste XX wieku

W II Rzeczypospolitej pojawiały się różne pomysły na uczczenie odzyskania niepodległości w 1918 roku i głównego architekta tego wydarzenia, Józefa Piłsudskiego. Ostatecznie sięgnięto do znanej w Polsce od wieków tradycji sypania kopców upamiętniających wielkie postaci historyczne czy przełomowe w dziejach narodu wydarzenia. Wiosną 1934 roku Związek Legionistów Polskich wysunął koncepcję usypania w Krakowie monumentalnego kopca. Prace rozpoczęto 6 sierpnia, w dwudziestą rocznicę wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej. Na czele komitetu stanął Walery Sławek, zaufany Komendanta i trzykrotny premier II RP.

Kopiec usytuowano na wzgórzu Sowińcu w zachodniej części Lasku Wolskiego. Prace przyśpieszono po śmierci Piłsudskiego w maju 1935 roku. Od 9 czerwca nadzorował je Naczelny Komitet Uczczenia Pamięci Józefa Piłsudskiego pod przewodnictwem prezydenta Ignacego Mościckiego.

Cały naród sypie kopiec

W sypanie kopca natychmiast włączyło się społeczeństwo. Z różnych zakątków Polski przyjeżdżali, by pomóc w pracach, przedstawiciele organizacji społecznych i kombatanckich, szkół, jednostek wojskowych. Latem 1935 roku ministerstwo komunikacji musiało nawet – z powodu coraz liczniejszych takich wycieczek-pielgrzymek

– zwiększyć liczbę pociągów kursujących do Krakowa. Bywało, że jednego dnia przez Sowińcu przewinęło się nawet do 10 tys. osób, z których każda wwozła przynajmniej jedną taczkę ziemi. Komitet budowy zebrał ponad 870 tys. złotych, z czego wydano 547 tys., a pozostałą część kwoty przeznaczono na uporządkowanie terenu wokół kopca i jego konserwację w przyszłości.

Z Polski i zagranicy przywożono urny z ziemią z miejsc, gdzie polski żołnierz przelewał krew, i składano ją w kopcu. Stąd wzięło się również inne jego określenie – Mogiła Mogił.

„Strzelec”, organ Związku Strzeleckiego, donosił pod koniec lipca 1934 roku, że „dla symbolicznego podkreślenia przyłączenia Morza Polskiego i Ziemi Pomorskiej do Rzeczypospolitej z toruńskiego ośrodka sportów wodnych wyruszyła na sześciowiosłowej łodzi załoga 10 strzelców, wiozących do Krakowa ziemię pomorską na Kopiec sypany ku czci Wodza Narodu. Łódź ozdobiona była barwnymi proporczykami, ofiarowanymi przez kilkanaście miast wraz z haftowanymi woreczkami, napełnionymi ziemią”. Rok później zorganizowano „olbrzymi Strzelecki Rajd Motocyklowy Sztafetowy dookoła Polski pod hasłem: »Z ziemią na Kopiec Marszałka«”, którego celem było przywiezienie na Sowińcu ziemi ze wszystkich zakątków kraju. Takich inicjatyw było więcej.

Okazało się, że nie tylko Polacy chcieli uczcić pamięć Marszałka. Na przykład w październiku 1936 roku w Krakowie pojawiła się delegacja armii japońskiej z gen. Shigeru Honjō na czele, która przywiozła ziemię z dziedzina świątyni Yasukuni w Tokio. Podczas uroczystości pod kopcem gen. Shigeru powiedział m.in.: „Każdy Japończyk uważa za największy honor oddać swe życie za Ojczyznę, żeby w ten sposób duch jego przebywał po śmierci wśród duchów wybranych. Dlatego też ziemia



► Przy budowie kopca pomagali przedstawiciele organizacji społecznych, kombatanckich, uczniowie, wojskowi

z tej świątyni uważana jest za symbol poświęcenia się dla Ojczyzny [...]. My Japończycy wielbimy waszego Marszałka dlatego, że znajdujemy w Nim tak wiele cech równych wzniosłym charakterem naszych samurajów”.

Prace nad sypaniem kopca zakończono latem 1937 roku. Ostatnie warstwy usypały delegacje wojska 6 lipca, a trzy dni później uroczyste pożegnano ekipę robotników pracujących przy tym monumentalnym pomniku; i ta data uważana jest za dzień zakończenia prac. Formalnie zakończenie sypania kopca Józefa Piłsudskiego ogłoszono 6 sierpnia, w rocznicę wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej z krakowskich Oleandrów. Jego rozmiary były imponujące: osiągnął wysokość 35 m (obecnie ma 33,7 m), średnica liczyła u podstawy 111,1 m, a na szczycie 85 m, a powierzchnia 1 ha.

Kopiec zamierzano otoczyć obiektami składającymi się na sanktuarium polskiej krwi, ale nie zdążono tego zrobić.

Skazany na zapomnienie

W czasie II wojny światowej Niemcy zamierzali zniszczyć kopce Piłsudskiego i Kościuszki, jednak ostatecznie do tego nie doszło. Jesienią 1945 roku w kopcu Piłsudskiego złożono urny z ziemią spod Monte Cassino i Lenino.

Po 1945 roku kopiec Piłsudskiego – podobnie jak i inne pamiątki po Marszałku – w zamyśle komunistów miał zostać zniszczony i zapomniany. Latem 1953 roku gajowy pracujący w Lasku Wolskim opowiadał: „Był u dołu kopca głaz potężny z napisem. Przyszli kamieniarze i pół dnia dłutami i młotami napis niszczyli. Na szczycie też był wielki kamień z napisem. Przybyła komisja,

a po niej w jakiś czas grupa ludzi, aby ów głaz zniszczyć i zrzucić z kopca. Nie dali rady. Wydłubali i zniszczyli jedynie napis. Głaz został. Niedługo znów przyszło więcej ludzi. Autami przywieźli legary, zrzucili głaz z kopca i wywieźli na jakąś budowę.

Był wodociąg, dziś go nie ma, rury popękane, zniszczone. Były budynki, dziś ruina. Był mur wokół, dzisiaj ruina. Płyty kamienne do dzisiaj rozkradają i wywożą. Wszystko ma drzewami, krzakami zarósł i zdziczeć. Ostatnio mamy polecenie obsadzić polanę szybko rosnącymi i wysokopiennymi topolami, aby kopiec nie był widoczny.

Młodzież również nie śmie znać historii. Niedawno przysłała z lotniska kompania wojska z porucznikiem i weszli na kopiec. Byłem i ja tam na szczycie. Zwrócił się do mnie ów porucznik ze słowami: »Obywatelu, wyście tu gajowy, opowiedzcie coś żołnierzom o tym kopcu Kościuszki«. »Obywatelu poruczniku, kopiec Kościuszki to tamten, co go widać, a ten to kopiec Piłsudskiego« – odrzekłem. Gdy porucznik usłyszał tę nazwę, mocno się speszył i rzekł do mnie: »Nic nie mówcie« – a żołnierzom kazał schodzić na dół”.

Kopiec miał zniknąć z pejzażu miasta, a jego nazwę wykreślono nawet z planów Krakowa i przewodników turystycznych, wprowadzając w to miejsce określenia takie jak: „kopiec na Sowińcu” czy „punkt widokowy na Sowińcu”. Starsi krakowianie żartowali wówczas, że jest to „kopiec Nieznanego Marszałka”. Zdarzało się, że na Mogile Mogił wypasano krowy...



► Oficerowie Wojska Polskiego przyglądają się budowie kopca

► Brygada robocza przy pracy; ziemię do budowy kopca zwożono ze wszystkich zakątków kraju





► Renowacja kopca Piłsudskiego rozpoczęła się na przekór władzom komunistycznym; zdjęcie z pierwszego dnia prac, 11 maja 1980 roku

Nic się nie zmieniło również po przemianach październikowych 1956 roku. Walkę o uratowanie Kopca Niepodległości podjął – początkowo samotnie – mjr Józef Herzog (1901–1983). Był to żołnierz Legionów Polskich i oficer Wojska Polskiego oraz Korpusu Ochrony Pogranicza, więzień okresu stalinowskiego. W 1957 roku zaczął pisać do różnych instytucji i organizacji listy, w których prosił o „kulturę na kopcu”. Nie zważając na to, że najczęściej jego starania u władz pozostawały bez odzewu, kontynuował swoją działalność przez kolejne ćwierć wieku, skupiając wokół siebie kombatanatów, opozycjonistów, młodzież. Jego pisma otrzymały m.in. Rada Państwa, rząd, Ministerstwo Obrony Narodowej, Miejska Rada Narodowa w Krakowie, ZBoWiD, redakcje gazet. Dewastacja kopca postępowała jednak nadal.

12 maja 1971 roku Herzog przesłał „prośbę o kulturę na Sowińcu” na adres premiera Piotra Jaroszewicza. Dołączył do niej obszerny memoriał i trzy fotografie kopca z lat trzydziestych

oraz – dla porównania – cztery z roku 1971. W liście podkreślał, że „kopiec na Sowińcu w Krakowie, który został po prostu zgnojony i zbezczeszczone, to nie sprawa samego miasta Krakowa, jak zdecydował przed laty ówczesny Ob. Minister Obrony Narodowej, a sprawa ogólnonarodowa”. Tak pismo to skomentował jeden z rozpracowywanych wówczas Herzoga funkcjonariuszy SB: „W treści memoriału jest m.in. mowa o historii powstania tego kopca; autor w sposób odbiegający od przyjętych zasad grzecznościowych [...] ironicznie i tendencyjnie przedstawia rzekome fakty zachowania się różnych grup społecznych podczas pobytu na Sowińcu”.

Działalność legionistów związana z walką o zachowanie pamiątek po Józefie Piłsudskim – szczególnie kopca i krypty na Wawelu – była bacznie obserwowana przez bezpiekę. W notatce dotyczącej działalności środowiska niepodległościowego w Krakowie z 31 marca 1972 roku czytamy o kopcu: „Jest to wielka pamiątka dla byłych legionistów i muszą go za wszelką cenę odnowić i stworzyć jego wielkość”.

Starania Herzoga i innych legionistów znalazły natomiast zrozumienie i wsparcie u metropolity krakowskiego kard. Karola Wojtyły, mocno związanego z tradycją niepodległościową, uczestnika „opłatków legionowych” organizowanych w krakowskim klasztorze Dominikanów. W 1974 roku przyszły papież pisał: „Pragnę wyrazić moją solidarność z Pańskimi poczynaniami, które mają na celu obronę

godności narodu, a zwłaszcza honoru polskiego żołnierza – tego, któremu Polska zawdzięcza niepodległość. Wołanie o szacunek dla pamiątek przeszłości, między innymi dla kopca Józefa Piłsudskiego na Sowińcu, jest uzasadnione. Oby jeszcze było skuteczne”.

Wizyta na zdewastowanym kopcu była jednym z punktów uroczystego (i oczywiście nieoficjalnego) zjazdu legionistów 6 sierpnia 1974 roku, czyli w sześćdziesiątą rocznicę wymarszu Kadrówki. Wzięło w nim udział zaledwie około 120 żołnierzy Legionów, głównie z Krakowa i okolic, ponieważ cenzura nie dopuściła do pojawienia się zapowiedzi tego wydarzenia w prasie. Po Mszy świętej na Wawelu i złożeniu kwiatów pod Oleandrami zebrani udali się na Sowińiec, w którego pobliżu zaplanowany był obiad. Jak wspominał Antoni Patla, „miejsce na ten wspólny obiad wybrały nam władze dowcipnie i symbolicznie... obok ogrodu zoologicznego, w sąsiedztwie zwierząt, byśmy już w pełni doznali goryczy izolacji od społeczeństwa”. Mimo to starych Żołnierzy Niepodległości nie opuścił dobry humor i z rozbawieniem komentowali niedawną wypowiedź Jana Szydłaka, członka Biura Politycznego KC PZPR, który stwierdził, że „Polska Ludowa ma tylko trzech groźnych i potężnych wro-

► W latach osiemdziesiątych została zapoczątkowana tradycja składania na Kopcu Piłsudskiego ziem z pól bitewnych i miejsc martyrologii polskiej; na zdjęciu uroczystości z 16 października 1988 roku



gów: 1) obóz legionowy, 2) Kościół, 3) resztki mieszczaństwa”.

W latach siedemdziesiątych starania o ratowanie Kopca Niepodległości wsparli przedstawiciele Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Konfederacji Polski Niepodległej, a od 1980 roku również NSZZ „Solidarność”. Działacze ROPCiO zwrócili się 21 lutego 1978 roku do ministra obrony gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Przypomnieli, że Mogiła Mogił zawiera prochy z pól bitewnych, gdzie polski żołnierz przelewał krew, a skoro obecne Wojsko Polskie nawiązuje do tradycji walk o niepodległość, to „nie może być obojętne, że niszczy taki obiekt jak kopiec na Sowińcu”.

Ku dawnej świetności

Podjęty ponad dwadzieścia lat wcześniej przez mjr. Herzoga trud zaczynał przynosić efekty. W maju 1980 roku grupa młodych ludzi przystąpiła – w dużej mierze potajemnie – do porządkowania stożka kopca: nocami wycinano siekierami drzewa, a rąkami robotnicy pospiesznie oczyszczali teren, spaliniowymi piłami docinali pieńki jak najbliższej ziemi i maskowali je, zakrywając darnią. Przeprowadzono w tym czasie także pierwsze prace ziemne.

Ludzie skupieni wokół działań na rzecz ratowania kopca Marszałka utwo-

rzyli 23 czerwca 1980 roku Obywatelski Komitet Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego przy Towarzystwie Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Jego honorowym przewodniczącym został Józef Herzog. Od tej chwili prace prowadzono już w sposób planowy i zorganizowany. Mimo sabotowania działalności przez władze, czego przykładem było zatrzymanie przez milicję w lipcu 1980 roku uczestnika prac za nielegalne ścinanie drzew na kopcu, prace renowacyjne posuwały się szybko do przodu. Usunięto drzewa porastające zbocza, zarośla, wstępnie uporządkowano stożek, zlikwidowano dzikie ścieżki i umieszczono tablice informacyjne. Dużą życzliwość i pomoc okazywał od początku dyrektor pobliskiego Miejskiego Parku i Ogrodu Zoologicznego dr Józef Skotnicki.

Podjęto również działania mające na celu propagowanie akcji wśród społeczeństwa, czemu miało służyć zwołanie 16 marca 1981 roku pierwszej od roku 1938 konferencji prasowej dotyczącej kopca Piłsudskiego.

Nawiązano także do idei kopca jako Mogiły Mogił. Uroczystość złożenia w kopcu ziem z piętnastu pól bitewnych II wojny światowej odbyła się 22 marca 1981 roku. Biorący w niej udział przedwojenny generał Mieczysław Boruta-Spiechowicz wypowiedział wówczas

pamiętne słowa: „Już świta!”. Dwa miesiące przed wprowadzeniem stanu wojennego, 4 października 1981 roku, w obecności żołnierzy Legionów, Armii Krajowej, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, więźniów obozów koncentracyjnych i działaczy NSZZ „Solidarność” złożono u stóp kopca ziemię z pól bitewnych z lat 1939–1945. W ciągu kolejnych lat trafiły tutaj ziemie z wielu polskich pól bitew i pobojuwisk czy miejsc kaźni, a także miejsc tragedii stanu wojennego i skrytobójczych mordów w latach osiemdziesiątych. Tradycja składania w kopcu urn z ziemią pozostała żywa do dzisiaj – w sierpniu 2010 roku złożono tutaj m.in. ziemię z miejsca katastrofy smoleńskiej.

Kopiec Piłsudskiego uznany został za Miejsce Pamięci Narodowej 14 kwietnia 1981 roku, a dwa miesiące później, 22 czerwca, wpisano go do rejestru zabytków. We wrześniu 1989 roku przed wejściem na kopiec ustawiono drewniany Krzyż Pamięci Narodowej. Dwa lata później, w listopadzie 1991 roku, uroczystie odsłonięto i poświęcono replikę granitowego głazu – płyty z Krzyżem Legionowym. W 1992 roku honorowy patronat nad kurhanem objął Sejm RP. W 1995 roku Kopiec Niepodległości w pełni odzyskał przedwojenny wygląd.

Kopiec Niepodległości wrósł już na trwałe w krajobraz Krakowa i stał się miejscem zarówno uroczystości patriotycznych, jak i – wraz z otaczającym go Laskiem Wolskim – spacerów i wypoczynku. Jak trafnie zauważył dr Jerzy Bukowski, przewodniczący Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego, „ci, którzy nigdy nie zwątpili w sens swych poczynań, mogą odczuwać w pełni zasłużoną satysfakcję – uratowali jeden z najcenniejszych symboli polskiej niepodległości oraz zadali kłam obiegowym opiniom i fałszywym stereotypom na temat nieskutecznych w długofalowych działaniach Polaków”.

Przemysław Wywiół – historyk, sekretarz Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego

Wszystkie zdjęcia ze zbiorów Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego



► Odsłonięcie płyty z Krzyżem Legionowym, 10 listopada 1991 roku

Na „śmietniku Moskwy”.

Deportacje Polaków do Kazachstanu

Sergiusz Kazimierczuk

W latach trzydziestych ubiegłego wieku, po klęsce głodu wywołanej obłądną polityką kolektywizacyjną, populacja Kazachów w Kazachstanie zmniejszyła się o około 40 proc. Stalin przystąpił do zasiedlania republiki „wrogami ludu” z całego obszaru ZSRR. Angielski reporter Colin Thubron w książce *Utracone serce Azji*, niedawno wydanej także po polsku, nazwał nawet Kazachstan śmietnikiem Moskwy. Wśród kolejnych fal deportowanych w kazachskie stepy było wielu Polaków.

Według spisu powszechnego z 1926 roku w ZSRR liczba obywateli radzieckich polskiego pochodzenia wynosiła 783 tys., z czego około 46 proc. uznawało język polski za ojczysty. W Rosyjskiej Federacyjnej Republice Radzieckiej mieszkało ponad 204 tys. Polaków, 476 tys. na Ukrainie, na Białorusi – około 97 tys., na Zakaukaziu – 6 tys. Jednak dane spisu należy traktować z wielką ostrożnością, gdyż odbywał się on nierzadko pod dyktando nieprzychylnie nastawionej do Polaków administracji ukraińskiej bądź białoruskiej. Również Polacy, nie mając zaufania do władz, często ukrywali swoje pochodzenie z obawy przed represjami. Inne źródła oceniają ich liczbę na 1,2 mln do 1,5 mln osób.

Polacy z Marchlewska, Polacy z Dzierżyńska

Polską diasporę w ZSRR można podzielić na kilka grup: najliczniejszą stanowili potomkowie szlachty mieszkającej na terenach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej; drugą tworzyli potomkowie emigracji zarobkowej z lat sześćdziesiątych XIX wieku; trzecią chłopci-przesiedleńcy z początku XX wieku, którzy przyjechali w poszukiwaniu taniej ziemi, kolejne grupy stanowili emigranci polityczni – polscy komuniści, którzy osiedlili się w „ojczyźnie proletariatu”, a także uchodźcy i jeńcy wojenni, z których część pozostała w Rosji po zakończeniu I wojny światowej.

Warto zwrócić uwagę na to, że na dalszych i bliższych Kresach bardzo często polskość nie była związana ani z językiem, ani z polską kulturą ludową; najczęściej wyznaczał ją katolicyzm. W tej grupie duży procent stanowili również Ukraińcy i Białorusini, którzy zmienili wiarę i z czasem ulegli polonizacji.

W ZSRR w latach 1925–1938 istniały polskie rejony narodowościowe – rejon im. Juliana Marchlewskiego na Ukrainie (ze stolicą w Dołbyszu, przemianowanym na Marchlewsk) i rejon im. Feliksa Dzierżyńskiego na Białorusi (ze stolicą w Kojdanowie, przemianowanym na Dzierżyńsk). Wiązało się to z polityką tak zwanej *korienizacji*, czyli uwzględnienia narodowościowej struktury społecznej; wspierano wówczas języki i kultury narodów i grup etnicznych zamieszkujących Związek Radziecki.

Autonomię narodową uważano za najlepszy środek służący do sowietyzacji ludności. Sądono, że komunistyczna propaganda prowadzona w językach poszczególnych narodów będzie skuteczniejsza aniżeli propaganda tylko w jednym języku – rosyjskim, wspomniane

► Deportowane do Kazachstanu Polki (Regina Wisłocka, Czesława Ostrowiecka, Janina Bartoszkówna i Wiesława Batowska) w czasie wyprawy po chleb, Nowo Rosijka w obwodzie siewierokazachskim, 3 kwietnia 1941 roku

polskie rejony zaś, w których zamierzano przygotowywać kadry kierownicze, miały być zalążkiem przyszłej komunistycznej Polski.

Według historyka Mikołaja Iwanowa, autora książki *Pierwszy naród ukarany. Stalinizm wobec polskiej ludności kresowej 1921–1938* (1991), w historii polskiej autonomii można wyróżnić trzy okresy: lata 1924–1928, gdy projektowano struktury przyszłej autonomii; lata 1929–1931, gdy wzrosła liczba polskich rad wiejskich, szkół i innych placówek; oraz lata 1932–1935, gdy nastąpiło polepszenie stosunków między Polską a ZSRR. Polska autonomia stała się argumentem w polityce zagranicznej ZSRR wobec Polski, potwierdzającym ściśle przestrzeganie norm ustanowionych w traktacie ryskim.

Likwidacja polskiej autonomii w ZSRR rozpoczęła się w 1935 roku. Wśród jej przyczyn wymienia się m.in. rozczarowanie dotychczasową polityką narodowościową, która przyniosła skutek odwrotny do zamierzonego – wzrosła świadomość narodowa, a nie klasowa; ponadto Polacy z niechęcią odnosili się do kolektywizacji i ich opór został przełamany dopiero w latach trzydziestych. Zmiana polityki wobec Polaków poprzedzała generalną zmianę polityki wobec mniejszości i ograniczenie ich praw, co związane było z konsolidacją stalinowskiego systemu władzy.

Rejon Marchlewszczyzny rozwiązano decyzją rządu ukraińskiej SRR w październiku 1935 roku. Wiązało się to z usuwaniem polskiej administracji i zamknięciem szkół. W połowie roku 1938 zapadła decyzja o likwidacji wszystkich polskich szkół na terenie Związku Radzieckiego. Na Białorusi największe nasilenie akcji antypolskich nastąpiło w latach 1936–1938. Rejon im. Dzierżyńskiego rozwiązano w 1938 roku.

Polacy zostali poddani wysiedleniom. Pierwsze wywózki odbyły się w latach 1930–1933, w okresie akcji podjętej przeciwko tzw. kułakom. W roku 1935 doszło do masowych deportacji z Marchlewszczyzny do wschodnich obwodów Ukrainy, w następnym – rozpoczęły

Fot. Ośrodek KARTA



▶ Trudne warunki mieszkalne Polaków deportowanych do Kazachstanu: wejście do sieni o wiklinowych ścianach, za nią zagłębiona w ziemi izba mieszkalna; zdjęcie zrobił fotograf NKWD, maj 1940 roku

się deportacje do Kazachstanu. Naszych rodaków wysiedlano z rejonów wzdłuż granicy z Polską, bo uznano ich za grupę niepewną i potencjalnie wrogą w razie przewidywanego konfliktu zbrojnego.

W stepach Kazachstanu

Pierwsi polscy zesłańcy znaleźli się na terenach dzisiejszego Kazachstanu już w latach trzydziestych XIX wieku. Byli to powstańcy, spiskowcy, później zaś działacze partii niepodległościowych i socjalistycznych. Kazachstan został ostatecznie wcielony do Rosji w 1868 roku. Zgodnie z danymi z rosyjskiego spisu z roku 1897, na obszarze rosyjskiej Azji Środkowej mieszkało już 11 597 Polaków.

Kazachstan wybrano jako miejsce przesiedleń ze względu na – jak już wspominałem – szczególnie tragiczne skutki kolektywizacji w tej republice. W latach 1927–1933 liczba gospodarstw wiejskich zmniejszyła się z 1,35 mln do 630 tys. Na skutek klęski głodu i towarzyszącej jej epidemii tyfusu zmarło w latach 1932–1933 około 1,75 mln osób, ponadto doszło do znacznej emigracji Kazachów do innych republik ZSRR i sąsiednich państw – Chin i Mongolii. Według oficjalnych danych, liczebność mieszkańców republiki od czerwca 1930 roku do czerwca 1933 roku zmniejszyła się z 5,9 mln do 2,5 mln.

Pierwsze wywózki na Syberię i do północnego Kazachstanu w latach trzydziestych prawdopodobnie objęły

ok. 30 tys. Polaków. Jednak największy napływ ludności pochodzenia polskiego nastąpił w 1936 roku – po rozwiązaniu polskiego rejonu narodowościowego im. Juliana Marchlewskiego. Rząd centralny w Moskwie 28 kwietnia 1936 roku podjął decyzję o wysiedleniu do Kazachstanu 15 tys. gospodarstw polskich i niemieckich. Szacowano, że będzie to około 45 tys. osób. Faktycznie przesiedlono znacznie więcej ludzi, ponieważ średnia osób w gospodarstwach poddanych wysiedleniom wynosiła nie trzy osoby, jak wyliczył NKWD, ale nawet pięć osób. Wszyscy deportowani mieli zostać skierowani do obwodu karagandyjskiego i osiedleni w *specposiolkach* NKWD (specjalnych osiedlach przeznaczonych dla zesłańców, oddalonych od innych siedzib ludzkich).

Przed wysiedleniem do każdej wioski wysyłano agitatora, który miał wyjaśnić ludności decyzję władz. Rolników miało do tej decyzji zjednać zwolnienie z wszelkich podatków i kontyngentów w ciągu pierwszych trzech lat osiedlenia, przydzielenie nasion, materiałów budowlanych i kredytów. Wiadomość o przesiedleniu przekazywano na kilka dni przed akcją, tak żeby wszyscy mogli przygotować się do zebrania swego majątku. Władze pozwalały zabrać ze sobą całe mienie domowe, łącznie z żywym inwentarzem. Przesiedleni byli transportowani do Kazachstanu pociągami towarowymi wraz ze zwierzętami. Przy załadunku do pociągu nie kierowano się ▶

zasadą utrzymywania razem sąsiadów z jednej wioski. Pasażerów jednego pociągu kierowano do tego samego punktu w Kazachstanie.

Jesienią roku 1936 nastąpiła druga faza wysiedleń, objęła ona w głównej mierze polskie wioski znajdujące się w bliskiej odległości od granicy państwowej. Po przyjeździe wyczerpanych podróżą przesiedleńców zostawiano w pustym stepie, w miejscu z wykopaną jedną studnią i oznaczonym wbitym w ziemię słupkiem z numerem punktu. Przesiedleńcy koczowali pod gołym niebem, tylko niektórzy otrzymali namioty. Prowizoryczne ziemianki, w których przyszło im przeżyć pierwszą zimę w Kazachstanie, musieli wybudować sami. Mimo że nie ograniczono im praw obywatelskich, poza prawem do zmiany miejsca zamieszkania, umieszczano ich w specjalnych osiedlach NKWD. Dopiero w 1940 roku wszystkich wpisano do ewidencji jako byłych kulaków. W pierwszym okresie wielu Polaków przeżyło dzięki pomocy Kazachów, którzy dostarczali zesłańcom między innymi drewno, mięso i ziemniaki. Jeszcze przez długi czas Polacy cierpieli z głodu i chorób; złe wyżywienie oraz brak warzyw i owoców powodowały takie choroby jak szkorbut czy ślepotą zmierzchowa.

Wywózki z terenu Dzierżyńszczyzny rozpoczęły się później, po oficjalnej likwidacji rejonu w 1938 roku. Nie jest znana liczba wysiedlonych stamtąd Polaków.

► Wiktoria i Janina Naruszewiczównie podczas przeprowadzki w kolchozie Kowal w północnym Kazachstanie, 1940 rok

Przyjmuje się, że przed II wojną światową deportowano około 60–70 tys. Polaków. Szacunki nie są jednak dokładne, gdyż NKWD zapisywał liczbę rodzin, a nie osób. Osadników poddano reżimowi obozowemu, każda wioska była obsadzona funkcjonariuszami NKWD.

Deportacje do Kazachstanu nie zakończyły prześladowań Polaków. W latach 1937–1938 w ramach tzw. operacji polskiej NKWD Polacy byli masowo rozstrzeliwani i wysyłani do obozów pracy. Jedynym powodem represji było pochodzenie narodowe.

Kolejna fala deportacji rozpoczęła się po wkroczeniu Armii Czerwonej na terytorium Polski. 29 września 1939 roku Rada Najwyższa ZSRR wydała dekret o nadaniu obywatelstwa ZSRR całej ludności zamieszkałej na ziemiach włączonych do Związku Radzieckiego.

Obszar Kazachstanu był przewidziany jako docelowe miejsce zsyłek dla trzech fal masowych wywozków z Kresów (w lutym 1940 roku, kwietniu–maju 1940 roku oraz na wiosnę 1941 roku). Najliczniejszą grupę stanowili wysiedleni w roku 1940.

Wyznaczonych do przesiedlenia ludzi nachodzono nocą, dawano im pół godziny na spakowanie niezbędnych rzeczy, jednak nie więcej niż 500 kilogramów. Przewożono ich bydłocymi wagonami, na których wyposażenie składały się piętrowe prycze, żelazne piecyki i toaleta – zwykła dziura w podłodze wagonu. Na miejscu wyładowywano na środku drogi i oddawano pod opiekę miejscowych *sielsowietów* (rad gminnych). Całe rodziny po kilka dni koczowały pod gołym niebem, zanim dokwaterowano je do budynków zamieszkałych przez miejscową

ludność lub innych pomieszczeń kolchozowych. Przesiedleńcy na ogół docierali do Kazachstanu wyczerpani, brudni, głodni i chorzy. W czasie transportu nie zapewniano im dostatecznej ilości wody i żywności. W czasie trwającej kilka tygodni podróży wiele osób, w większości dzieci i starców, umierało.

Zesłanych kierowano do pracy w rolnictwie (w kolchozach i sowchozach) lub obsługujących je przedsiębiorstw. W obwodzie karagandyjskim Polacy pracowali w kopalniach węgla, fabrykach, w obwodzie guriewskim przy wydobyciu ropy naftowej i w przemyśle chemicznym, w obwodzie aktiubińskim w przemyśle naftowym, węglowym, metalurgicznym oraz w budownictwie. Według przeglądu wykorzystania siły roboczej zesłańców, dokonanego przez NKWD w III kwartale 1940 roku, ustalono, że większość Polaków nie pracowała w ogóle i w efekcie nie miała środków do życia. W obwodzie pawłodarskim zatrudniono tylko 45 proc. osób zdolnych do pracy, w obwodzie kustanajskim jedną trzecią, podobna sytuacja istniała w innych obwodach. W wielu przypadkach życie deportowanych zależało od wsparcia miejscowej ludności. Kazachowie na ogół nie odmawiali pomocy. Stałe niedożywienie, brak witamin, zakażona woda oraz żywność, a także niedobór pracowników służby zdrowia prowadziły do dużej zachorowalności i śmiertelności wśród zesłańców. Plagą były choroby układu pokarmowego, choroby dziecięce, takie jak odra i szkarlatyna; wszawica wydawała się zjawiskiem niemal powszechnym. W latach 1942–1944





► Grupa polskich zesłańców na przyjęciu przed powrotem do Polski, 23 lipca 1955 roku, Karaganda-Antas w Kazachstanie

w wielu obwodach Kazachstanu dochodziło również do epidemii tyfusu.

Od amnestii do amnestii

Wybawieniem dla Polaków zesłanych do Kazachstanu w latach czterdziestych było podpisanie układu między Polską a ZSRR z 30 lipca 1941 roku, przywracającego zerwane 17 września 1939 roku stosunki dyplomatyczne między obu państwami. Władze radzieckie ogłosiły 12 sierpnia 1941 roku dekret udzielający amnestii wszystkim obywatelom polskim pozbawionym wolności jako jeńcom wojennym lub „na innych wystarczających podstawach”. Rząd radziecki zobowiązał się do zwolnienia ludności polskiej z miejsc odosobnienia, obozów pracy i więzień. Na mocy „amnestii” obywatele polscy mieli prawo do swobodnego wyboru miejsca zamieszkania na terenie ZSRR z wyjątkiem regionów przygranicznych oraz stref zamkniętych.

Ponadto utworzono dwie dywizje polskie i pułk zapasowy. Miejscem formowania armii był okręg Buzułuku. Do punktów koncentracji wojska napływało tysiące ludzi. Jednak wielu osobom utrudniano opuszczenie miejsc osadzenia, a wielu innych z powodu wycieńczenia i chorób nie dotarło do miejsc formowania się armii polskiej.

Rozpoczęła również działalność ambasada polska oraz jej delegatury, które roztoczyły opiekę nad polskimi obywatelami, wspomagając ich finansowo oraz dostarczając leki i żywność.

W latach następnych kilka tysięcy Polaków wróciło do miejsc, w których

mieszkali do roku 1939; ok. 120 tys. obywateli polskich wyjechało z ZSRR wraz z armią Andersa. Kolejna grupa opuściła Kazachstan z uformowaną w 1943 roku przez Sowietów 1. Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Umowę Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z rządem ZSRR o prawie zmiany obywatelstwa radzieckiego i ewakuacji z ZSRR osób narodowości polskiej i żydowskiej podpisano 6 lipca 1945 roku. W połowie roku 1946 rozpoczęła się, trwająca do 1949 roku, repatriacja Polaków. Przypuszcza się, że z Kazachstanu repatriowano w sumie 80 tys. osób. Następna fala powrotów rozpoczęła się w roku 1957, po podpisaniu kolejnej umowy o repatriacji. Prawo to przysługiwało tylko tym Polakom, którzy 17 września 1939 roku mieli obywatelstwo polskie, oraz ich dzieciom. Polaków deportowanych do Kazachstanu w 1936 roku nie objęła żadna z powojennych akcji repatriacyjnych. Żyli „pod komendanturą” aż do 1956 roku, jednak również po zniesieniu statusu specjalnych przesiedleńców nie przewidziano ich powrotu do miejsc rodzinnych.

Według oficjalnych danych obecnie na terenie Kazachstanu mieszka 40 tysięcy Polaków (według spisu powszechnego z 1999 roku), jednak przypuszcza się, że jest ich więcej. Marek Gawęcki, były ambasador Polski w Kazachstanie, twierdzi, że realna jest liczba stu tysięcy Polaków. 🇵🇱

Sergiusz Kazmierczuk – politolog, pracownik BEP IPN, zajmuje się historią Europy Wschodniej w XX wieku

Wysiedleni z powodu narodowości

Relacja Marii Andrzejewskiej, urodzonej w 1930 roku w obwodzie żytomierskim na Ukrainie, deportowanej wraz z rodziną do Kazachstanu w 1936 roku:

Urodziłam się na Ukrainie w Żytomierskiej oblasti, we wsi Kamienny Majdan. W 1936 roku moich rodziców wysiedlono do Kazachstanu. Nie wiadomo, za co i po co. Ale [spotkało] to wszystkich Polaków z Żytomierskiej oblasti. U nas było sześćcioro dzieci w rodzinie. Najstarszy brat wtedy studiował na Akademii Pedagogicznej w Kijowie. [...] Przywieziono nas do Kokczetawskiej oblasti, Czkalowskiego rejonu, posesiołek numer 2. Był tam zupełny step, ani krzaczka żadnego, ni rzeczki, ni źródelka, sam goly step. Jechaliśmy pociągami towarowym. Wieźliśmy ze sobą krowę, pozwolono nam wziąć ją ze sobą. Mama biegła na każdej stacji ją doić. Tak żywiłmy się całą podróż mlekiem i sucharkami. Wysadzili nas na pustym miejscu, ani jednego domu tam nie było, tylko stał słup, na którym było napisane: Posiołek numer 2. Od razu pojawili się milicjanci z pistoletami. Kazali nam wysiadać i wypakowywać rzeczy. Z rzeczy nam ze sobą z Ukrainy pozwolili wziąć wszystko, co możemy. [...]

Mężczyźni chwycili się za głowy, mamy zaczęły krzyczeć, płakać. Tam chyba i niebo drgało, nie tylko ziemia. Na całe życie zapamiętam ten krzyk! Chwyciłam się spódnicy mamy i stałam przerażona. Ludzie myśleli, jeśli macie strzelać, to strzelajcie szybciej. Gdzie tam można było mieszkać?! Milicjanci nas uspokajali: nie przetrzymujcie się, będziecie nocować już pod dachem. Pod wiecзор przyjechały samochody z namiotami. Przywieźli bardzo duże namioty na 5–6 rodzin [każdy]. W naszym namiocie było dziesięć rodzin. Na drugi dzień już pojawił się traktor, zaczęli robić *saman* [materiał do budowy, rodzaj cegły]. Nikt z nas nie wiedział, co to jest *saman*, na Ukrainie z drzewa domy się buduje. Nasi wszyscy ludzie powychodzili, moi rodzice też wyszli i starsze rodzeństwo. Moja siostra miała 14 lat, ona też robiła *saman*, jedna cegła ważyła 16 kilo. Ona po cztery cegły targala. Naderwała się, oczywiście. Ale pod koniec września wszyscy przeszli do domów. Zbudowali małe domki na dwie rodziny. W jednym pokoju mieszkała jedna rodzina, w drugim druga. Tak mieszkaliśmy tam przez dwa lata. Wszystkie zapasy, które przywieźliśmy, to wszystko zjedliśmy. Potem zaczęli przyjeżdżać do nas Kazachowie. Najpierw baliśmy się ich, dzieci się chowały: oni – inna narodowość, wyglądali inaczej niż my; skośne oczy, ubrani inaczej, fryzury inne, długie brody. Przywozili do nas mięso. Przyjeżdżał wóz naładowany mięsem. Najpierw baliśmy się od nich to mięso brać. Kobiety bały się tego nawet dotknąć, nie wiedziały, co to jest za mięso. Potem oni przyprowadzili ze sobą krowę i na naszych oczach ją zarzęźli, mięso rozczłonkowali, żeby pokazać nam, że to dobre świeże mięso. Wtedy zaczęliśmy z nimi dokonywać wymiany. Rozmawialiśmy z nimi na migi, znali też pojedyncze słowa rosyjskie. A rosyjski przecież do ukraińskiego podobny, a my umieliśmy po ukraińsku. Pieniądzy wtedy nie mieliśmy. Braliśmy od nich to mięso w zamian za rzeczy, które przywieźliśmy z Ukrainy. Przez dwa lata wymieniliśmy prawie wszystko. Ale głód jest straszniejszy niż strata majątku. [...] W 1956 roku dopiero wydano nam paszporty. Jak zaczęła się II wojna światowa, to mój średni brat Janek poszedł do wojska. W 1946 roku wrócił. Jak on wrócił, byliśmy jak pod aresztem, nigdzie nie mogliśmy pójść. Trzy kilometry od nas była inna wieś, gdzie mieszkali krewni. Nawet do nich nie mogliśmy pójść. Jeśli przekroczysz [granicę wsi], to od razu trafisz na kilka dób do aresztu. W 1956 roku zdjęli z nas speckomendanturę. Byliśmy winni, ale sami nie znaliśmy swojej winy. Dopiero kiedy nas rehabilitowali, to dowiedzieliśmy się, że zostaliśmy wysiedleni z powodu narodowości.

not. dr Olga Dawydenko

W latach 2000–2001 dr Olga Dawydenko przeprowadziła badania terenowe w południowym Kazachstanie. Ich celem było znalezienie odpowiedzi na pytania związane z aktualnymi procesami etnicznymi zachodzącymi w tym wielokulturowym państwie, nazywanym „laboratorium przyjaźni narodów”. Przy pomocy polskiej nauczycielki pracującej w Kazachstanie, Janiny Dłużewskiej, wybrani zostali najstarsi przedstawiciele polskiej grupy narodowej, mieszkający w dwóch wsiach: Oktabrze i Nikolajówce, znajdujących się w południowym Kazachstanie, kilkadziesiąt kilometrów od Almaty, i będących jeszcze do niedawna miejscami, w których mieszkało wielu Polaków.

Wywiad Armii Krajowej

Maciej Żuczkowski

Ofiarna służba polskich oficerów oraz mrówcza praca tysięcy współpracowników wywiadu ZWZ-AK były największym polskim wkładem w zwycięstwo aliantów w II wojnie światowej. Wkładem do dzisiaj mało znanym i negowanym.

Jeden z oficerów Armii Krajowej, Kazimierz Leski „Bradł”, by dobrze wypełniać swoje zadania, postanowił – jak zapisał we wspomnieniach – „zostać generałem! Po powrocie do Warszawy rozpatrzyłem się w materiałach wywiadowczych z frontu wschodniego i [...] zostałem generałem Juliuszem von Hallmannem o długim, pięknie brzmiącym tytule funkcyjnym: Generalbevollmächtigter für Verkehrs- und Festungswesen der Südostfront Ukraine” [Generalny Pełnomocnik do spraw Transportu i Fortyfikacji Południowo-Wschodniego Frontu Ukraińskiego].

Rola wywiadu, tak trudna do przecenienia w czasie pokoju, jeszcze bardziej wzrasta podczas wojny. Nie inaczej było w latach 1939–1945, kiedy to informacja stała się najcenniejszym „towarem” na „tajnym froncie”. Alianci chcieli bowiem wiedzieć, jakie są plany przeciwnika, w jaki sposób zamierza wprowadzić je w życie i jakie ma ku temu środki. Niektóre informacje były bardziej poszukiwane, inne mniej, ale im szerszy był ich zakres, tym pełniejszy był obraz militarnych celów wroga. Dla aliantów, pozostających przez długi czas w defensywie, najważniejsze były meldunki dotyczące niemieckich planów wojennych, jednostek wojskowych walczących na froncie i stacjonujących na okupowanych terytoriach, produkcji fabryk zbrojeniowych (i stoczni!) oraz nowych rodzajów uzbrojenia. Bardzo istotne były wiadomości dotyczące życia w III Rzeszy podczas wojny (ze szczególnym uwzględnieniem morale Wehrmachtu i społeczeństwa niemiec-

kiego) oraz skuteczności alianckich bombardowań niemieckich zakładów przemysłowych. Alianci chcieli wiedzieć, co jest produkowane także w tych fabrykach, które nie pracowały na rzecz wojska. Źródłem znakomitej części tych informacji był polski wywiad.

Oddział II KG AK

27 września 1939 roku, tuż przed kapitulacją Warszawy, została powołana Służba Zwycięstwu Polski (SZP), przekształcona następnie w listopadzie 1939 roku w Związek Walki Zbrojnej (ZWZ) i wreszcie 14 lutego 1942 roku w Armię Krajową (AK). Ta podziemna armia była zorganizowana tak samo jak przedwojenne Wojsko Polskie. Jej zadaniem była jednak przede wszystkim działalność informacyjno-wywiadowcza, co wynikało ze słusznego założenia, że w warunkach okupacyjnych może ona przynieść największe korzyści, będące zresztą bardzo cenną kartą przetargową dla Rządu RP na Uchodźstwie w skomplikowanych rozmowach z aliantami. Pierwszym szefem, a zarazem organizatorem Oddziału II Komendy Głównej AK (O II KG AK), został mjr Wacław Berka „Brodowicz”. Ponieważ we wrześniu 1939 roku zdecydowana większość pracowników Oddziału II Sztabu Głównego WP (przedwojennego wywiadu) ewakuowała się wraz z rządem do Rumunii, Berka wykorzystał w budowanej przez siebie od podstaw strukturze osoby wcześniej bezpośrednio niezwiązane z wywiadem – amatorów. Co prawda ich praca wywiadowcza była przez to mniej fachowa, ale za to znacznie bardziej elastyczna, ponieważ wywodzący się ze wszystkich klas społecznych i zawodów współpracownicy wywiadu mieli o wiele większe możliwości dotarcia do niemieckich fabryk, lotnisk i portów niż przedwojenni „dwójkarze”.

• Ośrodki, w których testowano rakiety V-2, znajdowały się pod stałą obserwacją wywiadu AK; start rakiety V-2 w ośrodku doświadczalnym w Peenemünde

Fot. NAC

Do wiosny 1942 roku, czyli do momentu rezygnacji „Brodowicza” ze stanowiska, wykształciły się trzy zasadnicze pioniry pracy merytorycznej konspiracyjnego wywiadu. Były to pioniry wywiadu ofensywnego, studiów i kontrwywiadu.

Pierwszy obejmował sieci wywiadowcze, organizowane w całym kraju od jesieni 1939 roku.

Drugi, czyli Biuro Studiów, który zaczął funkcjonować w roku 1940, odpowiadał za analizowanie i opracowywanie materiałów napływających z sieci i terenowych komórek wywiadu ofensywnego, a także przesyłanie im zwrotnych, szczegółowych pytań. Biuro Studiów przygotowywało również obszerny (liczący nieraz dwieście i więcej stron) comiesięczny raport wywiadowczy, przekazywany pocztą kurierską do Londynu. Kierownik Biura Studiów miał prawo, gdy było to konieczne, przygotować i przesłać zwięzły meldunek dla swego odbiorcy w Londynie za pośrednictwem łączności radiowej, funkcjonującej od lata 1940 roku. Z Biurem Studiów współpracowało liczne grono wybitnych specjalistów z wielu dziedzin nauki.

Pion trzeci został zorganizowany wiosną 1941 roku. Odpowiadał za bezpieczeństwo Komendy Głównej ZWZ-AK oraz za pozyskiwanie i analizowanie informacji dotyczących całokształtu funkcjonowania „tajnego frontu” na terenie kraju. Kontrwywiad był podzielony na dziewięć referatów ponumerowanych kolejno od 991 do 999, zajmujących się m.in. organizacjami o nieskrystalizowanym obliczu politycznym (referat 994), bezpieczeństwem centralnym (998) czy monitorowaniem sytuacji na lewicy (999). Kontrwywiad miał także doborowy oddział przeznaczony do wykonywania wyroków na agentach gestapo i wszelkich akcji zbrojnych związanych z kontrwywiadowczą ochroną KG AK (część działu operacyjnego 993, referat 993/W).

Kierownikami referatu zajmującego się rozpracowywaniem niemieckich władz okupacyjnych i obcych organizacji wywiadowczych (997) był wspomniany



Fot. NAC

► Mjr Stefan Ignaszak (1911–2005) jako żołnierz wywiadu Armii Krajowej znacząco przyczynił się do rozpracowania pocisków V-1 i V-2

już Kazimierz Leski, przedwojenny konstruktor okrętów wojennych (m.in. ORP Orzeł), pilot i jeden z najaktywniejszych „amatorskich” pracowników wywiadu ZWZ-AK oraz organizator sieci dróg przerzutowych dla kurierów KG AK. Nie działał – co zrozumiałe – pod swoim nazwiskiem, ale właśnie jako gen. Julius von Hallmann. Występował także pod fałszywym nazwiskiem gen. Karla Leopolda Jansena.

Oprócz pionirów merytorycznych w Oddziale II KG AK funkcjonowały wydziały pomocnicze: sekretariat, łączność, finanse i legalizacja (podrabianie dokumentów niezbędnych w pracy wywiadowczej).

Lokalne komórki wywiadu

Organizacja lokalnych komórek wywiadu postępowała równocześnie z rozbudową terenowych ogniw ZWZ-AK. W ten sposób znalazły się one w strukturach okręgów, obszarów i placówek. Komórki te, oprócz zadań powierzonych im przez bezpośrednich przełożonych, wykonywały równoległe zadania zlecone przez warszawską centralę wywiadu AK.

Wytyczne dotyczące ogólnych kierunków działalności wywiadowczo-informacyjnej wywiad ZWZ-AK otrzymywał z Londynu, po uprzednim

uzgodnieniu ich z wywiadem brytyjskim (SIS – Secret Intelligence Service), za pośrednictwem Samodzielnego Wydziału Krajowego przy Sztapie Głównym Naczelnego Wodza (Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza). Przez wcześniej wspomniane Biuro Studiów O II KG AK wytyczne te były przekładane na konkretne zadania dla poszczególnych sieci i komórek wywiadowczych, działających w terenie.

Działania Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza obejmowały nie tylko przekazywanie zadań dla wywiadu ZWZ-AK, lecz również udzielanie krajowej konspiracji wszelkiej możliwej pomocy. Najbardziej chyba spektakularnym jej przejawem było przeszkolenie i zrzućenie do służby w kraju 316 cichociemnych, spośród których 37 zostało przydzielonych do służby w wywiadzie. O tej niepełnej czterdziestce można powiedzieć, że byli to zawodowcy wyspecjalizowani w wąskich – ale niezbędnych z punktu widzenia wywiadu – dziedzinach. Na przykład szkolenie por. Stefana Ignaszaka „Nordyka”, „Droзда”, oficera odpowiedzialnego w ramach wywiadu ofensywnego AK m.in. za rozpracowanie niemieckiej „cudownej broni” (*Wunderwaffen*) V-1 i V-2, obejmowało – oprócz standardowego kursu wywiadowczego, strzelania i kierowania różnymi pojazdami (w aktach niektórych cichociemnych można znaleźć informacje, że potrafili oni prowadzić nawet czołg) oraz studiów wywiadu niemieckiego i rosyjskiego – tzw. chemię wywiadowczą (atramenty sympatyczne, technika „prania” dokumentów itp.), mechanikę wywiadowczą (podrabianie kluczy, włamywanie się do pomieszczeń, uwalnianie się z kajdanek itp.) oraz fotografię wywiadowczą (reprodukcja dokumentów, błonowanie filmów, technika podrabiania pieczęci itp.). Znaczenie cichociemnych dla konspiracyjnego wywiadu potwierdzają ważne stanowiska zajmowane przez niektórych z nich. Wystarczy tylko wspomnieć płk. dypl. Kazimierza Iranka-Osmeckiego „Makarego”, przedostatniego szefa Oddziału II KG AK, czy por. Stanisława Jankowskiego „Agatona”, kierownika ►

komórki legalizacyjnej, który do perfekcji doprowadził podrabianie niemieckich dokumentów, tak że niejednokrotnie były one „lepsze” od oryginalnych, i to w ocenie samych Niemców.

Enigma oraz *Wunderwaffen* V-1 i V-2

Ze wszystkich osiągnięć polskiego wywiadu prawdopodobnie największy wpływ na losy II wojny światowej miał sukces osiągnięty jeszcze przed jej wybuchem. Mam tutaj na myśli złamanie szyfru Enigmy (elektromechanicznej maszyny szyfrującej, z której korzystały niemieckie służby wojskowe i policyjne już od drugiej połowy lat dwudziestych) przez trzech pracowników cywilnych Biura Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego. Wykorzystanie wyższej matematyki przez dwudziestoosmioletniego wówczas Mariana Rejewskiego (wspieranego przez Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego) umożliwiło w połowie stycznia 1933 roku odczytanie pierwszych wiadomości zaszyfrowanych za pomocą niemieckiej maszyny. Od tego momentu właściwie aż do wybuchu wojny, mimo licznych udoskonaleń samej Enigmy, polski wywiad był w stanie odczytywać znaczną część tajnej korespondencji niemieckiej. Czynił to jako

jedyny na świecie. Przekazanie w połowie 1939 roku Brytyjczykom kopii Enigmy, wraz z instrukcją jej użytkowania, należy uznać za fundament późniejszych sukcesów brytyjskich kryptologów pracujących w Bletchley Park.

Strzępy informacji mówiących o prowadzeniu przez Niemców badań nad dalekosiężną bronią rakietową docierały do aliantów od początku wojny, ale nie zawierały one żadnych szczegółów samej konstrukcji. Pierwsze dane techniczne nowej broni znalazły się dopiero w meldunku wywiadowczym przesłanym przez wywiad AK z terenu Czech zimą 1942 roku. Znacznie więcej konkretnych informacji zawierał meldunek miesięczny wywiadu przemysłowego za marzec 1943 roku. W raporcie tym stwierdzono m.in., że w ośrodku Peenemünde (na wyspie Uznam) odbywają się próby „samolotów rakietowych”. Kilka tygodni później, w odpowiedzi na angielską prośbę, do Londynu przesłano plan całego tajnego ośrodka z zaznaczonymi ważniejszymi budynkami i zwięzłym jego opisem. W rezultacie w połowie sierpnia 1943 roku Peenemünde zostało zbombardowane przez niemal sześćset brytyjskich bombowców. Zginęło ponad siedemset ludzi, w tym wielu niemieckich naukowców. Bombardowanie znacznie

spowolniło rozwój niemieckiej broni rakietowej, ale go całkowicie nie powstrzymało.

Zmieniono miejsce produkcji rakiet V-2 i, co istotniejsze, przeniesiono poligon doświadczalny w rejon Blizny koło Mielca. Niedługo po rozpoczęciu przez Niemców prac budowlanych na nowym poligonie informację o tym do centrali Oddziału II KG AK przekazała rejonowa siatka wywiadu. Wkrótce do Warszawy napłynęły szczegółowe raporty dotyczące przebiegu prób, jak się później okazało, rakiet V-2. Prowadzono ścisły rejestr startów rakiet wraz z podaniem godziny, a nawet kierunku lotu. Podjęto także próby uzyskania fragmentów wystrzelonych pocisków. Zakończyły się one pełnym sukcesem 20 maja 1944 roku, kiedy to jedna z rakiet spadła w błotniste wilkiny nad brzegiem Bugu w rejonie wsi Mężenin koło Klimczyc. Miejscowy oddział AK zdołał dotrzeć do niej przed Niemcami i starannie zamaskować ją w bagnie, tak że mimo kilkudniowych poszukiwań Niemcom nie udało się jej odnaleźć. Najważniejsze części rakiety przewieziono potajemnie do Warszawy, gdzie w Biurze Studiów rozszyfrowano główne zasady jej funkcjonowania i konstrukcji. Poczynione ustalenia w drugiej dekadzie czerwca przekazano meldunkiem radiowym do Londynu. Na prośbę Brytyjczyków „Mostem III” w nocy z 25 na 26 lipca przesłano drogą lotniczą do Londynu najważniejsze fragmenty rakiety V-2 i obszerny, poświęcony jej w całości meldunek, opracowany w Biurze Studiów.

► Polski korespondent wojenny ogląda resztki rakiety V-2; Europa Zachodnia, 1944 rok

Na zapleczu frontu wschodniego

Pierwsze przesłanki świadczące o tym, że „traktat o granicach i przyjaźni między III Rzeszą a ZSRS” z 28 września 1939 roku nie przetrwa długo, wywiad ZW uzyskał już zimą 1939 roku. O zbliżającym się końcu współpracy obu okupantów świadczyły nasilające się po stronie niemieckiej prace remontowo-budowlane mostów i dróg prowadzących w kierunku wschodnim. Od wiosny 1940 roku z terenowych siatek

wywiadu zaczęły napływać do centrali Oddziału II KG ZWZ meldunki informujące o budowaniu przez Niemców licznych lotnisk i lądowisk oraz o rozbudowywaniu fortyfikacji na rzekach Narew, Bug i San. Po upadku Francji odnotowano systematyczny napływ do okupowanej Polski kolejnych dużych oddziałów niemieckich, np. kilkuset tysięcy dywizji piechoty, a od wczesnej wiosny 1941 roku raportowano także o przybywaniu sztabów wyższych dowódców. Na przykład feldmarszałek Walter von Reichenau, dowódca 6. Armii, kwaterował w Tarnobrzegu.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, na życzenie Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza, Oddział II KG AK zorganizował nową sieć wywiadowczą (kryptonim: „772”, „WW-72”, „Pralnia”), wyodrębnioną ze struktur wywiadu ofensywnego, „podążającą w ślad” za postępami Wehrmachtu. Dostarczała ona wielu informacji dotyczących m.in. sposobów zarządzania przez Niemców okupowanymi terenami, niemieckich strat bojowych czy *ordre de bataille* Wehrmachtu na froncie wschodnim. Dla usprawnienia działalności „Pralnia” utworzyła trzy ośrodki wywiadowcze, kilkanaście ekspozytur oraz rozległą sieć placówek wywiadowczych. Ich liczba i lokalizacja zależały od aktualnej sytuacji na froncie. Jednym z organizatorów wywiadu AK na zapleczu frontu niemiecko-sowieckiego był Aleksander Klotz „Wizer”, przedwojenny starosta, poruszający się jako lekarz po terenie niemal całej okupowanej przez Niemców Ukrainy. Dodajmy, że fachu tego w całości miał się nauczyć z książek akademickich. Jego bazą wypadową był Kijów, gdzie pod nazwiskiem Jan Baranowski prowadził gabinet lekarski. Stamtąd wyruszała na regularny objazd ekspozytur i placówek znajdujących się m.in. w Charkowie i Odessie.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w Biurze Studiów zorganizowano nowe referaty odpowiedzialne za analizowanie informacji napływających ze wschodu. Na podstawie meldunków „Pralni” ustalili one m.in., że celem



Fot. NAC

► Niemieccy żołnierze we wnętrzu specjalnego samochodu podczas pracy z maszynami szyfrującymi Enigma – prawdopodobnie nieświadomi tego, że ich kody rozpracował polski wywiad

wielkiej niemieckiej letniej ofensywy w 1942 roku nie będzie – jak twierdzili Sowieci – Moskwa, lecz Kaukaz. Informacje o tym przesłano Sowiecom 29 kwietnia 1942 roku (bezpośrednia łączność radiowa z Sowiecami trwała zaledwie do końca lipca 1942 roku, po czym ze względów politycznych została przez nich przerwana). Przesuwanie się frontu na zachód sprawiło, że większość placówek wywiadu wschodniego znalazła się w latach 1943–1944 po stronie sowieckiej. Wkrótce zostały one rozbite aresztowaniami przez NKWD, część osób rozstrzelano.

Wywiad przemysłowy

Oprócz pokrótce opisanych spektakularnych akcji Oddział II KG AK prowadził na masową skalę wywiad przemysłowy. Dostarczano informacji m.in. o tym, gdzie buduje się okręty podwodne, o produkcji małopolskiego zagłębia naftowego czy programie produkcji lokomotyw. O skali działalności wywiadu przemysłowego niech świadczy fakt, że zachowane do dzisiaj meldunki za okres od października 1941 do czerwca 1944 roku obejmują 2800 stron maszynopisu i rysunków, a przecież były to tylko wybrane najważniejsze materiały. Swoisty hołd dla tej działalności złożyli sami Niemcy

w piśmie skierowanym do wszystkich placówek gestapo w Berlinie (!). Napisano w nim m.in.: „[...] polska służba wywiadowcza pracuje z wielką aktywnością, [...] już obecnie działa w wielkiej liczbie niemieckich zakładów chronionych przy pomocy zatrudnionych w nich robotników. Wypływające z tego zagrożenia dla produkcji są tym większe, że wywiad polski, wspierany przez fanatyzm polskiego ruchu oporu, pracuje z wielką zręcznością i dlatego jest trudny do ujęcia”.

Oddział II KG AK prowadził bardzo rozległą działalność. Warto jednak pamiętać, że przedstawione powyżej przykłady w żaden sposób nie wyczerpują osiągnięć polskiego wywiadu w ostatniej wojnie. Na porównywalną skalę działalność wywiadowczą prowadził przecież także wspomniany jedynie na marginesie Oddział II Sztabu Naczelnego Wodza, którego najbardziej chyba zasłużonym pracownikiem był szerzej w Polsce nieznanymi przedwojenny oficer wywiadu Mieczysław Słowikowski „Rygor”. Jego siatka wywiadowcza umożliwiła aliantom, w ramach operacji „Torch”, stosunkowo bezkrwawe opanowanie francuskiej części Afryki Północnej. Ale to już temat na osobny artykuł. 📌

Maciej Żuczkowski – pracownik Wydziału Badań Naukowych BEP IPN

Nie strzelali do Polaków

Szymon Nowak



Fot. Ryszard Witkowski „Romuald”, „Orliński” / Muzeum Powstania Warszawskiego

Gdy 1 sierpnia 1944 roku wybuchło Powstanie Warszawskie, niemieckie dowództwo zaczęło pospiesznie gromadzić siły, by rozprawić się z niepokornym miastem. Niemców miały wspierać sojusznicze wojska węgierskie. Węgrzy jednak wcale nie mieli ochoty walczyć z Polakami.

Oddziały węgierskie przebywały na terenie okupowanej Polski od wiosny 1944 roku. Składały się z kawaleryjskiej 1. Dywizji Honwedów oraz z II Korpusu Rezerwowego, w którego skład wchodziły trzy dywizje (5., 12. i 23.) – łącznie ponad 30 tys. żołnierzy. Korpusem dowodził najpierw gen. Vitez Vattay, a później gen. Béla Lengyel (po węgiersku: Polak), były węgierski attaché wojskowy w Warszawie. Do 5 sierpnia Węgrzy byli taktycznie

▶ Żołnierze węgierscy w podwarszawskim Milanówku, sierpień 1944 roku

podporządkowani niemieckiej 2. Armii, a następnie 9. Armii gen. Niko-
lausa von Vormanna.

Polacy są naszymi przyjaciółmi
Na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku oddziały węgierskie znalazły się nieopodal Warszawy. Gdy 1 sierpnia w mieście rozpoczęły się walki, Niemcy – wobec braku innych wojsk – postanowili stworzyć wokół stolicy kordon z wojsk węgierskich, by w ten sposób odgrodzić powstańców od oddziałów partyzanckich stacjonujących w okolicznych kompleksach leśnych: w Puszczy Kampinoskiej, Lasach Chojnowskich i Kabackich. Dowództwo niemieckie planowało także wykorzystanie sojuszników do walk z Polakami, Węgrzy jednak odmówili.

Tak wspomina te wydarzenia gen. Lengyel: „[...] otrzymałem od przełożonego niemieckiej 9. Armii rozkaz, abym przejął na Mokotowie moimi oddziałami jeden z odcinków pierścienia osacza-

jącego Warszawę i aby moja artyleria brała udział w ostrzeliwaniu Warszawy. Udałem się natychmiast do generała Vormanna i prosiłem go o uwolnienie mnie z tego zadania. Uzasadniłem to tym, że Węgrzy nie znajdują się z Polską w stanie wojny, a ponadto mogłoby dojść do odmowy wykonania rozkazów ze strony moich oddziałów, do czego nie chciałem dopuścić. Generał von Vormann okazał wiele zrozumienia dla moich zastrzeżeń, jak też dla polsko-węgierskich stosunków, za co byłem mu wdzięczny”. W innym miejscu gen. Lengyel, relacjonując swoją rozmowę z regentem Węgier Miklósem Horthym, przytacza jego słowa: „Nie mamy czego w Warszawie szukać. Polacy są naszymi przyjaciółmi, a Niemcy towarzyszami broni. Nie wolno nam dać się wciągnąć w ich spór”.

Vormann pisał do swoich przełożonych: „Dowodzący generał Królewskiego Węgierskiego II Korpusu Rezerwowego na moje zapytanie o zachowanie

jego oddziałów wobec Polaków zameldował: Nie należy liczyć na to, że 12. węgierska dywizja rezerwowa wypełniłaby zadanie zamknięcia Warszawy od północy i oczyszczenia dużego obszaru leśnego na północny zachód od niej. Oddziały są serdecznie witane przez polską ludność. Już teraz wystąpiły oznaki bratania się; przywódcy ruchu narodowego usiłują nawiązać bezpośredni kontakt z dowódcami. Węgrów zaklina się na wielowiekową tradycyjną przyjaźń między Węgrami i Polakami, by wstrzymywali się od wszelkich akcji wojskowych. Wojsko jest jeszcze w rękach swych dowódców. Jak długo przy niewielkiej liczbie oficerów, zwłaszcza w 12. węgierskiej dywizji rezerwowej, stan taki może się utrzymać, na to nie można dać niemal żadnych gwarancji”.

By oddzielić Warszawę od partyzantów w lasach, Niemcy rozlokowali węgierskie oddziały m.in. w rejonie Piaseczna, w Milanówku, Podkowie Leśnej i w podwarszawskich Laskach. Właśnie w Laskach w powstańczym szpitalu leżał kpt. Józef Krzyczkowski „Szymon”, dowódca VIII Rejonu Obwodu VII „Obroza” Okręgu Warszawskiego AK w Puszczy Kampinoskiej, który 2 sierpnia został ranny w nogę podczas natarcia na lotnisko Bielany. Postanowił on porozumieć się z Węgrami. Kontakt z węgierskim pułkownikiem nawiązała mieszkająca w tych okolicach Węgier-

▶ Żołnierz węgierski z jednostki zakwaterowanej w gimnazjum w Milanówku, sierpień 1944 roku

Fot. ze zbiorów M. Foksa



▶ Znaczki Królewskiej Poczty Węgierskiej z okresu II wojny światowej

ka z rodziny Csaki. Ponieważ jej misja spotkała się z pozytywnym odzewem, kpt. Krzyczkowski wysłał do Węgrów oficjalną delegację wojskową. 19 sierpnia kpt. Edmund Jungowski „Krzemień” doręczył węgierskiemu dowódcy list, w którym „Szymon” dyskretnie pytał o możliwości „nieprzeszkadzania sobie” lub nawet wspólnej walki przeciwko Niemcom.

Polak, Węgier – dwa bratanki

Pułkownik węgierski oddał Polakom osiem koni z oporządzeniem i cztery karabiny, wcześniej zarekwirowane przez jego żołnierzy. Wszystko wskazywało na to, że nie dojdzie do walk między Polakami i Węgrami. Węgrzy zgodzili się na przemarsze polskich oddziałów przez ich teren, prosząc tylko o wcześniejsze uprzedzenie. Dowódca węgierski nie czuł się uprawniony, by samodzielnie zdecydować o podjęciu walki z Niemcami. Jednak 21 września

do polskich partyzantów w Kampinosie dołączyło około czterdziestu żołnierzy węgierskich. Byli to węgierscy Żydzi, którzy pełnili później różne obowiązki w polskim obozie, choć w walkach z Niemcami nie uczestniczyli.

Powstańcy z Mokotowa zatrzymali 15 sierpnia 1944 roku bryczkę z dwoma oficerami węgierskimi, którzy poprosili o spotkanie z ppłk. Stanisławem Kamińskim „Danielem”, dowódcą pułku „Baszta”. W czasie rozmowy oficerowie ci zadeklarowali chęć wspólnej walki z Niemcami. Zaskoczony „Danieł” powiedział, że najpierw musi porozumieć się ze swoimi przełożonymi. Węgrzy zostawili adresy kontaktowe i udali się do Zalesia, gdzie stacjonował ich oddział. Nie wiadomo, czy wypełniali oni rozkaz przełożonych, czy raczej była to ich prywatna inicjatywa. Nie ulega jednak wątpliwości, że zależało im na zorientowaniu się, jaka będzie reakcja Polaków. ▶



Także oddziały polskie stacjonujące w Lasach Chojnowskich nawiązały kontakt z Węgrami. Do spotkania gen. Vattaya i kpt. Janusza Chyczewskiego „Pawlaka” doszło 17 sierpnia. Rozmowy przebiegały w przyjaznej atmosferze, aczkolwiek Węgrzy domagali się, żeby polskie oddziały opuściły Lasy Chojnowskie w ciągu 24 godzin. Prawdopodobnie wynikało to z nacisków Niemców, którzy chcieli mieć spokój na swym zapleczu. W trybie pilnym z Mokotowa przybył ppłk Paweł Zagórowski „Góral”, który legitymował się pełnomocnictwem dowódcy AK gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”. Zaproponował on Węgom przejście na stronę polską i wspólną walkę z Niemcami. Węgrzy jednak odmówili. Końcowy efekt rozmów był taki, że Węgrzy uprzedzili Polaków o niemieckich przygotowaniach do akcji przeciw powstańcom z Lasów Kabackich, zaś główne siły ppłk. Mieczysława Sokołowskiego „Grzymały”, wyprzedzając niemieckie uderzenie, natarły na Wilanów i przedostały się na Mokotów. Wojska węgierskie nie przeszkadzały powstańcom.

Także powstańcy z Mokotowa i Sadyby sporadycznie kontaktowali się z węgierskimi patrolami zapuszczającymi się na przedpole między Wilanowem a Sadybą. 22 sierpnia do stacjonujących w Zalesiu wojsk węgierskich został wysłany ks. prof. ppłk Jan Stępień „Szymon”, który działał w porozumieniu z Komendą Główną AK. Rozmawiał on z węgierskim oficerem – porucznikiem o nazwisku Ronai, który z kolei reprezentował gen. Lengyela, wówczas już dowódcę II Korpusu. Węgom zależało na tym, by za pośrednictwem AK nawiązać kontakt z wojskami radzieckimi stojącymi za Wisłą. „Szymon” zapewnił, że do powstania przyłączyły się Armia Ludowa i Polska Armia Ludowa, z całą pewnością utrzymujące łączność z Sowietami. W rozmowach Węgrów z Sowietami na temat przejścia Węgier na stronę koalicji antyhitlerowskiej miała pośredniczyć PAL.

Następnego dnia w rozmowach wzięli udział gen. Lengyel i gen. László Szabo. Podobno Wehrmachtowi zależało na tym, by Węgrzy skłonili Polaków do podpisania kapitulacji bezpośrednio z gen. Vormannem – z pominięciem sztabu gen. SS Ericha von dem Bacha-Zelewskiego. Natomiast Węgrzy liczyli przede wszystkim na własne korzyści polityczne. Byli bowiem skłonni porzucić niepewny sojusz z III Rzeszą i przejść na stronę aliantów. Ponoć gen. Lengyel zaproponował

ks. ppłk. Stępieniowi potajemne przetrzymanie do Budapesztu – na rozmowy z admirałem Miklósem Horthym – a następnie do Londynu. Trudno jednoznacznie określić wiarygodność węgierskich propozycji. Wiemy tylko, że ks. Stępień nie zgodził się na rozmowy z Horthym.

Wiadomo też, że 31 sierpnia doszło do spotkania por. Czesława Szczubelka „Jaszczura”, komendanta 5 Rejonu V Obwodu Mokotów, z oficerami węgierskimi, którzy działali na własną rękę i przekazali powstańcom kilka karabinów.

Sojusznik?

Niemcy, widząc, że nie mogą liczyć na sojusznika, postanowili odesłać żołnierzy II Korpusu na Węgry, o czym gen. Lengyel powiadomił wysłannika KG AK 8 września. W okolicach Warszawy pozostały tylko dwie węgierskie dywizje. Podpułkownik István Szabadhegy zapisał w swoim pamiętniku: „Grodzisk, 24 września 1944 roku. Trudno mi się pogodzić z wyjazdem. Polacy mają wspólne poglądy z Węgrami na życie, podobne do nas rasy charakterów. Bóg z tobą, umęczona Polsko. Każdy Węgier szczerym sercem solidaryzuje się z tobą i oby Wszechmogący wyprowadził was z tego koszmaru”.

W ramach operacji „Spadająca Gwiazda” Niemcy uderzyli 27 września na stacjonującą w Puszczy Kampinoskiej Grupę AK „Kampinos”. Dowodzący grupą mjr Alfons Kotowski „Okon” zdecydował się na forsowny marsz całego zgrupowania w kierunku Gór Świętokrzyskich. Gdy o świcie 29 września 1944 roku polskie oddziały, liczące wówczas około 1200 żołnierzy, przechodziły przez wieś Stanisławów (nieдалeko Jaktorowa), natknęły się na huzarów z 1. Dywizji Honwedów, którymi dowodził rotmistrz Miklós Bodócsy. Węgrzy dzielili się z Polakami jedzeniem i „napitkiem”, a nawet amunicją i granatami.

Polskie kolumny dotarły w rejon Bud Zosinych, gdzie ok. 7.00 rano mjr Kotowski zarządził odpoczynek



Fot. M. Foks

Stacjonujący w Podkowie Leśnej żołnierze węgierscy utrzymywali kontakty z AK; byli przyjaźnie nastawieni do mieszkańców i pozostali w ich pamięci do dziś; na zdjęciu pomnik na pl. Przyjaźni Polsko-Węgierskiej



Fot. M. Foks

► W 1944 roku nie wszyscy żołnierze węgierscy chcieli walczyć za III Rzeszę – stacjonujący w Podkowie Leśnej zostali przez Niemców rozbrojeni i internowani; według jednej z relacji 5 września 1944 roku trzech ranni lub chorzy żołnierze węgierscy zostali dobiti przez Niemców; Pal Hunyadi, Jozsef Vener i Antal Toth spoczywają na cmentarzu w Podkowie Leśnej

tuż przed torami kolejowymi łączącymi Warszawę ze Skierniewicami. Polskich żołnierzy zauważyli Niemcy. Wkrótce doszło do bitwy, znanej jako bitwa pod Jaktorowem. Zginął mjr Kotowski, a polskie ugrupowanie zostało rozbite. Niemcy otaczali polskie pododdziały, aby je zniszczyć i wziąć jeńców.

W ślad za swym formalnym sprzymierzeńcem od północy w rejon bitwy przybliżyły się pododdziały węgierskie. Ich stosunek do polskich powstańców był jednak zupełnie inny niż Niemców. Oddziały węgierskie pozorowały branie Polaków do niewoli, by ich następnie puścić wolno. Przepuszczały także powstańców z rozbitego oddziału przez swoje pozycje. W rejonie Bud Zosynich i Kopisk Małych Węgrzy zagrozili nawet Niemcom użyciem broni i odgradzili kilkudziesięciu Polaków od esesmanów.

W książce Józefa Krzyczkowskiego *Konspiracja i Powstanie w Kampinosie* znalazła się relacja st. strz. „Lisa” (N.N.), którego Węgrzy jako „jeńca” przebrali w swój płaszcz, ratując tym samym od niemieckiej niewoli. „Lis” był świadkiem takiego oto wydarzenia: „Sytuacja stała się w pełni dramatyczna. Łączką posuwało się ze dwudziestu naszych, trzymając broń w rękę, i nie przypuszczając, że za chwilę wpadną w pułapkę. Za moment samochód pancerny ruszył na naszych i widać było, jak lufy jego cekaemów zniżały

się w stronę powstańców. Nasi wreszcie spostrzegli, co się święci, i padli na ziemię, stał tylko ich dowódca. Niemiecki oficer krzyknął: *Hände hoch!* Odpowiedział mu tak samo dowódca powstańców. Przez chwilę słychać było z obu stron to samo wołanie. Ścierpła mi skóra – taka rozmowa skończy się tym, że esesmani puszcza serię z cekaemu i z naszych nikt nie ujdzie z życiem. I wtedy właśnie stała się rzecz zupełnie nieprzewidywalna: zza chałupy wypadł jakiś mały Węgier i biegł do dowódcy powstańców. Było to najwidoczniej dziecko pułku – chłopak 12-czy 13-letni, umundurowany, jak przystało na prawdziwego żołnierza. Gdy znalazł się przy powstańcu, złapał za rewolwer, który trzymał w ręce dowódcy, i ze śmiechem odebrał mu go. Był to jakby znak dla innych Węgrów – rzucili się do naszych, otoczyli i w mig rozbroili. Nasi stali się jeńcami Węgrów, a nie esesmanów. Wszystko stało się tak szybko, że zanim się Niemcy zorientowali, cała gromada ruszyła do kwater węgierskich. Oficer esesmański pierwszy oprzytomniał i rzucił się z krzykiem w stronę eskortujących Węgrów. Z obu stron powstał wrzask, swarzone się po niemiecku, kto wziął powstańców do niewoli. Esesmani nie chcieli ustąpić, lecz Węgrów było znacznie więcej. Niewiele brakowało, by sojusznicy zaczęli do siebie strzelać. Niemcy pokłótni wsiedli na samochód pancerny i odjechali”.

Zbigniew Ściwiarski „Bożek”, inny z Polaków wziętych „do niewoli” przez Węgrów, w opracowaniu *Na przedpolu Warszawy* zanotował z kolei: „Odległy warkot stawał się coraz bliższy i wkrótce przed naszymi oczami ukazało się kilka czołgów i samochodów pancernych, z których wyskoczyli odziani w czarne mundury esesmani. Zbliżali się z wyciągniętą bronią w naszym kierunku i z wrzaskiem »ręce do góry« usiłowali nas otoczyć. Zamarliśmy z przerażenia. Nagle kapitan węgierski rzucił się w kierunku Niemców i powstrzymał ich. To węgierscy jeńcy – zawołał – i jedynie on ma prawo zrobić z nimi, co

uzna za konieczne. Początkowo Niemcy nic sobie z tego nie robili, ale gdy zobaczyli, że żołnierze węgierscy chwycili za broń, odgradzając nas od Niemców, powstrzymali się od dalszej akcji. Każda ze stron usiłowała przekrzyczeć drugą. Wreszcie esesmani uznali, że nic nie wskórają, i z ociąganiem odjechali”.

Liczba uratowanych przez Węgrów polskich powstańców z Grupy „Kampinos” w bitwie pod Jaktorowem może sięgać od kilkudziesięciu do nawet powyżej stu osób. Warto też pamiętać o dwóch żołnierzach węgierskich poległych pod Jaktorowem, którzy dołączyli wcześniej do polskiego zgrupowania partyzanckiego. Ich ciała spoczywają do dziś na cmentarzu wojennym w Budach Zosynich. 🇵🇱

Szymon Nowak – historyk, interesuje się epoką napoleońską oraz II wojną światową, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego; autor m.in. książek: *Przyczółek Czerniakowski 1944* (2011) i *Puszcza Kampinoska – Jaktorów 1944* (2011)

► Grób jednego z żołnierzy węgierskich, pochowanych na cmentarzu w Podkowie Leśnej

Fot. M. Foks



Pogrom w Jedwabnem

Anna Pyżewska

Minęła 71. rocznica mordu popełnionego w Jedwabnem na ludności żydowskiej przez grupę polskich mieszkańców miasteczka i okolic. Na początku XXI wieku zbrodnia ta wywołała burzliwą ogólnonarodową dyskusję, w której najczęściej powtarzane pytanie brzmiało: czy Polacy mogli tak postąpić? Ustalenia historyków oraz prokuratorskiego śledztwa nie budzą wątpliwości: mogli. I popełnili.

Do zbrodni doszło kilkanaście dni po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 roku i wkroczeniu wojsk niemieckich na tereny od września 1939 roku okupowane przez ZSRS. 10 lipca grupa mieszkańców Jedwabnego i okolicznych miejscowości, zachęcona przez Niemców, spędziła na rynek jedwabieńskich Żydów. Oprawcy dopuszczali się wobec nich aktów przemocy, pilnując, aby nikt nie zdołał się wymknąć. Część Żydów zmuszono do pielenia rynku. Grupie 40–50 mężczyzn kazano rozbić stojący na pobliskim skwerku pomnik Lenina. Następnie fragmenty monumentu musieli dźwigać do stojącej na obrzeżach Jedwabnego stodoły. Do tej samej stodoły po pewnym czasie zapędzono pozostałych Żydów. Po zamknięciu drzwi budynek został podpalony. Jak wykazało śledztwo prowadzone w latach 2000–2003 przez prokuratora Radosława Ignatiewa z białostockiego oddziału IPN, zbrodnia ta pochłonęła co

najmniej 340 ofiar – kobiet i mężczyzn, dzieci i ludzi w podeszłym wieku. Dokoła jej grupa co najmniej czterdziestu Polaków. Większość mieszkańców miasteczka zachowała w obliczu tej zbrodni bierność – po części zapewne z obojętności na los Żydów, ale także ze strachu: zdarzało się, że nawet próba podania im wody budziła gwałtowny sprzeciw sprawców.

Kwestia udziału Polaków w zamordowaniu żydowskich mieszkańców Jedwabnego po raz pierwszy stała się przedmiotem zainteresowania wymiaru sprawiedliwości kilka lat po wojnie. W 1949 roku toczyła się sprawa w Sądzie Okręgowym w Łomży. Na 22 oskarżonych skazano dwanaście osób (jedną na karę śmierci, której nie wykonano), pozostałe – uniewinniono.

Po apelacji uniewinniono dwie dalsze osoby. W 1953 roku, również przed sądem w Łomży, stanął Józef Sobuta, także oskarżony o udział w mordzie w Jedwabnem. Nie był on sądzony w roku 1949, gdyż przebywał wówczas na obserwacji psychiatrycznej. Został uniewinniony. W 1967 roku śledztwo w sprawie pogromu w Jedwabnem wszczęła Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Białymstoku.

Przez całe dziesięciolecie mord w Jedwabnem w ogóle nie funkcjonował w powszechnej świadomości. Sprawa ta była znana dość wąskiemu kręgowi (głównie ze środowisk żydowskich), próby przełamania milczenia zaś (artykuł Szymona Datnera z 1966 roku czy Danuty i Aleksandra Wroniszewskich z 1988) kończyły się niepowodzeniem. Zazwyczaj, jeśli już gdzieś w ogóle pojawiała się informacja o zbrodni w Jedwabnem (obelisk stojący w miejscu spalenia Żydów, nieliczne publikacje), to z adnotacją, że dokonali jej Niemcy.

W 2000 roku ukazała się książka Jana Tomasza Grossa pt. *Sąsiedzi*. Autor napisał wprost: w lipcu 1941 roku to Polacy wymordowali żydowską ludność Jedwabnego. Publikacja wywołała burzę. Autorowi zarzucono – i słusznie – poważne braki warsztatowe, przejawiające się m.in. w swobodnym i wybiórczym



♦ Pomnik stojący w miejscu, w którym 10 lipca 1941 roku spalono żydowskich mieszkańców Jedwabnego



Fot. A. Pizewska

► Pochodzący z Wizny Icchak Lewin od lat przyjeżdża do Jedwabnego 10 lipca (na zdjęciu podczas ubiegłorocznych uroczystości); jego rodzina przetrwała wojnę, ponieważ została uratowana przez rodzinę Dobkowskich z Zanklewa

podejściu do wykorzystanych źródeł oraz niekonfrontowaniu ich z innymi, bezrefleksyjne traktowanie liczby podawanych ofiar (według Grossa, w jedwabieńskiej stodole spłonęło 1600 osób), nieznamość literatury. obrońcy Grossa podkreślali, że w końcu ktoś odważył się pisać o sprawach uderzających w mit Polaka jako największego bohatera II wojny światowej, który jednocześnie najwięcej ucierpiał wskutek polityki obu okupantów. Przeciwnicy autora nierzadko w ogóle negowali fakt wymordowania Żydów przez grupę Polaków. Burzliwa dyskusja trwała ponad rok. Kwestie udziału Polaków w zagładzie żydowskich mieszkańców w Jedwabnem, przyczyn takiego, a nie innego biegu zdarzeń, okoliczności tego wydarzenia, odpowiedzialności itd. były dyskutowane chyba we wszystkich środowiskach, budząc gorące emocje i nierzadko sytuując uczestników po dwóch stronach barykady. Debata zaangażowała historyków, socjologów, psychologów, publicystów, pasjonatów historii, a nawet „zwykłych” odbiorców medialnych przekazów.

We wrześniu 2000 roku śledztwo w sprawie wydarzeń w Jedwabnem podjął białostocki oddział IPN. 30 czerwca 2003 roku zostało ono umorzone z powodu niewykrycia innych żyjących sprawców zbrodni niż ci, którzy już

wcześniej zostali osądzeni przez polski wymiar sprawiedliwości. Co jednak istotne – śledztwo potwierdziło udział Polaków w zbrodni: „Co do udziału polskich cywili w dokonaniu zbrodni należy przyjąć, iż była to rola decydująca o zrealizowaniu zbrodniczego planu” – brzmiał fragment uzasadnienia umorzenia sprawy. I dalej: „Przyjąć można, że zbrodnia w Jedwabnem została dokonana z niemieckiej inspiracji. Obecność choćby biernie zachowujących się niemieckich żandarmów z posterunku w Jedwabnem, a także innych umundurowanych Niemców (jeśli założyć, że byli oni obecni na miejscu zdarzeń) była równoznaczna z przyzwoleniem i tolerowaniem dokonania zbrodni na żydowskich mieszkańcach tej miejscowości”. Nie zmienia to faktu, że dla wielu środowisk w Polsce wciąż jest to prawda nie do przyjęcia: zarówno z badania przeprowadzonego w 2009 roku przez ośrodek Pentor dla Muzeum II Wojny Światowej, jak i TNS OBOP z 2011 roku wynikało, że tylko około jednej trzeciej ankietowanych odpowiadało, iż Żydów w Jedwabnem wymordowali Polacy (zdaniem części udzielających odpowiedzi – Polacy zmuszeni przez Niemców).

W 2002 roku IPN wydał dwutomową publikację *Wokół Jedwabnego*, będącą rezultatem pracy kilkunastoosobowej ►



► W ubiegłorocznych uroczystościach przypadających w 70. rocznicę śmierci jedwabieńskich Żydów uczestniczyli przedstawiciele najważniejszych instytucji i urzędów państwowych, goście z Izraela, a także okoliczni mieszkańcy; ani razu – poza rokiem 2001 – w obchodach nie wzięły udziału władze Jedwabnego

Fot. A. Pizewska

grupy specjalistów – historyków i prawników, m.in. z Biura Edukacji Publicznej IPN, Instytutu Historii i Instytutu Studiów Politycznych PAN, UW i Uniwersytetu w Białymstoku. Książka w pełni, udokumentowany sposób przedstawiała szeroki kontekst wydarzeń w Jedwabnem, uwzględniając tak różnorodne wątki jak m.in. kwestię stosunku duchowieństwa diecezji łomżyńskiej wobec zaślady Żydów, rolę oddziałów operacyjnych niemieckiej Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa w pogromach z lata 1941 roku, stosunki między Polakami a Żydami na Zachodniej Białorusi w latach 1939–1941. Niestety, publikacja, będąca solidnym, naukowym opracowaniem, nie zyskała takiego rozgłosu jak niewielka i dużo łatwiejsza w odbiorze książka Grossa.

Należy podkreślić, że choć to właśnie Jedwabne stało się symbolem mordu popełnionego na Żydach latem 1941 roku, nie było ono jedyną miejscowością, w której Polacy zwrócili się przeciwko swoim żydowskim sąsiadom. Z ustaleń Andrzeja Żbikowskiego wynika, że na terenie, który w latach 1939–1941 stanowił zachodnią część obwodu białostockiego (jednostka administracji sowieckiej), od 22 czerwca do połowy września 1941 roku do wystąpień antyżydowskich doszło w 29 miejscowościach. Najkrwawszy przebieg miały pogromy w Jedwabnem (tu było najwięcej ofiar), Radziłowie i Wąsoszu; poza tym do zajęć na znaczną skalę przeciwko Żydom doszło też m.in. w Goniądzu, Grajewie, Kolnie, Suchowoli, Szczuczynie, Stawiskach. Pogromy miały miejsce jednak także na pozostałym terytorium byłej Zachodniej Białorusi, jak też na Litwie czy Łotwie.

Jedno z najczęściej zadawanych po ukazaniu się książki Grossa pytań brzmiało: jak to w ogóle możliwe, że Polacy wystąpili przeciwko mieszkańcom tej samej miejscowości – swoim znajomym, sąsiadom? Bez wątplenia złożyło się na to wiele różnych przyczyn. Przede wszystkim – od samego początku wojny niemiecko-sowieckiej na zajmowanych terenach aktywnie działały jednostki SS i policji do zadań specjalnych (tzw. Ein-

satzgruppen), które miały doprowadzić do eksterminacji ludności żydowskiej dokonanej rękoma miejscowej ludności. Nazwano to eufemistycznie „akcjami samooczyszczającymi”. Jednocześnie starano się nie pozostawić żadnych śladów udziału Niemców w pogromie. W związku z tym ich aktywność polegała albo na zorganizowaniu mordu (bądź współdziałanie w jego organizacji), albo na stworzeniu atmosfery przyzwolenia na pogrom. Wskutek takich działań np. w Radziłowie podczas mordowania Żydów (tak jak w Jedwabnem, zostali oni spaleni w stodole) nie było Niemców – nie byli tam potrzebni, zbrodni dokonała grupa miejscowych Polaków. W Jedwabnem Niemcy najprawdopodobniej byli obecni (część świadków wspomina o ich obecności w miasteczku), jednak ich rola sprowadzała się do asystowania podczas spędzania Żydów na rynek. Nie zostało ustalone, czy uczestniczyli w konwojowaniu ofiar do stodoły oraz czy byli obecni przy stodole.

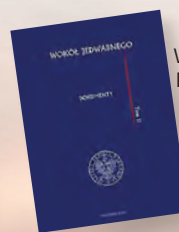
Działania niemieckiego okupanta, zmierzające do wywołania pogromów ludności żydowskiej, padły na podatny grunt. Na zajmowanych przez Niemców po 22 czerwca 1941 roku terenach świeża była pamięć o minionych 21 miesiącach okupacji sowieckiej. W okresie tym stosunki polsko-żydowskie znacznie się pogorszyły. Powodem takiego stanu rzeczy stało się zachowanie wielu Żydów już w momencie wkraczania Armii Czerwonej – w wielu miejscowościach entuzjastycznie witali oni najeźdźców. Zaraz potem część Żydów wykorzystano do poprawienia swego statusu społecznego i poparła władzę sowiecką, zasilając administrację, a także do rewanzu na narodowcach, organizujących antysemityczne akcje przed wrześniem 1939 roku. Mimo że w skład administracji okupacyjnej wchodził także Polacy (a na terenach bardziej na wschód – również Białorusini), to jednak najbardziej zapamiętano obecność Żydów. Ludność żydowską obwiniano o panujący terror, biedę, deportacje obywateli polskich w głąb ZSRS i represje stosowane wobec Polaków. Kiedy latem 1941 roku

okupanta sowieckiego zastąpił niemiecki, prowadzący – jak już wspomniano – celową politykę antagonizowania obu grup narodowościowych, przemoc wobec Żydów przybrała często charakter rozrachunków, była rodzajem zemsty za ich faktyczne, ale i rzekome „przewinienia”.

Innym czynnikiem, który przyczynił się do pogromów antyżydowskich na tym terenie i w tym czasie, był też zapewne sięgający jeszcze czasów sprzed wybuchu wojny antysemityzm części środowisk. Do tego należy dodać działanie z chęci zysku (w wielu miejscowościach, także w Jedwabnem, tuż po pogromie polscy mieszkańcy przystępowali do rabowania mienia żydowskiego) czy też chęć przypodobania się nowemu okupantowi. Te wszystkie elementy złożyły się na to, że do eksterminacji Żydów włączyły się grupy Polaków.

Pogrom w Jedwabnem należy bez wątplenia do najbardziej wstydlivych kart w historii Polski. Prawda historyczna oraz szacunek dla ofiar wymagają jednak, aby nie pomijać i takich tematów milczeniem. Na koniec warto jeszcze przytoczyć słowa prof. Leona Kieresa, w latach 2000–2005 prezesa IPN, który we wstępie do książki *Wokół Jedwabnego* napisał: „W moim przekonaniu hasło Jedwabne oznacza przede wszystkim naszą odwagę mówienia o rzeczach trudnych. Odwagę, dzięki której możemy rozmawiać o historii naszego kraju z podniesionym czołem, nie chowając ludzi niegodziwych za plecami bohaterów z Westerplatte czy Monte Cassino”. Te słowa nie wymagają komentarza. 🍷

Anna Pyżewska – pracownik OBEP IPN w Białymstoku



W 2002 roku Biuro Edukacji Publicznej IPN opublikowało obszerną, dwutomową pracę *Wokół Jedwabnego* pod red. Pawła Machcewicza i Krzysztofa Persaka, w której zaprezentowano wyniki badań naukowych

nad zbrodniami popełnionymi na polskich Żydach w Jedwabnem, Radziłowie i innych miejscowościach Łomżyńskiego i Białostockiego latem 1941 roku; na tom pierwszy składają się studia, w tomie drugim opublikowano dokumenty polskie, sowieckie i niemieckie

Zobaczyć Micka Jaggera. The Rolling Stones w PRL

Lukasz Czepulkowski

Na pierwszej stronie „Życia Warszawy” z 18 marca 1967 roku pojawiła się krótka notka o tym, że PAGART prowadzi negocjacje z menedżerem zespołu The Rolling Stones w sprawie dwóch występów w stołecznej Sali Kongresowej. Wiadomość o przyjeździe Stonesów wywołała sensację.

Zdecydował przypadek. Muzycy planowali koncert w ZSRR – w Moskwie lub w Leningradzie. Gdy okazało się, że jest to niemożliwe, do negocjacji przystąpił Jacek Dobierski, szef Polskiej Agencji Artystycznej PAGART, zajmującej się promocją przede wszystkim polskich artystów. Zabiegając o występ gwiazdy muzycznej „pierwszej ligi”, zapewniał menedżera Rolling Stones, że warunki w Warszawie są prawie identyczne jak w Moskwie. Wcześniej zresztą, w 1965 i 1966 roku, w PRL gościła grupa The Animals. Brytyjcy rockmani, którym zależało na występie w jednym z krajów za żelazną kurtyną, dali się namówić na dwa koncerty.

Run na Stonesów

Obszerne zapowiedzi występów opublikował jedynie Roman Waschko na łamach „Sztandaru Młodych”. Podał on m.in., że zespół inspirował się muzyką afroamerykańską i został założony w Londynie, który na muzycznej mapie Anglii był równie ważny jak Liverpool, skąd pochodzili dominujący wówczas w Wielkiej Brytanii The Beatles. Koncerty

Stonesów poprzedzić miał recital Czerwono-Czarnych.

12 kwietnia „Życie Warszawy” zamieściło notkę pod znamennym tytułem: *Run na występy The Rolling Stones*. Dziennik

podawał, że do stołecznej „Estrady” wpłynęło dwanaście tysięcy zamówień na bilety. Widownia warszawskiej

Sali Kongresowej liczy zaś 2880 miejsc siedzących, co oznaczało, że oba występy mogło obejrzeć łącznie 5760 osób. Wejściówek w wolnej sprzedaży było niewiele, bo miały je dystrybuować przede wszystkim zakłady pracy.

The Rolling Stones wylądowali na warszawskim Okęciu 12 kwietnia, o czym poinformował na pierwszej stronie „Wieczór Wybrzeża” (stołeczne gazety nie zamieściły żadnej wzmianki na ten temat). Na nieostrej

► Choreografia Micka Jaggera budziła niesmak i kpiny wśród peerelowskich publicystów – ale nie u polskiej młodzieży; występ The Rolling Stones w Sali Kongresowej w Warszawie, 13 kwietnia 1967 roku

fotografii, zamieszczonej w gdańskiej popołudniówce, widać muzyków ubranych w finezyjne kapelusze i okazałe okulary przeciwsłoneczne, witanych przez grupę dziewcząt – najprawdopodobniej ze Związku Młodzieży Socjalistycznej. Bill Wyman (gitarzysta basowy) tak wspominał tamten dzień: „Nic nie było nas w stanie przygotować na to, co zastaliśmy za żelazną kurtyną. Na lotnisku, którego budynki przypominały baraki, witało nas około stu fanów [...]. Warszawa była depresyjna, szara i ponura. Jadąc do najlepszego hotelu w mieście, zauważyliśmy, że ulice wyglądają dziwnie spokojnie, był na nich bardzo mały ruch i niewielu pieszych”.

Marek Karewicz – przydzielony brytyjskiemu zespołowi jako fotograf z ramienia „Estrady” – przebywał z The Rolling Stones w Hotelu Europejskim. Gdy muzycy wyrazili chęć, aby napić się tequili, Karewicz zabrał ich do podziemi hotelu, gdzie mieścił się bar „Kamieniołomy”. Barmanem był – świetnie znający angielski – „przedwojenny” kelner pan Bronisław. Gdy Mick Jagger poprosił o tequilę, barman odparł, że nie występuje ona w tej części Europy od czasu wojny, ale może zaoferować coś równie dobrego – zmrożoną wyborową. Największe wrażenie na Karewiczu zrobił gitarzysta Keith Richards: „Pił jak Słowianin, odrzucając głowę do tyłu, zgodnie z instrukcją kelnera”.

Upragnione bilety na koncerty, które miały się odbyć 13 kwietnia, trzeba było zdobyć. Zgodnie z relacją dziennikarza Pawła Brodowskiego zupełnie nieadekwatna do zapotrzebowania pula biletów trafiła do kas SPATiF i Orbisu. Brodowski miał wejściówkę na drugi koncert. Dostał go dzięki matce przyjaciela, która pracowała w PAGAR-cie. Historyk Tadeusz Cegielski po latach wysnuł przypuszczenie, że rozdział biletów nie leżał w gestii samego tylko PAGART-u, ponieważ sprawa miała zabarwienie polityczne. Wedle jego przypuszczeń nad dystrybucją czuwało Ministerstwo Kultury i Sztuki. Władze nie mogły dopuścić, aby zbyt duża liczba wejściówek na występy grupy ideo-

logicznie niebezpiecznej dostała się w ręce przypadkowych młodych ludzi. Dlatego najlepsze miejsca przypadły osobom związanym z władzą.

Wiele biletów – po wyższej cenie, bo z drugiej ręki – kupili przyjezdni z innych krajów bloku wschodniego. Około dwustu osób nieświadomie zapłaciło za podrobione bilety. Jednym z poszkodowanych był Marian Zimiński, przyjaciel Brodowskiego, członek grupy Akwarele: „Okazało się, że bilet Mariana był fałszywy. Nie dość, że zabrali mu jego wejściówkę, to dostał jeszcze pałą po plecach. Nie udało mu się zobaczyć koncertu. My wtedy nagrywaliśmy płytę «Dziwny jest ten świat». [...] Tego dnia skończyliśmy nagrania szybko, żeby zdążyć na koncert. Natomiast Marian, po tym jak nie udało mu się zobaczyć Stonesów, wrócił do studia i nagrał wstęp do piosenki «Dziwny jest ten świat». Był niepokieszony, doznał potrójnego zawodu. Po pierwsze stracił bilet, po drugie dostał pałą, po trzecie nie był na koncercie. Można powiedzieć, że to był symboliczny przypadek”.

Przed Pałacem Kultury i Nauki, zwłaszcza w godzinach poprzedzających pierwszy występ Rolling Stonesów o godz. 17.00, doszło do starć młodzieży z funkcjonariuszami MO i ORMO. Materiał Polskiej Kroniki Filmowej pokazuje tłumy przepychające się z funkcjonariuszami. Po koncertach prasa podkreślała opanowanie służb porządkowych, które interweniowały dopiero wówczas, gdy młodzież obrzuciła kamieniami (a także modnymi wówczas lusterkami kieszonkowymi z wizerunkami idoli na odwrocie) latarnie i gabloty wokół Sali Kongresowej. Użyto pałek i armatek wodnych. Aresztowano kilkanaście osób, które uznano za prowodyrów. Wedle informacji prasowych, były one już wcześniej notowane za chuligańskie wybryki. W czasie rozruchów przed pierwszym koncertem obrażenia odniosło sześciu milicjantów i jeden ormowiec.

Władzy zależało na wykreowaniu takiego obrazu zajść. Relacje zaprezentowane w mediach znacząco odbiegają od tego, co zapamiętali uczestnicy kon-

certów. Zajścia przed Salą Kongresową trudno określić mianem chuligańskich ekscesów lub walk ulicznych. Andrzej Rosner (wydawca) wspomina: „Z okna na półpiętrze (między szatnią a salą) widziałem, jak oddziały milicji zaczynały rozpędzać tłum przed wejściem, najpierw przy pomocy metod standardowych, czyli pałowania i wchodzenia klinami w tłum (w celu rozdzielenia go na mniejsze grupy), a w końcu przy użyciu działka wodnego. To wszystko niesamowicie wyglądało z góry. Ale, podkreślam jeszcze raz, nie widziałem żadnych chuligańskich ekscesów. Jeśli fani szarpali się z milicjantami, to była to ewidentna wina milicji, która do rozpędzenia kilkutysięcznego tłumu zabrała się w sposób niefachowy, wręcz amatorski, potęgując tylko bałagan przed wejściem. Pragnę zresztą zwrócić uwagę, że mianem chuliganów określano w rok później manifestujących studentów”. Według niego akcja ta była chrztem bojowym dla testujących nowy rynsztunek oddziałów MO z Gołędzinowa. To właśnie tym jednostkom powierzano później zadanie rozpędzania studenckich demonstracji 1968 roku.

„Nie muszą rozumieć. Mają się nas bać”

Skandalizujące występy The Rolling Stones były w PRL całkowitą nowością. Każdy z nich trwał blisko godzinę. Pierwszy rozpoczął się o godz. 17.00, a drugi – o 19.00. Rolę konferansjera powierzono Zbigniewowi Korpolewskiemu.

Nie obyło się bez problemów technicznych. Gitarzysta i klawiszowiec Brian Jones, podłączając swoje organy marki Voks, zauważył, że radziecka wtyczka przypomina amerykańską, i ustawił instrument na 110 V. Z powodu różnicy napięć organy uległy spaleni. Sytuację komplikowało to, że nowy instrument można było kupić dopiero w Berlinie Zachodnim. Na szczęście Ryszard Poznakowski z zespołu Czerwono-Czarni miał zupełnie nowe amerykańskie organy Farfisa. Za udostępnienie instrumentu Brytyjczycy zaoferowali Poznakowskiemu sporą sumę pieniędzy. On ich

jednak nie przyjął; wystarczyło mu, że Mick Jagger osobiście poprosił go o pożyczanie sprzętu.

W wypełnionej po brzegi Sali Kongresowej zgromadziła się pełna energii młodzież. Pierwsze wrzaski podniosły się, gdy tylko zabrzmiały instrumenty. Niewielu zauważyło, że muzycy dopiero stroili gitary, a kurtyna nie została jeszcze podniesiona. Widowisko otworzyła kompozycja *The Last Time*. Siedzący w szóstym rzędzie Zbigniew Hołdys nie krył ekscytacji: „Ktoś wnosi na scenę kosz żonkili. Mick Jagger podnosi kwiaty, wgryza się w nie, a potem ciska je w publikę. Prosto w szósty rząd. Kopalem, biłem i gryzłem, ale je złapałem”.

Podobne wydarzenia miały miejsce w trakcie drugiego koncertu. Tak wspomina je Tadeusz Cegielski: „Pamiętam [...] moment, w którym Jagger rozrzucał kwiaty, które otrzymał, w kierunku szarych milicjantów. Ten kontrast kolorowego rozszalałego wokalisty i milicji ubranej w szare mundury po kostki wedle jakiejś sowieckiej modły”. Czegoś takiego nie oglądały jeszcze mury Sali Kongresowej. Reakcje widowni napędzał Mick Jagger. Obcisły strój, oryginalny taniec i sposób ekspresji były całkowitym *novum* na peerelowskiej estradzie. Podczas pierwszego koncertu Jagger wypiął się w kierunku rządów zajmowanych przez członków partii.

Trudno ustalić, czy ten gest, przez niektórych uważany za polityczny, w istocie miał takie znaczenie.

Między wokalistą grupy a resztą muzyków istniał duży dystans. Pozostali byli na scenie zdecydowanie bardziej statyczni. Pomimo to uwagę przykuwała postać drugiego gitarzysty. Tak opisał go Brodowski: „Dzisiaj się o tym zapomina, ale to właśnie Brian Jones był twórcą unikalnego, inspirowanego chicagowskim bluesem brzmienia. Dopiero potem został odsunięty, a Jagger i Richards zaczęli pisać własne utwory. Wyglądał wtedy w Warszawie trochę jak Piast Kołodziej, był pięknie ubrany, stał z boku, jak się później okazało, coś się spaliło w jego wzmacniaczu. Ktoś dostarczył mu inny. On na nim grał, ale siedząc gdzieś z boku, zauważyłem, że kopnął wzmacniacz, potem chyba w ogóle udawał, że gra. Stał z boku i nawet nie patrzył w stronę kolegów. Grał na harmonijce i śpiewał drugim głosem, ale naprawdę nie było z nim wtedy kontaktu. Wydaje się, że już wtedy był widoczny pewien rozłam w zespole”.

W Sali Kongresowej nie liczyło się słabe nagłośnienie ani brak odsłuchu instrumentów, który uniemożliwiał koncert na wysokim poziomie artystycznym. Ważniejsze było wyrażenie własnego *ego* przez krzyk i ekstatyczny taniec. Takie formy autoekspresji do tej

pory pozostawały w PRL nieznane. The Rolling Stones byli tu prekursorem. Tak jak przed I wojną światową zgorszenie, ale równocześnie wielkie zainteresowanie budził balet Igora Strawieńskiego *Święto wiosny*, tak w gomułkowskiej Polsce publikę fascynowała choreografia Micka Jaggera. Tymi słowami opisał go Krzysztof Teodor Toeplitz w swej recenzji na łamach warszawskiego tygodnika „Kultura”: „Refrenistą tego zespołu jest facet z lwią grzywą, o twarzy troglodyty odziany w złotą marynarkę, malinową lejącą się koszulę, szalik nieokreślonej barwy – lecz pokryty fantazyjnymi wzorami – i żółte niewygodne obcisłe spodnie. Rusza się, ale jest to rytm nie przypominający niczego znanego dotychczas, z akcentem położonym na górne podnoszenie kolan, rąk zgiętych w łokciach, uniesienie głowy. Ten niesłychany w swojej nieharmonijności, przetykany jest gęsto momentami zwolnienia, kiedy ruch solisty nawiązuje przejrzystość do tradycji «Madame Artur» znanego paryskiego kabaretu pederastów”. Dla wielu dziennikarzy starszego pokolenia The Rolling Stones byli symbolem barbarzyństwa i daleko posuniętego regresu kulturowego.

Po koncertach dziennikarz Franciszek Walicki przeprowadził wywiad z Mickiem Jaggerem. Zapytał: „Jesteście buntownikami. Dlaczego starsze ▶



▶ 13 kwietnia 1967 roku Stonesi zagraли w Warszawie dwa koncerty z rządu

pokolenie nie rozumie waszych piosenek?”. Na co Jagger odparł: „Nie muszą rozumieć. Mają się nas bać”. Cenzura nigdy nie dopuściła tego wywiadu do publikacji.

Występ za wagon wódki

Na łamach „New Musical Express” swoje podsumowanie wycieczki za żelazną kurtynę opublikował także Leslie Perrin, pełniący funkcję rzecznika prasowego zespołu. Pisał on o podrobionych biletach, niewielkiej liczbie wejściówek w wolnej sprzedaży i brutalności sił porządkowych. Dodał, że ze względu na politykę władz muzyki postanowili rozdać w Warszawie egzemplarze swojej ostatniej płyty: „Muzycy mieli ze sobą około stu swoich najnowszych singli, które przyleciały prosto z Londynu, i dali je osobom czekającym przed Salą Kongresową, które nie miały szans, aby zobaczyć któryś z występów”. Perrin podkreślił także zaskoczenie postawą Polskiej Agencji Prasowej, która w swojej relacji nie opisała autentycznych wydarzeń, które miały miejsce pod PKiN: „W komunikacie opublikowanym przez PAP po koncertach nie zamieszczono ani słowa na temat zamieszek. Jednakże zawierał on komentarz następującej treści: Jeden z najpopularniejszych zespołów

muzycznych The Rolling Stones wystąpił dwukrotnie w Warszawie”.

Jednocześnie Perrin opisał kulminacyjny punkt każdego ze spektakli: „Mick Jagger doprowadził publiczność do szachu w trakcie *Satisfaction*. Widzowie klaskali w rytm muzyki, skakali, wymachiwali ponad głowami swetrami i marynarkami, wręcz płakali z wielkich emocji i krzyczeli, krzyczeli i jeszcze raz krzyczeli! Ponadto zaintrygowało ich brzmienie gitary, na której grał Brian Jones”. W „New Musical Express” znalazła się również pełna oburzenia wzmianka na temat milicjantów obecnych na sali.

Za występy w Polsce muzycy otrzymali honorarium w wysokości 600 tys. zł. Tak przynajmniej twierdzi Marek Karewicz. Zgodnie z rocznikiem statystycznym z 1967 roku, bochenek chleba kosztował 3,5 zł, za kilogram kiełbasy myśliwskiej (o ile akurat można było ją znaleźć na sklepowych półkach) liczone sobie średnio 100 zł, a pół litra wyborowej kosztowało 48 zł. Ze względu na brak możliwości wymiany waluty muzycy mieli poprosić szefostwo PAGART-u, aby za całą kwotę zakupiło wódkę wyborową, w której Stone si rozsmakowali się w trakcie wizyty w „Kamieniołomach”, i wysłało ją do Anglii. Według Karewicza przedstawiciele PAGART-u dokonali zakupu w Polmosie i wysłali wagon kolejowy pełen alkoholu prosto do Londynu. Tam

jednak okazało się, że na toczących boje z wymiarem sprawiedliwości muzyków narzucono konieczność wniesienia najwyższej opłaty celnej. Nie zdecydowali się oni zapłacić stawki, dlatego wagon miał wrócić do Polski. Karewicz wspomina, że przez dwa kolejne lata zapraszano go do PAGART-u na „rolingstonkę”. Pracownik agencji Adam Sowiński, który zatrudnił się w niej trzy lata po koncertach, twierdzi, że była to legenda: „Tak samo jak plotka, że Aznavourowi zapłaciliśmy za koncert futrami”.

Dla gromadzącej się na występach The Rolling Stones młodzieży brytyjscy muzyki byli symbolem wolności, buntu wobec bigoterii oraz kontestacji ładu społecznego i establishmentu. Te same cechy Stonesi uosabiali w oczach młodych Polaków, którzy przybyli na ich dwa koncerty w Warszawie. Prasa polska w relacjach po występach przyjęła oszczerzy ton, nie zostawiając suchej nitki na „chuliganach” zebranych pod PKiN. Nie było potrzeby, aby specjalnie piętnować muzyków, reprezentujących przecież kulturę „zgnitego Zachodu” – wystarczył celnie wymierzony atak na przedstawicieli młodego pokolenia. Atakowane środowiska stanowiły grupę liczącą nie więcej niż kilka tysięcy osób, pochodzących głównie z Warszawy. Byli to ludzie pod wieloma względami uprzywilejowani, których działania nie byłyby możliwe bez odpowiedniego zaplecza materialnego, mieszkaniowego i intelektualnego. Zafascynowani nowymi prądami kulturalnymi Europy Zachodniej, próbowali rozpowszechnić je na krajowym gruncie. Byli pionierami wartości, poglądów i zachowań wpisanych w czasy rewolucji seksualnej.

Bez względu na stanowisko prezentowane przez władze, dwa koncerty The Rolling Stones za żelazną kurtyną w kwietniu 1967 roku były długo oczekiwanym powiewem wolności. Pokazały, jak niewiele ma do zaoferowania młodemu pokoleniu system komunistyczny i oficjalna ideologia. 🇵🇱

Łukasz Czepulkowski – historyk, zajmuje się historią kultury drugiej połowy XX wieku

► Atmosfera na widowni podczas koncertów brytyjskich rockmanów odbiegała od tego, co do tej pory widziały mury Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina



► Banery propagandowe na pl. Defilad przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie ustawione z okazji święta „Trybuny Ludu”, 1975 rok

Fot.: Grażyna Rutowska/NAC



„Gierek do dymisji, Wojtyła królem Polski”

Daniel Wicenty

Polscy komuniści oddali władzę papieżowi – taką sensację ogłosiła w czerwcu 1979 roku fałszywa „Trybuna Ludu”.

Kończyła się pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski. Komunistyczne władze w pocie czoła minimalizowały społeczny i polityczny wymiar papieskiej wizyty, zaprzęgając do tego „Trybunę Ludu” i inne środki masowego przekazu.

I tak sobotnio-niedzielny organ Komitetu Centralnego PZPR z 9–10 czerwca 1979 roku informował przede wszystkim o gospodarskiej wizycie tow. Ed-

warda Gierka w województwie siedleckim, aktualnej sytuacji w rolnictwie i przemyśle, nowej turbinie o mocy 360 MW dla elektrowni w Belchatowie i posiedzeniach komisji sejmowych oraz plenach różnych komitetów wojewódzkich PZPR.

Owszem, znalazła się też w partyjnej gazecie relacja Polskiej Agencji Prasowej z pielgrzymki, lecz rzecz jasna – była odpowiednio zwięzła. Przytoczono w niej słowa Jana Pawła II poświęcone pięknu Tatr, pracy na roli oraz umiłowaniu ziemi, ale zaraz obok publicysta Zygmunt Broniarek snuł dywagacje o niebezpieczeństwach konsumeryzmu wśród skandyńskich dzieci, Jolanta Makowska zaś przekonywała, że dzieci nie powinny

deptać trawy, łamać gałęzi i źle odnosić się do zwierząt. „Trybuna Ludu” świętowała także 35. rocznicę PRL.

W tym dniu nie była to jedyna „Trybuna Ludu”. Niektórzy czytelnicy mogli się natknąć na wydanie „specjalne”, a w nim – przecierając oczy ze zdumienia – przeczytać pod logiem redakcji następującą wiadomość: PIERWSZY SEKRETARZ KOMITETU CENTRALNEGO POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ TOW. EDWARD GIEREK PODAŁ SIĘ DO DYMISJI. ROZWIĄZANY PZPR. KAROL WOJTYŁA NA TRONIE POLSKIM.

Na pierwszej stronie dominował *Komunikat Edwarda Gierka*: „Od 9 lat większość naszych kadr partyjnych ►

cierpi na katar, którego nabawiła się na Wybrzeżu. Ja sam, po początkowym bólu gardła, który mnie szczególnie nie zaniepokoił, zostałem przez ten katar zaatakowany i wielokrotnie musiałem już położyć się do łóżka. Często zdarzało mi się przychodzić na zebrania partyjne w stanie pożałowania godnym, kichając, z opuchniętą głową, z opuch-

niętą twarzą, z zaczerwienionymi oczami, owinięty w szaliki i w zbyt ciężkim płaszczu. Oprócz mnie wielu innych towarzyszy padło ofiarą tej samej choroby. Wśród nich wymienię biednego [Piotra] Jaroszewicza, który później, jak wiemy, nas opuścił. Jaroszewicz naprawdę nie miał się zbyt dobrze. [Edward] Babiuch z kolei miał dokuczliwą ranę w nosie, która powodowała ustawiczne krwawienie z nozdrzy i z tego powodu zostawał on na wszystkich aktach ślady

krwi i płwocin. [Jan] Szydłak starał się, jak mógł, powstrzymać od kaszlu, kładąc się w dło- nie, ale w rezultacie wybuchł takimi atakami, że wstrząsał zebranymi jak batalion piechoty. Najbardziej nieszczęśliwy był [Mieczysław] Mozar. Biedaczek, prze-

ziębienie jego uległo takiemu zaost- rzeniu, że przeszło w zapalenie płuc [...]. [Józef] Kępa przebywał więcej w łóżku niż w biurze [...]. Zwracaliśmy się o pomoc do Związku Radzieckiego i słuchaliśmy jego wskazówek co do najbardziej drobnych spraw. I cóż z tego! Przywódcy radzieccy pogorszyli tylko naszą sytuację swoimi radami. [...] Wobec tej sytuacji powiedziałem sobie: Edward, zostaw swoje stanowisko, rozwiąż PZPR, idź do szynku i ogrzej się ćwiartką wódki. I tak uczyniłem”.

Dalej tow. Gierek obwieszczał jako- by: „Jest organizacja, Kościół, która ma dłuższą niż PZPR tradycję centralizmu demokratycznego. Dlaczego nie obdarzyć go zaufaniem? Dlaczego nie przysiąc posłuszeństwa? [...] Mam nadzieję, że towarzysze za granicą zrozumieją szczególność polskiej drogi do komunizmu chrześcijańskiego i poprą nas, tzn. poprą Wojtyłę. [...] W takim razie lepiej nazywać rzeczy po imieniu, jak czynimy to my, marksiści-leniniści wierni zasadom socjalizmu naukowego. Nie partia, lecz Kościół. Nie sekretariat generalny, lecz tron. Nie demokracja, a dyktatura”.

Z *Informacji własnej* „Trybuny” można się było dowiedzieć: „W swym pierwszym przemówieniu król Karol Pierwszy powiedział, że uważa się tylko za regenta Królestwa Polski, którego korona należy się samemu Panu Bogu. Jak wiadomo, historia Polski jest najlepszym dowodem na to, że Bóg jest Polakiem. Karol I stwierdził też, że zachowa stanowisko papieża, ponieważ bawi go ono, i ponieważ nigdy nie można mieć dosyć władzy”. Artykuł PAP donosił o sensacyjnym odkryciu, że minister spraw wewnętrznych okazał się robotem (produkcji sowieckiej). Na drugiej stronie znalazły się kolejne groteskowe artykuły dotyczące nowej sytuacji politycznej w Polsce: „Założona Polska Zjednoczona Partia Chrześcijańsko-Robotnicza”, „Cenzorzy wysłani zostali na emeryturę” oraz doniesienia z zagranicy: „Kazimierz Mijal z Tirany: Wybór Wojtyły na króla Polski zdradą klasy robotniczej”, „Polska zacho-

► Egzemplarze fałszywej „Trybuny Ludu” w wersji po polsku i po włosku



wa dobrosąsiedzkie stosunki z ZSRR. Żąda się zwrotu tylko Lwowa i Wilna”, „Arcybiskup Canterbury maszeruje na pałac Buckingham”.

Dziwnym artykułom towarzyszyły dziwne zdjęcia: jedno – podpisane „Karol I po koronacji udaje się na zamek” – pokazywało Jana Pawła II w koronie, drugie – tow. Leonida Breżniewa w papieskiej sutannie i było opatrzone podpisem: „Breżniew próbuje naśladować Wojtyłę”.

Na pierwszy rzut oka gazeta wyglądała jak prawdziwa „Trybuna Ludu”. Pod hasłem „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” powiewał czerwony sztandar. Jednak dwie strony wydrukowano w języku polskim, dwie zaś – we włoskim.

Żarty w fałszywce „Trybuny Ludu” nie były najwyższego lotu, ale i tak komunistyczne władze uznały je za groźny przypadek „wrogiej propagandy”. Falsyfikat dotyczył przecież centralnego organu prasowego partii, dziennika o nakładzie sięgającym 1,5 miliona egzemplarzy; gazety, która nadawała

ton innym czasopismom, będąc zawsze na pierwszej linii komunistycznej propagandy, manipulacji i przemilczania. Podrobiony dziennik pokazywał, jak absurdalna jest nowomowa i propaganda władz.

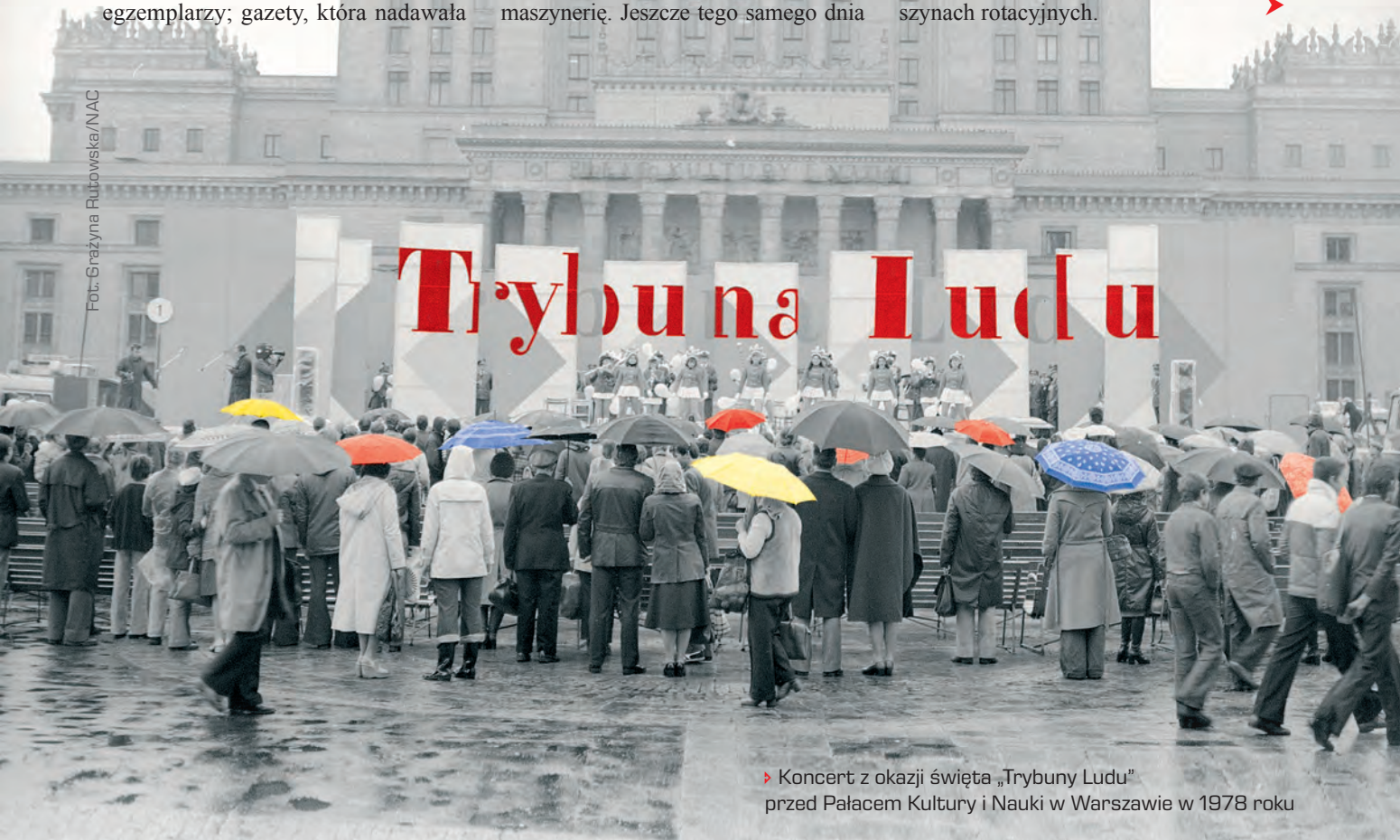
Fałszywkę pierwsza wykryła krakowska bezpieka. Pułkownik Jan Bill, ówczesny naczelnik krakowskiego Wydziału III, w szyfrogramie do centrali Departamentu III MSW donosił: „W dniu 12.06.79 r. o godz. 7.20 pracownica szaleatów w Sukiennicach zgłosiła dyżurnemu KW MO w Krakowie o fakcie naklejenia na filarze Sukiennic, od strony ul. Szewskiej, gazety o wrogiej treści. Na miejsce skierowano funkcjonariuszy MO, którzy zdjęli naklejoną taśmą klejącą jedną kartę dwustronnie drukowaną gazety zatytułowanej «Trybuna Ludu». Stwarza ona wrażenie oryginalnie drukowanej «Trybuny Ludu», ukazującej się w kioskach Ruchu. [...] Przedmiotowa gazeta zawiera wrogie artykuły”.

Szybko wprawiono w ruch esbecką maszynę. Jeszcze tego samego dnia

krakowscy funkcjonariusze założyli sprawę kontrolno-operacyjną o kryptonimie „Gazeta”. Już o 10.15 rozesłano szyfrogramy do wszystkich naczelników Wydziałów III w kraju z prośbą o monitorowanie kolportażu fałszywki. Okazało się, że kolejne egzemplarze znalazły się też w Warszawie. Stołeczni esbecy namierzyli kilka sztuk w kościele św. Aleksandra przy pl. Trzech Krzyży. Także 12 czerwca jeden z funkcjonariuszy SB poinformował, że ok. 19.00 zauważono naklejoną na ścianie fałszywkę w damskiej toalecie hotelu „Grand”. W sprawę musieli więc zaangażować się również warszawscy esbecy.

Już 12 czerwca falsyfikat był analizowany w Wydziale Badań Dokumentów Zakładu Kryminalistyki KG MO. Ustalono, że ślady cięcia papieru nie są zgodne z cięciami w prawdziwej „Trybunie Ludu”; także wymiar papieru i winieta są trochę inne. Inny był skład papieru. Fałszywkę wyprodukowano techniką offsetową, a nie – jak w przypadku prawdziwej „Trybuny” – na maszynach rotacyjnych. ▶

Fot.: Grażyna Rubowska/NAC



▶ Koncert z okazji święta „Trybuny Ludu” przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie w 1978 roku

Krakowska esbecja ustaliła, że fałszywka nie była drukowana w Krakowie. Odnaleziono również kolejny egzemplarz – donosiciel SB wskazał na kwiaciarkę na krakowskim Rynku, która owinęła falsyfikatem sprzedawane kwiaty. Rozpoczęto przesłuchania, wiadomo było bowiem, że w obiegu pozostają jeszcze inne fałszywki. Jedna z nich miała być zniszczona przez żonę przesłuchiwanego świadka „w poczuciu zagrożenia przed zainteresowaniem się tą sprawą przez organa MO”.

Służba Bezpieczeństwa początkowo podejrzewała, że fałszywka mogła być przygotowana na terenie Republiki Federalnej Niemiec przez „kręgi rewizjonistycznych ziomkostw RFN”. Ale już kilka dni później wyjaśniono także tę kwestię. Rezydentura wywiadu PRL w Rzymie doniosła, że 19 czerwca odbyła się konferencja prasowa z udziałem autorów i kolporterów fałszywki. Było to czterech dziennikarzy: dwóch Włochów (Mario Galli i Adriano Sofri), akredytowanych w Polsce w związku z pielgrzymką Jana Pawła II do ojczyzny, i dwóch Austriaków. Ludzie ci dwoma samochodami mieli przemyścić do Polski około pięciu tysięcy egzemplarzy sfalszowanej „Trybuny Ludu”. Kolejny element układanki napłynął z Włoch 21 czerwca: włoskie pismo „L'Europeo” zamieściło fotografię falsyfikatu, podając informację, że wśród pomysłodawców akcji był Vincenzo Sparagna z satyrycznego tygodnika „Il Male”.

Krakowska i warszawska SB zaczęły sprawdzać nazwiska Włochów i Austriaków pośród gości hotelowych. Ustalono, że Vincenzo Sparagna był zameldowany 10–12 czerwca w krakowskim hotelu „Pod Żółtą Kotwicą”. Tożsamość Austriaków nigdy nie została wyjaśniona.

Całościowej rekonstrukcji akcji kolportażu dokonał Departament I. Fałszywki wydrukowała redakcja „Il Male”. Przywiózł je do Polski m.in. Sergio Angeletti, rysownik i dziennikarz rewolucyjno-lewicowego dziennika „Paese Sera”, razem z kolegą z redakcji. Włosi rozrzućili 9 czerwca około dwustu eg-

zemplarzy w wioskach na trasie z Chyżnego do Krakowa, tyle samo następnego dnia o 8.30 zostawili na Rynku krakowskim, a kolejne dwieście sztuk po południu tego samego dnia w Kielcach. Niezidentyfikowani Austriacy prawdopodobnie 9 i 10 czerwca rozrzućili fałszywki w Bielsku, Katowicach, Częstochowie, Wrocławiu i Poznaniu. Obie grupy spotkały się 11 czerwca rano. Następnego dnia Włosi wywiesili fałszywkę w warszawskim kościele św. Aleksandra i rozrzućili ją w okolicy Pałacu Kultury i Nauki. 13 czerwca rozrzućili ją w Gdańsku, a 13 lub 14 czerwca opuścili Polskę promem do Finlandii.

Fałszywkę wydrukowano na linotypie, bez polskich czcionek; polskie znaki dorysowano na matrycy ręcznie i w niedbały sposób. Jak ustalono, fałszywki odnalezione w Krakowie i Warszawie wydrukowano w tym samym miejscu. Ponad tydzień później, 24 czerwca, podczas kontroli granicznej polskiej wycieczki turystycznej wracającej z Włoch kontrola bagażu Henryka Frelicha wykazała, że posiada on jeden egzemplarz fałszywej „Trybuny Ludu”. Zadenuncjował go kierowca autobusu, prawdopodobnie współpracownik stołecznej kontrwywiadu SB. Frelich, wezwany kilka dni później przez stołeczną milicję, wyjaśnił, że falsyfikat kupił w Wenecji w ulicznym kiosku za 250 lirów. „Wyjaśnił on także, że egzemplarze te kupowali inni uczestnicy wycieczki, których nazwisk nie zna. Jednak na punkcie kontroli granicznej, gdy u niego zakwestionowano tę gazetę, inni uczestnicy wycieczki mieli pozbywać się swoich egzemplarzy poprzez wyrzucenie ich w toalecie. Frelich twierdzi, że chciał tę gazetę przekazać sekretarzowi POP w swoim miejscu pracy”.

Wątek krakowski sprawy o kryptonimie „Gazeta” zamknięto w sierpniu 1979 roku, warszawski – prawdopodobnie w październiku. Esbecy nie zdołali jednoznacznie określić, kto i w jaki sposób dokonał kolportażu fałszywek. Pozostały wątpliwości dotyczące liczby przemyconych egzemplarzy (przypomnijmy: początkowa informacja

mówiła o pięciu tysiącach, późniejsza – o kilkuset). Czy rutynowe kontrole graniczne samochodów osobowych mogły przeoczyć kilka tysięcy placht „Trybuny Ludu”? Czy kilka tysięcy falsyfikatów mogło się „rozpląnąć” bez śladu?

Historia sfalszowanej „Trybuny Ludu” zaczęła żyć własnym życiem. Sprawą zainteresowały się Radio Wolna Europa, gazety polonijne, włoska i zachodniemiecka opinia publiczna. Swoistym paradoksem było to, że fałszywe wydanie „Trybuny Ludu” zostało przygotowane przez dziennikarzy o wyraźnie lewackim światopoglądzie. Tygodnik „Il Male” znany był nie tylko z fabrykowania innych gazet, ale i z antyklerykalizmu. Sam Vincenzo Sparagna, współzałożyciel „Il Male”, a później innego znanego włoskiego pisma satyrycznego „Frigidaire”, określał się jako „zawodowy rewolucjonista”.

Sprawa fałszywki nieoczekiwanie odżyła po roku. 7 lipca 1980 roku niejaki tow. Ginko z Moskwy wysłał pismo do gen. Adama Krzysztoporskiego, ówczesnego szefa Departamentu III MSW, z prośbą o pomoc w niecodziennej sprawie. Radio BBC podało, że grupa włoskich dziennikarzy zamierza kolportować fałszywkę „Prawdy” w czasie trwania igrzysk olimpijskich w Moskwie. Ginko pisał: „Prosimy o informację, czy rzeczywiście miała miejsce wspomniana akcja [kolportowanie fałszywki „Trybuny Ludu”], a także o dane o osobach uczestniczących w niej, o sposobach dostarczenia gazety, sposobach i miejscach jej upowszechnienia”. Towarzysze polscy sporządzili więc obszerną notatkę dla towarzyszy sowieckich. Nie zapobiegło to zresztą późniejszemu kolportażowi fałszywki „Prawdy” w okupowanym przez Armię Radziecką Kabulu. ■



dr Daniel Wicenty – socjolog, pracownik OBEP IPN w Gdańsku, członek kolegium redakcyjnego „Pamięci.pl”, ostatnio wydał *Złamanie na froncie ideologicznym. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich od Sierpnia '80 do stanu wojennego (2012)*

Kibice, przemytnicy, handlarze

Grzegorz Majchrzak

Na olimpiadę moskiewską latem 1980 roku Polacy wyjeżdżali nie tylko dla emocji sportowych. Dla części naszych rodaków ważniejszy był handel lub dobra zabawa, niekoniecznie związana z widowiskami na arenach olimpijskich. Wszystko to działo się pod czujnym okiem KGB i SB.

► Uroczystość otwarcia XXII Letnich Igrzysk Olimpijskich w Moskwie, 19 lipca 1980 roku

W krajach tzw. demokracji ludowej zmagania sportowe, podobnie jak inne dziedziny aktywności, znajdowały się pod „czujnym okiem” władzy – z jednej strony partii komunistycznej, a z drugiej aparatu bezpieczeństwa. Oczywiście, nie inaczej było – jednej strony sportem zajmował się jeden z wydziałów Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a z drugiej Służba Bezpieczeństwa i – w mniejszym już stopniu – Wojskowa Służba Wewnętrzna. Funkcjonariusze „zabezpieczali” najważniejsze imprezy sportowe w kraju (m.in. międzynarodowe mecze piłkarskie, mistrzostwa Europy i świata w różnych dyscyplinach) i za granicą (przede wszystkim letnie i zimowe igrzyska olimpijskie).

Przy okazji kolejnych olimpiad co najmniej od początku lat siedemdziesiątych SB prowadziła tzw. sprawy obiektywne. W tym celu na igrzyska oprócz sportowców, działaczy, dziennikarzy i kibiców wyjeżdżali również „smutni panowie”, czyli funkcjonariusze tajnych

służb. Ich zadaniem było nadzorowanie pozostałych Polaków.

Kryptonim „Moskwa-80”

Tak też było w przypadku olimpiady moskiewskiej, pierwszej zorganizowanej w państwie „demokracji ludowej”. XXII Letnie Igrzyska Olimpijskie odbyły się w dniach 19 lipca – 3 sierpnia 1980 roku.

Zawody rozgrywano w cieniu sowieckiej agresji (zwanej eufemistycznie interwencją) w Afganistanie, rozpoczętej w grudniu 1979 roku. To właśnie wydarzenia w Afganistanie stały się powodem – lub według niektórych jedynie pretekstem – bojkotu igrzysk w stolicy Związku Radzieckiego. Na taki krok zdecydowało się ponad sześćdziesiąt państw, głównie tzw. kapitalistycznych, ze Stanami Zjednoczonymi na czele. W efekcie w olimpiadzie wzięło udział tylko osiemdziesiąt reprezentacji narodowych.

Warto przypomnieć, że bojkot popierała również część rozsianej po świecie Polonii oraz członkowie opozycji w PRL. Działacze związani z Komitetem Obrony Robotników i Studenckim



► Teczka operacji „Moskwa-80”

Komitetem Solidarności porównywali olimpiadę moskiewską do igrzysk berlińskich w 1936 roku. Zwracali uwagę, że obie imprezy zostały zorganizowane przez państwa totalitarne. Polscy opozycjoniści przygotowali m.in. wymowny plakat z czołgiem z czerwoną gwiazdą, którego lufy układały się w znak pięciu kół olimpijskich, z napisami „Berlin 1936” – u góry oraz „Moskwa 1980” – na dole.

Sportowcy rywalizowali w ponad dwustu konkurencjach z 21 dyscyplin. Przygotowania do zmagania – jak prognozowano jeszcze przed zorganizowaniem bojkotu, nie tylko sportowych, lecz także o wydźwięku politycznym – podjęło również radzieckie KGB oraz „bratnie służby” z innych demoludów. W PRL była to przede wszystkim Służba Bezpieczeństwa, która zaangażowała się w działania na niespotykaną wcześniej i później skalę. W ramach operacji o kryptonimie „Moskwa-80” ►

na czas letnich igrzysk olimpijskich powołano m.in. specjalną grupę operacyjną działającą w stolicy Związku Radzieckiego. Poza tym każdej polskiej wycieczce do „kraju rad” towarzyszyli kadrowi funkcjonariusze resortu spraw wewnętrznych.

Wszystkie osoby starające się o wyjazd tajne służby poddawały „pełnemu rozeznaniu”. Zadbano o odpowiedni dobór kibiców do grup wyjeżdżających do Związku Radzieckiego, nie dopuszczając „do udziału w nich osób niegwarantujących zachowania właściwej postawy ze względów politycznych, natury kryminalnej lub moralnej”. Możliwości wyjazdu pozbawiono łącznie ponad 3650 osób.

Tych zaś, którzy wyjechali, poddano dokładnej inwigilacji. Funkcjonariuszy SB interesowały wypowiedzi wrogie i negatywne wobec socjalizmu, ZSRR i samej olimpiady, przewóz i kolportaż „materiałów antyolimpijskich”, nawiązywanie kontaktów z osobami z państw kapitalistycznych, przypadki niemoralnego i chuligańskiego zachowania, przemytu, handlu czy kradzieży.

Jak wynika z zachowanych materiałów SB, głównymi problemami były nadużywanie alkoholu oraz aktywność handlowa przedsiębiorczych turystów z Polski.

- ▶ Karty z teczką sprawy operacyjnego rozpoznania kryptonim „Plastyk”, dotyczącej kolportowania plakatów porównujących olimpiadę moskiewską z berlińską



Fot. AIPN

- ▶ Plakat przygotowany przez działaczy KOR i SKS, porównujący olimpiady organizowane przez państwa totalitarne – III Rzeszę i ZSRR

„Kibole”

Stosunkowo najmniejszym problemem okazało się niewłaściwe zachowanie Polaków na trybunach obiektów olimpijskich. Takich przypadków odnotowano zaledwie kilka. Przykładowo 20 lipca podczas meczu piłki nożnej ZSRR–Wenezuela, jak zapisał w raporcie jeden z funkcjonariuszy, dwaj turyści z Polski „demonstracyjnie kibicowali” drużynie z Ameryki Południowej oraz „wymachiwali flagą, przeszkadzając innym”. *Notabene* służba porządkowa – mimo próśb osób znajdujących się w pobliżu oraz podejrzeń, że turyści ci znajdują się pod wpływem alkoholu – nie interweniowała. Z kolei tydzień później w trakcie spotkania między Związkiem Radzieckim a Jugosławią jeden z polskich widzów rzucił w kibica z ZSRR... bułką. W tym przypadku służby porząd-

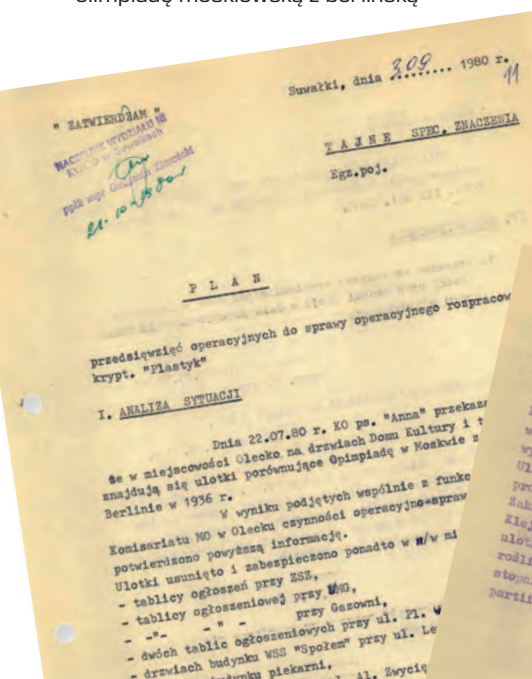
kowe zareagowały, a niesforny „kibol” został zatrzymany. Zwolniono go, dopiero gdy napisał oświadczenie, nieznaanej zresztą treści.

Warto w tym miejscu dodać, że na tle szowinistycznej miejscowej publiczności polscy kibice wypadli bardzo dobrze. A że kibicowali przeciwnikom reprezentacji radzieckiej – nie powinno nikogo dziwić. W końcu wbrew oficjalnie braterskim stosunkom hasło „Lej Ruska” było w Polsce bardzo popularne.

Przemycnicy

Zdecydowanie częściej odnotowywano próby przemytu. Już 15 lipca przy jednym z wyjeżdżających z kraju turystów celnicy polscy znaleźli wydawnictwo pornograficzne – w „purytańskim” socjalizmie zwalczano pornografię, choć raczej była to tylko moralność na pokaz. Dzień później pogranicznicy nie wpuszcili do Związku Radzieckiego polskiego turysty „za usiłowanie wwiezienia towarów wartości ok. 30 tysięcy [złotych – G.M.]”, co odpowiadało blisko półrocznym przeciętnym zarobkom. Tego samego dnia ktoś inny usiłował nielegalnie wywieźć z kraju 62 ruble ponad wyznaczony przepisami limit, a dwaj kolejni Polacy po dwie pary dżinsów oraz bluz sztruksowych. Dwa dni później niejaki Józef N. „naruszył przepisy celno-dewizowe”, próbując przemycić do ZSRR nie tylko cztery pary dżinsów, lecz także 60 rubli. Następnego dnia u innego jadącego na olimpiadę kibica zakwestionowano 30 dolarów amerykańskich i 100 dinarów jugosłowiańskich.

W kolejnych dniach takie przypadki się powtarzały. Najczęściej przemycanym z PRL towarem były dżinsy i sztruksy, które świetnie sprzedawały się u naszego ówczesnego wschodniego sąsiada. Natomiast nielegalnie wywożona z kraju waluta (głównie ruble) służyła do zakupu towarów tańszych w Związku Radzieckim, zwłaszcza wyrobów ze złota. Ze 160 osób, które 24 lipca wyjeżdżały do ZSRR, osiemnaście przewoziło „ponad dozwoloną normę różne towary”.



Fot. AIPN

Przypadki przemytu stwierdzano nawet w starannie przeciw dobranych kierowników grup, którzy mieli pilnować wyjeżdżających z kraju turystów. Przykładowo 18 lipca radzieckie władze celne na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo odkryły u Zygmunta K. 150 niezadeklarowanych rubli. Jak potem tłumaczył, były to pieniądze znajomych przekazane mu na zakup okolicznościowych monet olimpijskich.

Handlarze

Oczywiście celnicy byli w stanie wychwycić jedynie część przemyconych przez przedsiębiorczych Polaków towarów. Nic zatem dziwnego, że wielu naszych rodaków w stolicy Związku Radzieckiego bardziej było zainteresowanych handlem niż przebiegiem zmagania sportowych. Nie zawsze też zresztą brali oni udział w przewidzianych w programie wycieczkach.

Polacy handlowali ze zmiennym szczęściem. 18 lipca zatrzymano Ludwika B. (na szczęście dla niego bez dalszych – przynajmniej tymczasowo – konsekwencji) „przy usiłowaniu handlu z obywatelami radzieckimi”. Jeszcze większego pecha niespełna tydzień później (24 lipca) miały trzy turystki z wycieczki organizowanej przez Almatu. Wwiozły one nielegalnie do ZSRR kożuchy, bluzki i dżinsy. Niestety, trafiły na nieuczciwego taksówkarza, który po prostu uciekł z ich towarem w bagażniku, zanim zdążyły wsiąść do samochodu. Trzy dni wcześniej szczęścia zabrakło również Józefowi A., zatrzymanemu przez radziecką milicję w pobliżu hotelu Wostok podczas próby sprzedania sztruksów.

Trzeba przypomnieć, że handlowano wówczas wszystkim, czym się dało, wykorzystując „braki w zaopatrzeniu” na rynku Związku Radzieckiego. Na przykład 20 lipca odnotowano w grupie Harcuru próby handlu torbami plastikowymi. Wśród naszych rodaków znaleźli się nawet pośrednicy, oferujący mniej obrotnym turystom polskim pomoc w handlu z obywatelami radzieckimi – oczywiście w zamian za udział w zyskach.

W razie wykrycia handlu na większą skalę „zabezpieczający” wycieczkę funkcjonariusze służb starali się interweniować. Zazwyczaj polegało to jedynie na rozmowie wychowawczej przeprowadzanej przez kierownika grupy. Nie odnosiły one raczej większego skutku; mało tego, odnotowywano aroganckie zachowanie turystów wobec kierowników.

Wśród osób zajmujących się nielegalnym handlem znajdowali się również sportowcy. Podczas olimpiady moskiewskiej odnotowano jeden taki przypadek. 22 lipca bokser Zygmunt Gosiewski w Centrum Handlowym Wioski Olimpijskiej „Moskowski Souvenir” nawiązał ponoć kontakty z obywatelami państw kapitalistycznych, którym proponował wymianę rubli na dolary amerykańskie.

Balangowicze

Dla części osób wyjazd do stolicy Związku Radzieckiego był również okazją do imprez alkoholowych. Czasem polscy turyści pili po prostu zbyt dużo, a następnie urządzali burdy, wszczynali awantury itd. Na przykład 16 lipca, jak wynika z danych zebranych przez KGB, Aleksander Sz. miał „używać słów obelżywych” wobec radzieckich celników i obsługi pociągu. Podobnie zresztą zachowywał się także po przybyciu do hotelu w Moskwie.

Libacje w hotelach nie były niczym nadzwyczajnym. Niekiedy Polacy sprządzali na nie przygodnie poznane Rosjanki. Przyzwyczajona do takiego zachowania turystów obsługa hotelowa nie zawsze interweniowała. Czasem jednak gospodarze okazali się mniej tolerancyjni. Moskiewska milicja 22 lipca wylegitymowała jednego z turystów z Koszalina, który wieczorem w restauracji „wszczał pijacką awanturę”. Z kolei 23 lipca innego zatrzymanego w Brześciu za wszczęcie awantury na ulicy trzeba było nawet „odbierać” z posterunku. Cztery dni później milicja odnotowała zatrzymanie kolejnego mocno nietrzeźwego turysty z Polski.

Niekiedy zachowanie Polaków było po prostu skandaliczne. Zdarzały się ▶



▶ Seria okolicznościowych znaczków pocztowych wyemitowanych w ZSRR z okazji Igrzysk Olimpijskich



Fot. PAP

- ▶ Na olimpiadzie w Moskwie wydarzenia sportowe miały często mniejsze znaczenie niż aspekty polityczne czy ekonomiczne; słynny gest Władysława Kozakiewicza (na zdjęciu podczas „złotego” skoku) miał jednocześnie wymiar sportowy i polityczny
- ▶ Karta z teczki sprawy obiektowej „Moskwa-80” z opisem spodziewanych zagrożeń i proponowanych sposobów przeciwdziałania im

przypadki zanieczyszczenia hotelowych pomieszczeń, załatwiania potrzeb fizjologicznych przez okna, o wulgarnym odzywaniu się wobec osób próbujących interweniować (np. obsługi hotelowej) nie wspominając.

Odnotowano też przypadki permanentnego upijania się; niektórzy nasi rodacy nie trzeźwili przez kilka dni. Do jednej z Polek z powodu upojenia alkoholowego dwukrotnie wzywano lekarza. W przypadku innej, która „na skutek nadużycia alkoholu dostała ostrego ataku nerwowego, zaszła konieczność zupełnego obezwładnienia jej”. Z kolei dwóch nietrzeźwych turystów trzeba było usunąć z pokładu z samolotu z Warszawy do Moskwy.

Zupełnie inna sprawa, że ośmieleni alkoholem rodacy pozwalali sobie również na krytykowanie Związku Radzieckiego za złą organizację igrzysk, brak demokracji, warunki życia „pod presją i w strachu” oraz sytuację w Polsce Ludowej. Takie przypadki funkcjonariusze SB odnotowywali ze szczególną starannością.

Inne incydenty

Oczywiście zdarzały się również inne negatywne incydenty z udziałem Polaków. Należały do nich kontakty z obywatelami innych państw, szczególnie kapitalistycznych, przypadki odalenia się od grupy (np. 17 lipca po kolacji turystka z Polski „pojechała bez uprzedzenia do miasta i nie powróciła na noc do hotelu”), niewłaściwego (chamskiego i ordynarnego) zachowania czy utraty dokumentów. Jeden z Polaków z powodu pobicia trafił nawet do szpitala w Rostowie nad Donem. Odnotowano też próby wejścia na teren obiektów sportowych bez biletu czy „przejawy religianctwa”. Do tych ostatnich zaliczono uczestnictwo w nabożeństwie w jednej z moskiewskich świątyń i kontakty ze współwyznawcami (w tym przypadku świadkami Jehowy).

Wrogie komentarze polityczne

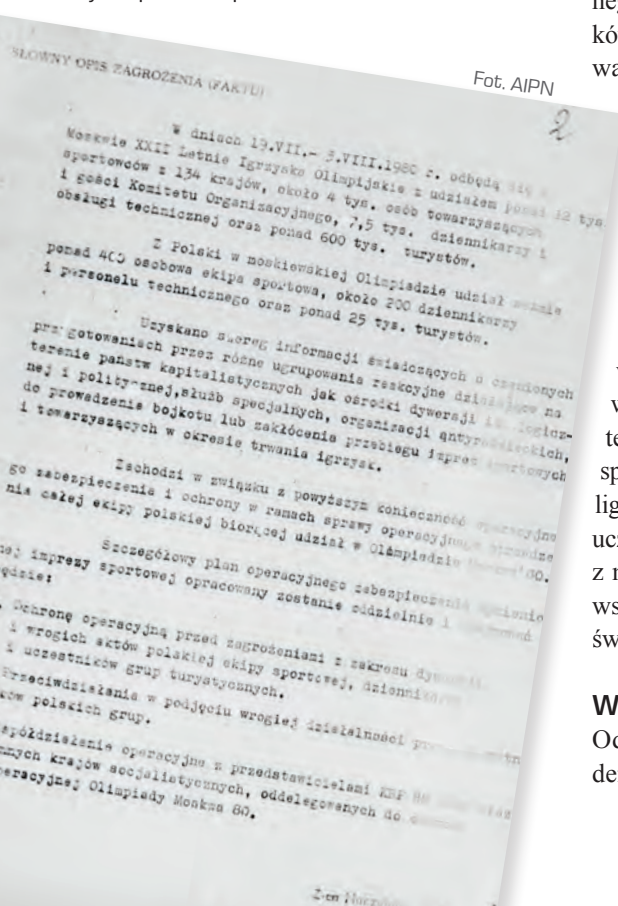
Oddzielnym problemem były incydenty o charakterze politycznym. Na

przykład 17 lipca były sekretarz podstawowej organizacji partyjnej, członek egzekutywy Antoni S. „krytykował politykę wewnętrzną PRL, sytuację gospodarczą”. Twierdził, że następuje „nadmierny rozwój sił bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej”, oraz „rozpowszechniał informacje o strajku w Ursusie”. Z kolei niespełna tydzień później dwaj Polacy prowadzili „dyskusje zawierające negatywne treści polityczne”. Radzieckiej pilotce powiedzieli m.in., że „jak przyjedzie do Wilna papież [Jan Paweł II – G.M.], to może zostanie ono włączone do Polski”. Ponadto negatywnie wyrażali się o sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej w PRL. Takich przypadków było zresztą więcej. „Wypowiedzi o negatywnym wydźwięku politycznym” odnotowano 18 lipca w jednej z grup – „do przewodzących w tym zakresie” zaliczono tym razem trzy kobiety.

Oczywiście, incydenty te miały swój dalszy ciąg. Z częścią osób przeprowadzono rozmowy jeszcze w Związku Radzieckim, z innymi zapewne dopiero po powrocie do kraju. Niektórzy trafili na „czarną listę”, tracąc w ten sposób szansę na ponowny wyjazd zagraniczny.

Od tego czasu wiele się zmieniło – nie ma już Związku Radzieckiego, Służby Bezpieczeństwa czy sowieckiego KGB... W 2014 roku w Soczi odbędą się kolejne igrzyska olimpijskie u naszego wschodniego sąsiada – tym razem zimowe – i zapewne nie zabraknie na nich kibiców z Polski. Tym razem nasi rodacy wyjadą jednak nie w celach zarobkowych, lecz aby dopingować Justynę Kowalczyk czy Kamila Stocha. Jedno zapewne się nie zmieni: rosyjscy sportowcy na doping Polaków raczej nie będą mogli liczyć. ❄

Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, członek Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności” i Stowarzyszenia Wolnego Słowa; zajmuje się badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej, funkcjonowaniem mediów w PRL oraz stanem wojennym; współautor tomu *Nieczysta gra. Tajne służby a piłka nożna* (2012)



Fot. AIPN

Życie szpiega w obrazach.

Fotograficzna historia agenta CIA w Polsce

Patryk Pleskot

Chociaż komunistyczna propaganda często poruszała wątek obcych szpiegów działających w Polsce, peerelowskie służby specjalne miały dużo kłopotów, by takich agentów odnaleźć. Aresztowania zdarzały się rzadko. Być może dlatego takie wydarzenia trafiały do annałów SB.

Należy pamiętać, że złapanie szpiega na gorącym uczynku powinno stanowić tylko początek bardziej misternej gry, której idealnym celem byłoby pozyskanie ofiary dla własnych celów i rozpoczęcie skomplikowanych kombinacji operacyjnych nastawionych na rozpoznanie i dezinformację przeciwnika. Samo zdemaskowanie i „zwinienie” agenta – efektowne i atrakcyjne do wykorzystania przez propagandę – było w istocie przyznaniem się (do pewnego stopnia) do rezygnacji z bardziej ambitnych celów. Niezbyt zatem dobrze o jakości polskiego kontrwywiadu ➤

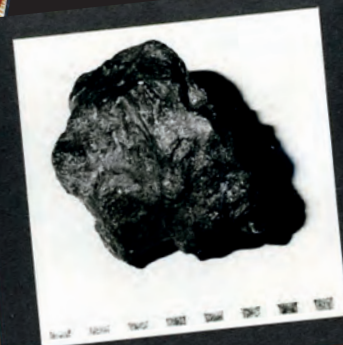
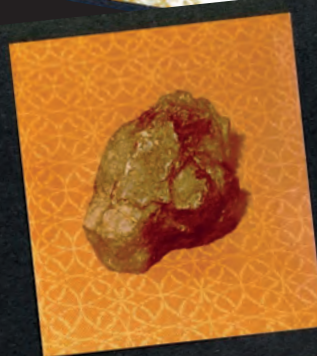


➤ Zenon Celegrat



➤ Aktówka wraz z zawartością z widocznym pojemnikiem, w którym Celegrat odebrał materiały szpiegowskie

➤ Skrytka w formie kamienia, w której wywiad USA przekazał Celegratowi instrukcje szpiegowskie, dwa pudełka filmów do aparatu fotograficznego Minox, 500 dolarów USA i 1900 marek RFN





Sposób ukrycia miniaturowego aparatu fotograficznego i światłomierza. Jeden film wystarczył do wykonania około 100 zdjęć.



Materiały szpiegowskie, które Z. Celegrat przechowywał poza miejscem pracy i zamieszkania. W lesie koło Leszna, pod słupem energetycznym zakopał stołk, gdzie ukrył: 8 książeczek sztyrowych, tabliczkę celuloidową do odczytywania sztyrow, tabletki do sporządzania wywoławcza tajnopisów.



Miejsce ukrycia stołka i sposób zabezpieczenia.



Fot. ALPN

świadczył fakt, że takie przypadki nagłaśniano w środowisku, a doprowadzenie do aresztowania szpiega uznawano za wzorowe.

Do takich w sumie ambiwalentnych sukcesów Departamentu II MSW (czyli kontrwywiadu) można zaliczyć sprawę Zenona Celegrata. Ten powiązany z ludowym Wojskiem Polskim starszy sierżant został w 1978 roku zatrzymany w Warszawie, w momencie kiedy obsługiwał tzw. martwą skrzynkę zamaskowaną w formie kamienia umieszczonego między murem mleczarni a dużym drzewem przy ul. Orkana. Martwą skrzynką nazywano środek komunikacji między agentem a centralą wywiadowczą, miejsce lub przedmiot, za którego pomocą przekazywano informacje, materiały szpiegowskie, wytyczne itp. W ujawnionej skrytce znajdowało się wynagrodzenie i instrukcje szpiegowskie. Okazało się, że Celegrat współpracował z Noyesem Athertonem, II sekretarzem ds. politycznych ambasady USA, który według SB miał należeć do rezydentury wywiadowczej CIA operującej w amerykańskiej ambasadzie w Warszawie.

Nieco ponadczterdziestoletni Zenon Celegrat został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa. Zachowane materiały sugerują, że przekazywał on przede wszystkim informacje dotyczące funkcjonowania Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Wietnamie w połowie lat siedemdziesiątych. Instytucję tę powołano w 1973 roku do sprawowania kontroli nad przestrzeganiem rozejmu na całym obszarze Wietnamu Południowego oraz nad operacją wycofywania wojsk

► Obok i na następnej stronie: karty z albumu szkoleniowego przygotowanego przez Służbę Bezpieczeństwa

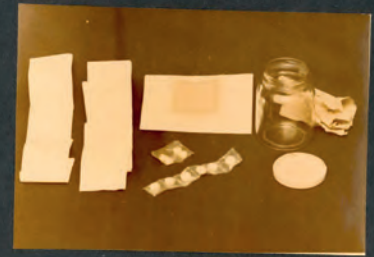
USA z tych terenów. W jej skład wchodziły Polska, Węgry, Indonezja i Kanada (którą następnie zastąpił Iran). Po opanowaniu w 1975 roku przez komunistycznych partyzantów z Wietkongu całego terytorium wietnamskiego zakończyła swoją działalność. Polska delegatura w Wietnamie została jednak rozwiązana dopiero w 1976 roku.

Po powrocie do kraju Celegrat był nadal wykorzystywany przez wywiad amerykański do zbierania danych o charakterze wojskowym, głównie na temat obiektów wojskowych i strategicznych (np. jednostki wojskowej w Lesznie). Wyrokiem Sądu Wojskowego Wojsk Lotniczych w Poznaniu Celegrat został skazany na karę 25 lat pozbawienia wolności.

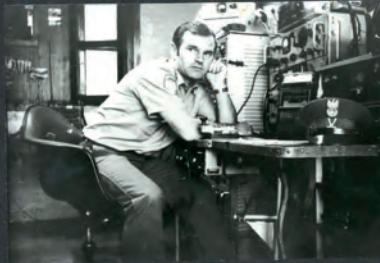
O wadze, jaką przywiązywano do tej sprawy, świadczy fakt, że niedługo później SB wydała – oczywiście wyłącznie do użytku wewnętrznego – specjalny album zdjęciowy, dokumentujący historię i zatrzymanie Celegrata. Prawdopodobnie materiał ten wykorzystywano na kursach dokształcających dla oficerów operacyjnych, prowadzonych m.in. w Wyższej Szkole Oficerskiej im. Feliksa Dzierżyńskiego w Legionowie.

Zaprezentowane fotografie pochodzą z albumu stworzonego przez SB. Co prawda w istocie chyba więcej mówią one o samych funkcjonariuszach SB niż amerykańskich agentach w Polsce, niemniej pozwalają choć w niewielkim stopniu przeniknąć do środowiska tych drugich, zorientować się w metodach ich pracy i dotknąć gadżetów szpiegowskich. W jak dużym stopniu obraz ten różni się od naszych wyobrażeń o zawodzie szpiega, kształtowanych często przez filmy i powieści? ■

dr Patryk Pleskot – historyk, pracownik OBEP IPN w Warszawie; zajmuje się m.in. międzynarodowym kontekstem epoki Solidarności oraz działalnością służb kontrwywiadowczych; autor kilkunastu książek



Stoik wraz z zawartością.



Fotografia Zenona Celegrata z okresu pełnienia służby w Wietnamie.



Zdjęcia wykonane przez Z. Celegrata członkom Misji, które już w Wietnamie przekazywał pracownikowi wywiadu USA wraz z obrotową charakterystyką tych osób.

Nie pozostał żaden ślad

Anna Pyżewska

Mnóstwo wyplakanych łez, wieloletnie poszukiwania, rozsyłanie listów, wypytywanie, dobijanie się do urzędów, biur, instytucji, czepianie się nadziei mimo wszystko... I nic. Latem 1945 roku zaginął słuch o prawie sześciuset mieszkańcach Suwalszczyzny. Choć dzisiaj nie ma wątpliwości, że wszyscy zostali zgładzeni, wciąż nie znamy odpowiedzi na wiele pytań.

W lipcu minęła 67. rocznica „małego Katynia”. Obława augustowska – bo o niej mowa – była największą sowiecką zbrodnią popełnioną na Polakach po zakończeniu w Europie II wojny światowej. I właśnie dlatego budzi przerażenie: doszło do niej w lipcu 1945 roku, kiedy Europejczycy jeszcze świętowali zakończenie najkrwawszej w dziejach wojny.

Dwie okupacje

W końcu września 1939 roku sąsiadujące ze sobą powiaty augustowski i suwalski rozdzieliła granica niemiecko-sowiecka. Pierwsze struktury konspiracyjne zaczęły powstawać na jesieni 1939 roku. Działalność polskie-

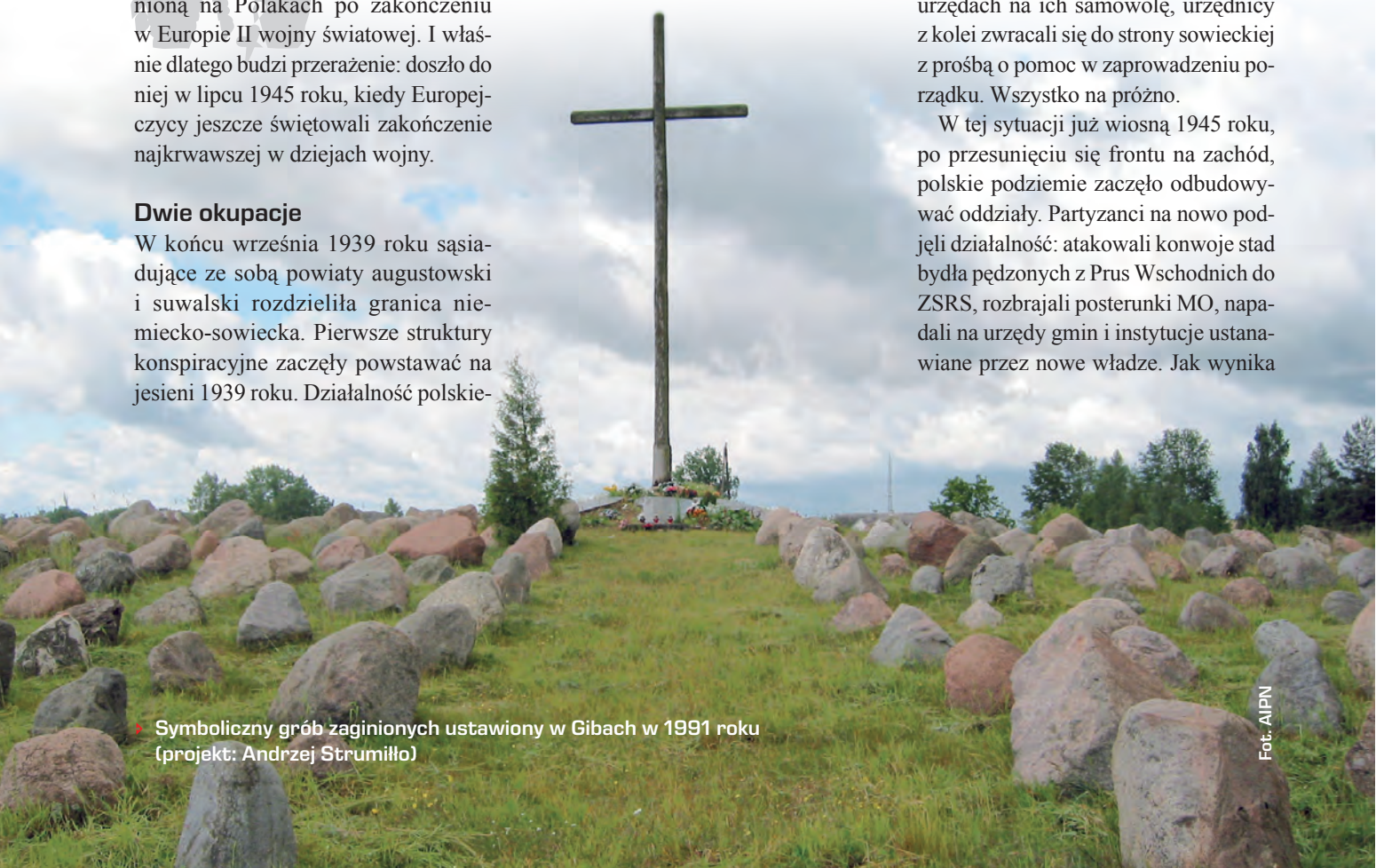
go podziemia pod obiema okupacjami nieco się różniła, ale po wybuchu w 1941 roku wojny niemiecko-sowieckiej i rozciągnięciu okupacji niemieckiej na powiat augustowski struktury konspiracji ujednociono. Początkowo priorytetem była działalność wywiadowcza i propagandowa, z czasem rozpoczęto także akcje dywersyjno-sabotażowe, m.in. likwidując agentów i funkcjonariuszy aparatu okupacyjnego oraz rozbrajając posterunki żandarmerii. Dlatego 21 czerwca 1943 roku Niemcy uznali Okręg Białostocki (Bezirk Białystok) za obszar walki z „bandami”.

W końcu kwietnia 1944 roku na teren Puszczy Augustowskiej przybyła sowiecka grupa desantowa NKGB pod dowództwem mjr. Konstantego Cwientyńskiego „Orłowa”, która szybko nawiązała kontakt z lokalnymi strukturami AK. Polscy i sowieccy partyzanci

podjęli wspólne działania przeciwko Niemcom. Współpraca trwała do nadejścia Armii Czerwonej latem 1944 roku. Odwrót wojsk niemieckich oraz akcja „Burza” przyniosły zmianę układu sił: wojska niemieckie zostały wyparte, ale Sowietci zaczęli wprowadzać nowy porządek. Rozbrajano oddziały AK, aresztowano dowódców, wcielano żołnierzy do armii Berlinga. Oporni byli wywożeni do ZSRS. Ukrywających się żołnierzy tropiły sowieckie służby specjalne – Smiersz i NKWD. Sytuację pogarszał fakt, że Sowietci nieźle rozpracowali struktury konspiracyjne na tamym terenie – przyczyniła się do tego wspomniana współpraca polskiego podziemia i sowieckiej partyzantki.

W powszechnym odczuciu okupacja sowiecka zastąpiła niemiecką. Żołnierze Armii Czerwonej i funkcjonariusze NKWD często dopuszczali się kradzieży, gwałtów, podpaleń, a nawet zabójstw. Mieszkańcy skarżyli się w lokalnych urzędach na ich samowolę, urzędnicy z kolei zwracali się do strony sowieckiej z prośbą o pomoc w zaprowadzeniu porządku. Wszystko na próżno.

W tej sytuacji już wiosną 1945 roku, po przesunięciu się frontu na zachód, polskie podziemie zaczęło odbudowywać oddziały. Partyzanci na nowo podjęli działalność: atakowali konwoje stad bydła pędzonych z Prus Wschodnich do ZSRS, rozbrajali posterunki MO, napadali na urzędy gmin i instytucje ustanawiane przez nowe władze. Jak wynika



Symboliczny grób zaginionych ustawiony w Gibach w 1991 roku (projekt: Andrzej Strumiłło)

Fot. AIPN



► Dom państwa Szyców przy ul. Rybnej 24 w Sztabianie (stan obecny), w którym Sowieci prowadzili brutalne przesłuchania osób zatrzymanych w obławie; nie wiadomo, ile ich było; po przesłuchaniach część wywieziono prawdopodobnie do Augustowa, gdzie dokonano dalszej selekcji

ze sprawozdania Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku, tylko od początku marca do 1 lipca 1945 roku w całym województwie białostockim podziemie niepodległościowe przeprowadziło łącznie 186 akcji. W samym powiecie suwalskim do końca maja 1945 roku polscy partyzanci rozbili siedemnaście z osiemnastu posterunków MO, wykonali 23 wyroki śmierci na donosicielach i najgorliwszych współpracownikach sowieckiego okupanta, atakowali żołnierzy Armii Czerwonej i NKWD.

W tej sytuacji 16 maja 1945 roku w Białymstoku odbyła się narada z udziałem władz województwa oraz dowództwa Wojsk Wewnętrznych NKWD, na której zdecydowano o podjęciu działań mających na celu zdławienie oporu.

Wielka łapanka

Zasadnicze uderzenie przeciwko członkom podziemia – czyli akcja pacyfikacyjna znana jako obława augustowska – nastąpiło w lipcu 1945 roku. Do dzisiaj trudno jest sprecyzować daty przeprowadzonej wówczas operacji, gdyż w dokumentach pojawiają się różne informacje na ten temat. Najwcześniejsza znana data rozpoczęcia obławy to 12 lipca, najpóźniejsza data jej zakończenia – 28 lipca. Akcję przeprowadzono na terenie trzech powiatów: augustowskiego, suwalskiego i w pół-

nocnej części sokólskiego. Uczestniczyły w niej przede wszystkim wojska sowieckie – jednostki 50. Armii III Frontu Białoruskiego i Wojsk Wewnętrznych NKWD – ale także dwie kompanie z 1. pułku praskiego dywizji im. Tadeusza Kościuszki. W akcję zaangażowali się również pracownicy lokalnych urzędów bezpieczeństwa publicznego, MO oraz tajni współpracownicy, których zadaniem było dostarczanie informacji i pomoc w poruszaniu się po terenie.

Obława nie miała charakteru jednej, masowej akcji, lecz raczej wielu równoczesnych zatrzymań prowadzonych w różnych rejonach wspomnianych powiatów. Ludzie byli zabierani z mieszkań, miejsc pracy, ulic i pól. Dokonujący zatrzymań żołnierze i funkcjonariusze nie mówili wprost, o co chodzi. Jednych wzywano pod pretekstem przesłuchania, innych „zwabiano” do lokalnych urzędów bezpieki, tłumacząc się koniecznością choćby sprostowania nieścisłych danych personalnych. Po kilkudniowej bitwie nad jeziorem Brożane, rozpoczętej 12 lipca, do niewoli wzięto 69 partyzantów. W kilku wsiach zorganizowano zebrania wiejskie, po czym uczestniczących w nich ludzi nie wypuszczono już do domów. Aby ułatwić sobie zadanie i uspokoić nastroje, aresztujący często mówili, że zabierają kogoś tylko na chwilę.

Przeprowadzający akcję zaopatrzeni byli w listy nazwisk i część osób rzeczywiście zatrzymano, kierując się spistem. Nie brakowało jednak i takich, które zostały aresztowane zupełnie przypadkowo. Zatrzymaniom towarzyszyły niekiedy rewizje. Niektóre rodziny odwiedzano dwukrotnie – jeśli za pierwszym razem nie zastano poszukiwanej osoby w domu, przychodzono po nią po kilku dniach. Trudno jest dokładnie określić liczbę wszystkich zatrzymanych Polaków. Źródła rosyjskie podają, że w sumie było to około siedmiu tysięcy ludzi.

Losy zatrzymanych były różne. Część osób zwolniono od razu, jeszcze tego samego dnia, po wstępnych wyjaśnieniach. Pozostałych aresztowano i poddawano brutalnym przesłuchaniom. Niektórych wypuszczano do domów po kilku lub kilkunastu dniach. To z ich relacji wiemy, że byli przetrzymywani w prowizorycznych punktach filtracyjnych: w piwnicach, chlewach, szopach, stodołach, a w Szczecbrze – na cmentarzu. Na tym etapie zdarzało się, że rodziny mogły jeszcze przekazać zatrzymanym ubranie i trochę żywności. Bywało, że za łapówkę strażnicy pozwalali na krótkie rozmowy.

Przypadkowe ofiary

Po kolejnych etapach przesłuchań wyselekcjonowano grupę około sześciuset osób, które uznano za członków lub współpracowników polskiego podziemia niepodległościowego. Z nimi kontakt był już niemożliwy. W rzeczywistości część spośród nich nie miała nic wspólnego z podziemiem. Niektórzy dopiero wrócili z robót w Niemczech, nieraz po wielu spędzonych tam latach. Wśród ofiar byli także kilkunastoletni chłopcy, tacy jak Stanisław Cieślukowski, który został zatrzymany, gdy wracał do domu w Białogórach od stryja. Rodzinie po szesnastolatku pozostało tylko jedno zdjęcie, zrobione, kiedy był niemowlęciem. Najprawdopodobniej Sowieci poszukiwali jego ojca, także Stanisława, który się ukrywał.

Wydaje się, że dobrze wyjaśnił tę sytuację jeden z byłych żołnierzy AK, ►



Fot. AIPN

► Romuald Różański (pierwszy z lewej) z Mikaszówki – jeden z najmłodszych zaginionych, w chwili zatrzymania nie miał jeszcze 15 lat; poszedł na zwołanie przez sołtysa zebranie, ale do domu już nie wrócił



Fot. AIPN

► Klemens Świerziński z Jaziewa, żołnierz AK, aresztowany razem z piętnastoma innymi mężczyznami na zebraniu u sołtysa i wywieziony w nieznanym kierunku

którego wspomnienia zacytowali w swej książce *Nie tylko Katyń* Stanisław Kulikowski i Ireneusz Sewastianowicz: „Obława odbywała się z typowym sowieckim bałaganiarstwem [...]. Żołnierze, oficerowie chyba też, nie mieli ochoty ugania się po lasach za uzbrojonymi partyzantami. Ułatwiali sobie robotę. Wyciągali ludzi z chałup. Mieli listy przygotowane przez szpicli. Gdy kogoś nie zastali w domu, brali innego. Żeby się zgadzała liczba. Poszukiwali nie tylko AK-owców. Aresztowali leśników, sołtysów, bogatych gospodarzy. To byli dla nich wrogowie, spuścizna po »pańskiej« Polsce”. Niewykluczone też, że akcja miała na celu zastraszenie polskiego społeczeństwa, zniechęcenie go do podejmowania działań przeciwko nowym władzom.

Wielką tragedię przeżywały rodziny, w których zatrzymano więcej niż jedną osobę. We wsi Dworczyisko Sowieci zabrali trzech braci Myszczyńskich: dwudziestosiedmioletniego Bronisława (spędził pięć lat na robotach w Niemczech), dwudziestodwuletniego Waleriana i dwudziestoletniego Witolda. Razem z nimi aresztowano ich ojczyzna Władysława Wołosa. W Białej Wodzie Sowieci zabrali Ludwika Wysockiego i jego dwie córki – siedemnastoletnią Anielę i o kilka lat starszą Kazimierę. O ile obie córki w czasie okupacji aktywnie angażowały się w działalność polskiego podziemia, o tyle ich ojciec przebywał w tym czasie w więzieniu w Królewcu za pomoc udzielaną jeńcom sowieckim.

Przez dziesięciolecia tajemnicą pozostawał los owych sześciuset osób. Dziś nie ma wątpliwości, że zostały zgładzone, choć nadal nie wiadomo, kiedy i gdzie. Ci, którym udało się ująć cało z obławy, wspominali, że innych zaaresztowanych ładowano na samochody ciężarowe i wywożono w kierunku granicy.

Szyfrowe poszukiwania

Rodziny od razu przystąpiły do szukania swoich bliskich. Alarmowały też władze samorządowe najniższych szczebli, które także z własnej inicja-

tywy poszukiwały zatrzymanych obywateli. Szczególną aktywność wykazała gmina Giby, która wybrała delegację mającą interweniować w sprawie zaginionych u prezydenta Bolesława Bieruta. Nie wiadomo jednak, jak została ona potraktowana. Los zaginionych poruszany był na posiedzeniach gminnych rad narodowych, w ślad za tym szły pisma do władz wyższych szczebli (powiatowych rad narodowych, Urzędu Wojewódzkiego Białostockiego), także centralnych (Ministerstwa Administracji Publicznej czy premiera). W każdym niemal piśmie tłumaczono, że zaginęli rolnicy, których gospodarstwa niszczyła bez właściwego dozoru, a także fachowcy potrzebni w latach powojennej odbudowy kraju. Przekonywano, że zniknęli jedyni żywiele rodzin, których bliscy znajdują się w bardzo trudnych warunkach materialnych.

Niestety, żaden urząd nie udzielił satysfakcjonującej odpowiedzi. Na przykład gdy w grudniu 1946 roku władze gminy Giby wystosowały pismo do premiera, po dwóch tygodniach otrzymały odpowiedź, że zostało ono skierowane do polskiej ambasady w Moskwie. Kilka tygodni później ambasada poinformowała zarząd gminy, że „została podjęta specjalna interwencja, zmierzająca do zwolnienia wyżej wykazanych obywateli”. Na deklaracji się skończyło.

W miarę upływu lat poszukiwania prowadzono z coraz mniejszym impetem. Rzeczywistość epoki stalinowskiej nie sprzyjała takim działaniom. Obława augustowska stała się tematem zakazanym; zdarzało się, że rodziny „poprawiały” swoje życiorysy tak, aby nie pojawiło się w nich choćby najmniejsze powiązanie z wydarzeniami z lipca 1945 roku. Były jednak osoby, które – nie zważając na zagrożenie – w dalszym ciągu docierały ze swoim problemem wszędzie, gdzie tylko to możliwe. Pisały nawet do Stalina.

Sporadycznie do bliskich przychodziły wiadomości, że poszukiwane osoby żyją – za każdym razem na terenie ZSRS. Tak było w przypadku rodziny Franciszka Masłowskiego. W 1959 roku jego krewni

Fot. AIPN



► Siostry Aniela i Kazimiera Wysockie z Białej Wody działały w polskim podziemiu; ich ojciec, Ludwik Wysocki, podczas okupacji niemieckiej przebywał w więzieniu w Królewcu za pomoc udzielaną jeńcom sowieckim; podczas obławy zatrzymani zostali wszyscy troje

otrzymali wiadomość z PCK, że Masłowski mieszka we wsi Samara w rejonie stalinskim. Niestety, chociaż wysłali do niego wiele listów, na żaden nie otrzymali odpowiedzi. Z rodzinami nie skontaktowała się ani jedna z osób rzekomo przebywających w ZSRS.

Po 1956 roku rodziny zaginionych zaczęły kierować do sądów wnioski z prośbą o uznanie ofiar obławy za zmarłych. Wszystko wskazywało na to, że pacyfikacja augustowska pozostanie jednym z tych tragicznych wydarzeń, które powoli znikną z ludzkiej pamięci, gdyż o wydarzeniach z lipca 1945 roku nie można było głośno mówić, nie pisało się o nich, nie wspominały o nich ani podręczniki, ani opracowania historyczne. Sami ludzie woleli milczeć, aby nie przysparzać sobie kłopotów.

Walka o prawdę

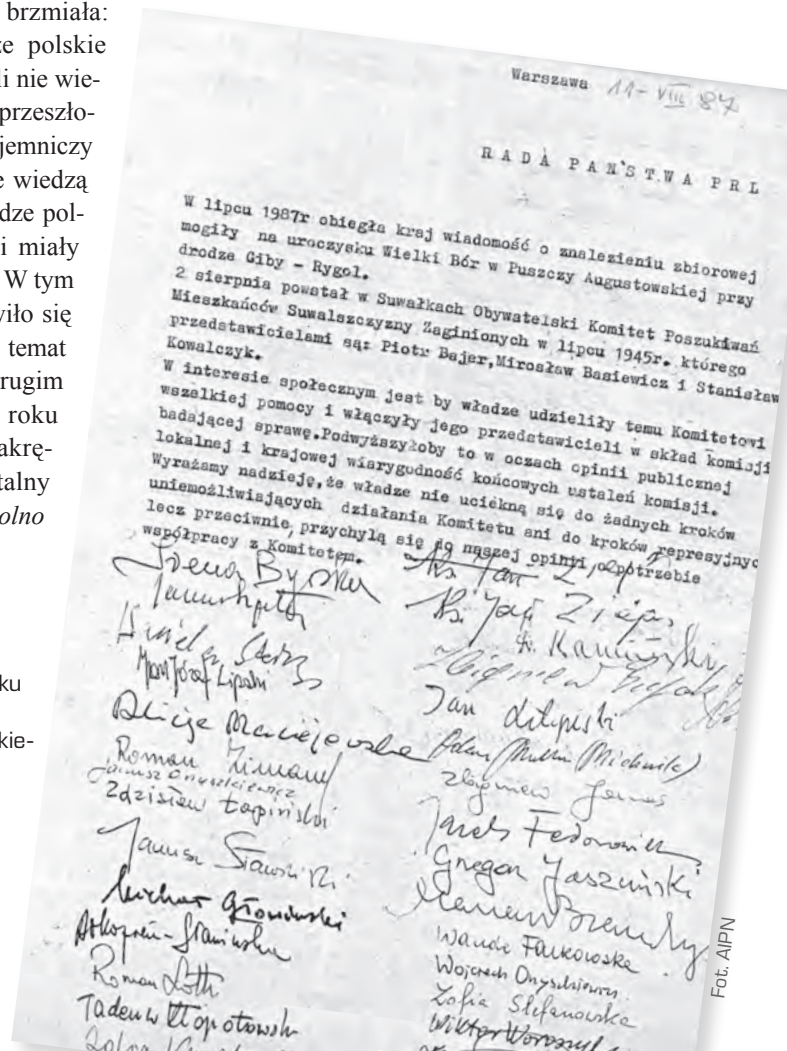
Ta cisza trwała do drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Latem 1987 roku odnaleziono masowe groby w uroczysku Wielki Bór między Gibami a Rygolem. Mieszkający tam ludzie byli przekonani, że są to miejsca pochówku ofiar obławy. Informację o odnalezieniu grobów podały światowe agencje. Rozbudzone nadzieje były tak wielkie, że kiedy przeprowadzone prace dowiodły, iż masowe groby to niemiecki cmentarz polowy, wiele osób nie przyjmowało tego do wiadomości.

Z całą pewnością właśnie wtedy obława augustowska po raz pierwszy zaistniała w publicznym dyskursie. Na konferencji prasowej, zwołanej przez rzecznika rządu Jerzego Urbana, zagraniczni dziennikarze ciągle dopytywali się o ludzi, którzy zaginęli w lipcu 1945 roku. Odpowiedź brzmiała: „Dzisiejsze władze polskie niczego w tej chwili nie wiedzą o tym, aby w przeszłości ktokolwiek w tajemniczy sposób zaginał, nie wiedzą też o tym, aby władze polskie poszukiwały i miały kogo poszukiwać”. W tym samym roku pojawiło się kilka artykułów na temat obławy, także w drugim obiegu. W 1988 roku Jacek Petrycki nakręcił film dokumentalny *A może tego nie wolno*

► Przesłany do Rady Państwa 11 sierpnia 1987 roku apel o udzielenie pomocy Obywatelskiemu Komitetowi Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku

mówić?, ukazujący atmosferę panującą wokół tej zbrodni.

Odkrycie grobów pod Gibami było bodźcem do podjęcia działań przez kilku członków suwalskiej Solidarności. Piotr Bajer, Mirosław Basiewicz i Stanisław Kowalczyk już na początku



Fot. AIPN

sierpnia 1987 roku rozprawdzali ulotkę, w której pisali m.in.: „Pragnąc pomóc rodzinom w ich staraniach o powrót zaginionych lub w ustaleniu ich losu, w przekonaniu, że wyjaśnianie »białych plam« w historii stosunków polsko-radzieckich leży w interesie obu krajów, powołujemy Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku. Komitet będzie dążył do ułożenia kompletnej listy zaginionych, ustalenia ich losów i umożliwienia powrotu do domów. Komitet apeluje o pomoc w działaniu do władz PRL, ZSRS, Kościoła, Czerwonego Krzyża, wyspecjalizowanych instytucji polskich i międzynarodowych oraz wszystkich ludzi dobrej woli”. Kilka dni później Rada Państwa otrzymała apel o udzielenie komitetowi wszelkiej pomocy w jego działaniach. Podpisało go 56 osób ze świata kultury i nauki, m.in. Jacek Bocheński, Marian Brandys, Ernest Bryll, Krystyna Janda, Adam Michnik i Andrzej Stelmachowski.

Odpowiedź władz przyszła szybko. Na początku września 1987 roku dyrektor Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Wojewódzkiego w Suwałkach zakazał komitetowi działalności. W uzasadnieniu podano, że działa on

nielegalnie, co mogłoby zakłócić spokój lub porządek publiczny.

Decyzja władz nie zniechęciła jednak członków komitetu. W listopadzie 1987 roku wystosowali pismo do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża w Genewie, wyjaśniając, czym była obława augustowska, i prosząc o interwencję u polskich władz. Przez kolejne miesiące członkowie i sympatycy komitetu (powiększonego o działaczy opozycji z Warszawy: Alicję Maciejowską, Marię Chwalibóg, Danutę i Jana Krzywosów) odwiedzali mieszkańców Suwalszczyzny i Augustowszczyzny – w tym tych, którzy rozproszyli się po całej Polsce – nagrywając z nimi rozmowy, kopiując fotografie zaginionych oraz dokumenty i korespondencję z urzędami.

Odnaleźć mogiły

Przemiany ustrojowe po 1989 roku pozwoliły na kontynuowanie działań mających na celu wyjaśnienie wszystkich kwestii dotyczących obławy augustowskiej. Ponowna ekshumacja grobów pod Gibami potwierdziła wcześniejsze ustalenia. Śledztwo w sprawie obławy podjęła m.in. Prokuratura Wojewódzka w Suwałkach, która otrzymała do dyspozycji kopie materiałów zebranych przez Obywatelski Komitet Poszuki-

wań. Zostało ono jednak zawieszono w połowie lat dziewięćdziesiątych. Tłumaczono, że nie pojawiły się nowe dokumenty. W 2001 roku akta sprawy przejął białostocki Oddział IPN, który rozpoczął własne śledztwo, zwracając się też z prośbą o pomoc do Prokuratury Generalnej Federacji Rosyjskiej. Niestety, los zaginionych do dziś nie został wyjaśniony.

Przełom nastąpił w ubiegłym roku. Nikita Pietrow – rosyjski historyk, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia „Memoriał” – w książce *Według scenariusza Stalina* opublikował fragment dokumentu znalezione w archiwach KGB. Jest to nieznaną do tej pory szyfrogram dowódcy sowieckiego kontrwywiadu wojskowego, gen. Wiktora Abakumowa, do ministra spraw wewnętrznych ZSRS Ławrientija Berii. W piśmie, datowanym na 21 lipca 1945 roku, Abakumow prosił o zgodę na likwidację 592 „polskich bandytów” zatrzymanych w rejonie Puszczy Augustowskiej. Za akcję mieli być odpowiedzialni, gen. Iwan Gorgonow oraz gen. Paweł Zielenin. Wprawdzie nie jest znany dokument wprost mówiący o przeprowadzeniu egzekucji, ale biorąc pod uwagę fakt, że ani jedna z aresztowanych osób nie dała później znaku życia, należy przypuszczać, że plan został wykonany.

Dziś rodziny ofiar obławy pragną już tylko dowiedzieć się, gdzie spoczywają ciała ich bliskich. Jedną z wcześniejszych hipotez mówi, że w forcie w Naumowiczach koło Grodna. Ale odkrycie Pietrowa sugerowałoby inny trop: teren byłych Prus Wschodnich. Wiadomo, że dowodzący akcją gen. Iwan Gorgonow przyleciał na lotnisko w Olecku. Jest bardzo prawdopodobne, że miejsce egzekucji i pochówku ofiar było gdzieś w pobliżu.

Na razie rodziny honorują pamięć zaginionych, modląc się u stóp krzyża ustawionego w 1991 roku na symbolicznej mogile w Gibach. Pozostaje wierzyć, że kiedyś uda im się zapalić świeczkę na rzeczywistym grobie zamordowanych. ❄



Fot. AIPN

► Fragment prezentowanej w Augustowie w lipcu 2005 roku wystawy, przygotowanej przez OBEP IPN w Białymstoku w sześćdziesiątą rocznicę obławy

Anna Pyżewska – pracownik OBEP IPN w Białymstoku

Fot. ze zbiorów Mirosława Duszaka



► Cella w ośrodku odosobnienia w Kwidzynie, na ścianie widoczny napis „Solidarność” i znak Polski Walczącej; od lewej stoją: NN, Stanisław Romański, Jerzy Woroń, Mirosław Duszak

Bunt w Kwidzynie

Karol Nawrocki

Wydawać by się mogło, że odizolowani od bliskich i przyjaciół, pozamykani w ośrodkach odosobnienia opozycjoniści z Solidarności nie mogą stanowić już żadnego zagrożenia dla władz PRL. Jak bowiem można walczyć z systemem zza więziennych krat? A jednak nawet w warunkach niewoli działacze Solidarności buntowali się przeciw systemowi komunistycznemu. Największy bunt internowanych miał miejsce w Kwidzynie.

Wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 roku wywołało protesty pracowników w kilkuset zakładach i instytucjach w całym kraju. Protest podjęli także studenci, rzemieślnicy i artyści. W ośrodkach odosobnienia w różnych częściach Polski internowano – przewencyjnie lub w ramach represji – tysiące osób. Lekceważąc zasadę domniemania niewinności, zadekretowano, iż internowaniu po 13 grudnia

1981 roku podlegają te osoby, co do których „zachodziło podejrzenie, że pozostając na wolności, nie będą przestrzegać porządku prawnego PRL”.

Do czerwca 1982 roku Centralny Zarząd Zakładów Karnych odnotował czterdzieści grupowych protestów w ośrodkach internowania. Mniejsze lub większe wystąpienia miały miejsce m.in. w Iławie, Załężu czy w Wierchowiu Pomorskim. Największy protest wybuchł 14 sierpnia 1982 roku w Kwidzynie.

Kwidzińska interna

Zakład Karny w Kwidzynie wybudowano w latach 1976–1977. Decyzją ministra sprawiedliwości z 24 marca 1982 roku utworzono tam ośrodek odosobnienia dla więźniów politycznych, który znajdował się w czterech połączonych ze sobą budynkach, mogących pomieścić ok. pięciuset osadzonych. Obiektu strzegło 25 funkcjonariuszy Służby Więziennej.

Życie codzienne w kwidzińskiej internie dalece odbiegało od regulaminowych norm. Ciele były otwarte od rana do wieczora, bez ograniczeń uprawiano sport i wypoczywano na świeżym powietrzu. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że działacze opozycji wywalczyli sobie w Kwidzynie pewną enklawę wolności. Kwitła więzienna kultura. Internowani produkowali nawet metodą sitosączkową „głos” ►

zza więziennych krat – biuletyn „Nasza Krata”. Wiele więziennych cel było ozdobionych napisami „Solidarność”, „KPN” czy patriotycznymi symbolami. Jak zauważył jeden z uwięzionych, Konrad Tatarowski, „obszar między faktycznym uwięzieniem a oddanym obszarem swobód mógł sprawić, że w niektórych umysłach zacierała się świadomość tego, że tu, w więzieniu władza może uczynić wiele »poza-regulaminowych« ustępstw – i że równie łatwo może je odebrać”.



Fot. AIPN

► Bunt internowanych w Kwidzynie: milicja ściga jednego z osadzonych

Na kłopoty – Pobłocki

I tak się też stało, gdy 7 sierpnia z ośrodka w Kwidzynie zbiegł Mirosław Andrzejewski. Ucieczka Andrzejewskiego nadwyrężyła zaufanie zwierzchników więziennictwa do komendanta mjr. Stefana Mikołajczyka. Nowym komendantem został kpt. Juliusz Pobłocki, który przybył do Kwidzyna z poleceniem ostatecznego zaprowadzenia porządku. Już pierwszego dnia Pobłocki dołożył wszelkich starań, by sprowokować internowanych: nie zapowiedział zmiany ustalonych wcześniej zasad widzeń, arogancko potraktował delegację internowanych, która chciała z nim na ten temat rozmawiać, oraz wezwał oddziały milicji i straży pożarnej.

Wybuchł bunt, w czasie którego służba więzienna użyła siły fizycznej. Podczas spychania internowa-

nych z dziedzińca do pawilonów kilku z nich zostało pobitych. W tej fazie zajść najbardziej poszkodowany został Władysław Kałudziński, którego najpierw pobito pałkami, a po utracie przytomności – skopano. Przez kolejną godzinę zamkniętych w pawilonach opozycjonistów bestialsko bito i poniżano. Tak zapamiętał to Andrzej Gołowski: „Po chwili zaczęli znów nas bić, rozpędzili nas, ja po raz drugi straciłem przytomność. Zdemolowali całą celę, niszcząc nasze rzeczy, pościel. Potem, jak odzyskałem przytomność, to byłem bity po raz trzeci, drewnianą pałką po nogach i całym ciele, a szczególnie po genitaliach. Znów straciłem przytomność, obudziłem się dopiero w szpitalu w Kwidzynie”. Najbardziej

pobito osadzonych w celi nr 8. Radosław Sarnicki wspominał: „W pewnej chwili zostałem zrzucony z łóżka na podłogę. Zaczęto mnie znów bić i kopać. Pamiętam dokładnie, jak jeden z funkcjonariuszy przycisnął mi butem brodę i policzek do betonowej posadzki, a drugi stanął obiema nogami na mojej klatce piersiowej. Nie byłem w stanie wykonać ruchu i nie mogłem oddychać”.

Pobito ponad pięćdziesięciu internowanych, czterech z najcięższymi obrażeniami odwieziono do szpitala jeszcze 14 sierpnia, a kolejnych pięciu – kilka dni później po interwencji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Główne obrażenia, zdiagnozowane przez lekarzy, to wstrząśnienia mózgu, krwawe



Fot. AIPN

► Internowani nie zamierzali łatwo ulec bezprawnym działaniom służb więziennych

pręgi na plecach, uszkodzenia kręgosłupa i – u Radosława Sarnickiego – śpiączka mózgowa.

Wymiar niesprawiedliwości

Już 6 września Prokuratura Wojewódzka w Elblągu siedmiu najbardziej pobitym internowanym postawiła zarzuty popełnienia przestępstwa. Przewieziono ich do aresztu śledczego w Elblągu, gdzie 25 listopada usłyszeli akt oskarżenia zarzucający im udział w proteście i napadzie na strażników więziennych. Zredagowany był on w sposób dalece odbiegający od rzeczywistego przebiegu wydarzeń, bo przytoczono tylko kłamliwe zeznania funkcjonariuszy więziennictwa o rzekomym zamiarze wzięcia ich jako zakładników oraz o próbach wzniesienia pożaru przez więźniów. Natomiast sprawę oskarżonych o brutalne zachowanie strażników przekazano do prokuratury garnizonowej, która najpierw zrezygnowała z aresztowania ich, a później – ze skierowania do sądu aktu oskarżenia.

Na podobną życzliwość nie mogli liczyć pobici internowani, którzy przez dziewięć miesięcy przebywali w areszcie śledczym. Wreszcie 23 maja 1983 roku Sąd Wojewódzki w Elblągu pod przewodnictwem Alfonsa Wierzbickie-



▶ Do tłumienia buntu służby więzienne użyły m.in. psów i wody z hydrantów – internowani bronili się za pomocą mebli

go uznał, że oskarżeni uczestniczyli w zbiorowej akcji protestacyjnej, skazał Adama Kozaczyńskiego, Mirosława Duszaka i Zygmunta Gołwskiego na dwa lata więzienia, Andrzeja Bobera na półtora roku, Władysława Kałuzińskiego na rok. Radosław Sarnicki otrzymał wyrok w zawieszeniu, natomiast sprawę Andrzeja Gołwskiego z racji jego złego stanu zdrowia sąd wyłączył do oddzielnego postępowania. Wykonanie wyroków zawieszono w związku z amnestią zaplanowaną na 22 lipca 1983 roku.

Losy internowanych pobitych w ośrodku odosobnienia w Kwidzynie doskonale obrazują peerelowską „praworządność”. Pozwoliła ona, by niewinnych ludzi najpierw pozbawić wolności, a następnie pobić, aresztować i skazać jako kryminalistów na wyroki więzienia w fasadowym procesie, przypominającym pierwsze lata Polski „ludowej”. Niestety, ani brutalni strażnicy, ani łamiący prawo prokuratorzy i sędziowie nie zostali osądzeni nawet po 1989 roku. ❄

Karol Nawrocki – pracownik OBEP IPN w Gdańsku



▶ Uwięzieni, lecz nie złamani: niektórzy z osadzonych unoszą ręce z palcami złożonymi w solidarnościowy znak zwycięstwa

Tam i z powrotem

Jerzy Eisler



Fot. FilMOTEKA Narodowa

► Mirosław Baka jako waluciarz

Popularna w swoim czasie w środowisku filmowym anegdota głosi, że gdy Wojciech Wójcik w latach sześćdziesiątych studiował reżyserię w słynnej łódzkiej „filmówce”, wielu jego kolegów próbowało wzorować się na dziełach Federica Felliniego czy Ingmara Bergmana i pragnęło tworzyć kino intelektualne i artystyczne. Tymczasem Wójcik konsekwentnie utrzymywał, że chciałby w przyszłości kręcić takie filmy, jakie realizowali amerykańscy klasycy westernu i/lub filmu sensacyjnego: John Ford i Howard Hawks. Już wówczas wiedział, że bardziej niż moralitety i traktaty filozoficzne będzie go interesowało kino akcji. Jeszcze zanim w Polsce zmienił się ustrój, zrealizował pierwsze tego rodzaju filmy: *Karate po polsku* (1982), *Prywatne śledztwo* (1986) i *Trójkąt Bermudzki* (1987). Prawdziwy rozgłos przyniosły mu jednak nakręcone później popularne telewizyjne seriale sensacyjne: *Ekstradycja* i *Sfora* oraz pełnometrażowy film kinowy *Tam i z powrotem*, obsypany wieloma nagrodami, w tym wyróżniony za reżyserię na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni w 2002 roku.

Ten ostatni obraz można by określić mianem filmu sensacyjnego, zrealizowanego w historycznej scenarii. Został on bowiem w sposób dość swobodny oparty na kanwie prawdziwych wydarzeń. Choć akcja została przeniesiona do Łodzi i przesunięta nieco w czasie (rok 1965), to jednak film wyraźnie nawiązuje do bodaj najgłośniejszego w dziejach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej napadu rabunkowego na „Bank pod Orłami” w Warszawie przy ul. Jasnej.

Wypada zatem przypomnieć, że 22 grudnia 1964 roku o 18.35 przed budynkiem, gdzie mieścił się oddział Narodowego Banku Polskiego, dokonano zuchwałego napadu rabunkowego. Jego ofiarą padła kasjerka, która w towarzystwie dwóch konwojentów przenosiła z samochodu do banku bożonarodzeniowy utarg z Centralnego Domu Towarowego (CDT). Kobieta została nagle zaatakowana przez dwóch mężczyzn, którzy otworzyli ogień, na miejscu zabijając jednego z konwojentów – Zdzisława Skoczka. Drugi, ranny, złapał worek z pieniędzmi i usiłował wbiec do banku, ale w drzwiach wejściowych dopadł go jeden z napastników, wyrwał mu pakunek i przystąpił do ucieczki. Obaj przestępcy, ostrzeliwując się, zbiegli z łupem wynoszącym 1,3 mln zł.

Tymczasem kierowca należący do CDT samochodu marki Warszawa przez cały czas klaksonem alarmował przechodniów.

W strzelaninie niczym z filmu gangsterskiego zabito w centrum Warszawy człowieka i do dziś sprawa ta pozostała niewyjaśniona. Zapewne zresztą nigdy nie dowiemy się, kim naprawdę byli sprawcy rabunku. Mimo że wyznaczono wówczas nagrodę w wysokości stu tysięcy złotych za pomoc w ich ujęciu, a w prasie i telewizji opublikowano domniemane portrety pamięciowe, to nigdy nie udało się zatrzymać tych ludzi. W śledztwie ustalono jedynie, że po dokonaniu zabójstwa i rabunku zbiegli oni ulicą Hibnera (dziś Zgoda), minęli ulicę Sienkiewicza, kierując się do wąskiego przejścia między budynkami Filharmonii i kompleksem gmachów PKO w stronę ulicy Moniuszki, skąd prawdopodobnie wyszli na Marszałkowską.

Pojawiły się wtedy co najmniej dwie plotki, zresztą dość charakterystyczne dla ówczesnego stanu myślenia. Nikt o zdrowych zmysłach nie wierzył wszak w to, że dwie osoby – bez specjalistycznego przygotowania – są w stanie dokonać napadu na bank z bronią w rękę i ukraść ponad milion złotych. Była to kwota, za którą można było kupić dobre mieszkanie w Warszawie bądź zbudować i kompletnie urządzić dom pod miastem, a także nabyć zachodni samochód i dodatkowo pojechać z Orbisem na kilka atrakcyjnych wycieczek zagranicznych. Były to więc ogromne pieniądze. Równocześnie było oczywiste, że taki „skok” nie jest możliwy bez dokładnego planu całej akcji.

W myśl jednej wersji było to więc dzieło „facetów z MSW”, czyli kogoś z kręgów Służby Bezpieczeństwa czy Milicji Obywatelskiej, w każdym razie ludzi, którzy umieją posługiwać się bronią palną i – z racji swojego zawodowego przygotowania – są w stanie zaplanować taki napad. Druga, zupełnie przeciwstawna wersja głosiła, że sprawców zuchwałego napadu należałoby szukać raczej wśród ludzi z kręgów Kierownictwa Dywersji, czyli „Kedywu” Armii Krajowej, tym bardziej iż od zakończenia II wojny światowej nie upłynęło jeszcze dwadzieścia lat i młodzi ludzie z lat okupacji byli wówczas mężczyznanami w sile wieku.

Nie wiem, czy twórcy filmu *Tam i z powrotem* znali i wierzyli w tę drugą wersję, ale faktem pozostaje, że wątek akowski został włączony w historię zaprezentowaną przez nich na ekranie. Bohaterem filmu uczynili bowiem dr. Andrzej Hoffmana, byłego łącznika AK w Wielkiej Brytanii, a w chwili gdy toczy się akcja filmu – wybitnego lekarza mieszkającego i pracującego w Łodzi. Hoffman (postać świetnie zagrana przez Janusza Gajosa) w okresie stalinowskim spędził w więzieniu kilka lat, mimo że oskarżenie oparte było na bardzo kruchych podstawach. Jak wiadomo, w tamtych latach przez stalinowskie więzienia przewinęły się tysiące polskich patriotów, z których zresztą nie wszyscy doczekali wyjścia na wolność.

Choć po zmianach 1956 roku Polska nie stała się krajem bez więźniów politycznych, to jednak było ich nieporównanie mniej niż w okresie stalinowskim. Wielu akowców nie tylko

wypuszczono z więzień, ale także zrehabilitowano. System uległ daleko idącej liberalizacji, choć jednocześnie nie wyzbył się szeregu negatywnych cech. Nadal ogromną, choć – rzecz jasna – znacznie mniejszą niż wcześniej rolę odgrywał aparat bezpieczeństwa, funkcjonowała cenzura prewencyjna, utrzymany został polityczny monopol Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, obowiązywała „księżycowa” gospodarka nakazowo-rozdzielcza, a PRL była zależna od Związku Radzieckiego.

Zmiany były jednak na tyle widoczne i ważne, że wielu ludzi uwierzyło w ich trwałość. Stosunkowo szeroko rozpowszecznione było przekonanie, że popaździernikowa Polska jest „najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym”, oraz opinia o tym, że rządzący zawarli z rządzonymi niepisaną umowę w myśl hasła: „my wam dajemy żyć, wy nam nie przeszkadzajcie w rządzeniu”. Nie wolno jednak zapominać, że wciąż było to państwo zamknięte, z którego nader trudno – choć niewątpliwie znacznie łatwiej niż przed rokiem 1956 – było wyjechać za granicę. Tego typu wyjazdy (zwłaszcza na Zachód) ciągle należały do rzadkości. Były one niezwykle utrudnione z trzech co najmniej powodów.

Po pierwsze, inaczej niż obecnie, nie mieliśmy paszportów w domu, ale były one przechowywane w Biurze Paszportowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i każdorazowo przed wyjazdem za granicę trzeba było wypełniać wielostronicowy, bardzo szczegółowy formularz, w którym należało dokładnie podać cel, czas i charakter podróży oraz to, z kim zamierzamy się spotkać. Władze miały sześć tygodni na udzielenie odpowiedzi, przy czym wcale nie musiały zgodzić się na nasz wyjazd. Oprócz niebudzących większych wątpliwości motywów odmowy („nieuregulowany stosunek do służby wojskowej” czy toczące się wobec petenta postępowanie sądowe) władze zawsze mogły odmówić wydania paszportu, motywując to nic niemówiącym i niezwykle „roziągłym” stwierdzeniem: „inne ważne względy natury państwowej”. Można się było od tego odwoływać, lecz raczej rzadko przynosiło to skutek. Jeżeli zaś ktoś otrzymał paszport i wyjechał za granicę, to w ciągu tygodnia po powrocie do kraju trzeba było oddać „dokument podróży” odpowiednim władzom.

Po drugie, znów inaczej niż obecnie, na wjazd do prawie wszystkich państw potrzebowaliśmy wizy, którą nielatwo było uzyskać, tym bardziej że nie wszystkie kraje europejskie miały swoje przedstawicielstwa dyplomatyczne w Warszawie.

Kłopoty z uzyskaniem wizy wiązały się też z trzecią przyczyną utrudnień w wyjazdach zagranicznych: niewymienialnością polskiej waluty. Dziś, gdy złotówki można wymieniać na dewizy zarówno w Polsce, jak i w wielu krajach świata, łatwo zapominamy o tym, że aż do 1989 roku były to pieniądze, które traciły jakąkolwiek wartość po przekroczeniu polskiej granicy państwowej. Zresztą nie wolno ich było wywozić z Polski – było to przestępstwem. Poza tym po czarnorynkowym (to znaczy realnym) kursie dolara do złotówki Polacy zarabiali miesięcznie przeciętnie 20–25 dolarów, co w najlepszym razie – zresztą czysto teoretycznie – pozwalało ➤



▶ Piotr Klimek i dr Hoffman (Jan Frycz i Janusz Gajos) – przyjaciele z konspiracji, współnicy w napadzie

Fot. Filmołeka Narodowa

wówczas na przeżycie w Europie Zachodniej lub Ameryce najwyżej trzech dni. Trzeba przy tym stale pamiętać, że w PRL nie wolno było kupować dewiz na „czarnym rynku”. Także więc ze względu na brak legalnej możliwości pozyskania dewiz wyjazd z Polski rządzonej przez komunistów był bardzo trudny i – niezależnie od innych ograniczeń – przypominał kwadraturę koła.

Przywołuję to wszystko dlatego, że bohater filmu stale pisze podania o paszport, a następnie odwołania od decyzji odmownych. Dla kolejnych pokoleń widzów coraz mniej zrozumiałe będzie to, dlaczego dr Hoffman nie może połączyć się z przebywającą od wojny w Anglii żoną i córką. Ten człowiek przeżywa wielki osobisty dramat. Chociaż po wyjściu z więzienia przebywa na wolności, nie może z niej w pełni korzystać i na przykład wyjechać z Polski, żeby spotkać się z rodziną.

Gdy pewnego dnia pojawia się Piotr Klimek, kolega z wojennej konspiracji (w tej roli Jan Frycz), który jest zdeterminowany i za wszelką cenę chce wyjechać na Zachód, aby tam zacząć nowe życie, dr Hoffman postanawia przystać na jego propozycję. Okazuje się bowiem, że jedynym sposobem na wyrwanie się z Polski jest zdobycie drogą nielegalną (napad na bank) wielkich pieniędzy, które otworzyłyby drogę do wyjazdu za granicę. Hoffman, człowiek uczciwy, nie bez oporów decyduje się na takie rozwiązanie. Podjęcie moralnie wątpliwej decyzji ułatwia mu fakt, że SB chce go zwerbować, szantażując fałszywymi zeznaniami świadków, które mogą doprowadzić do zamknięcia jego praktyki lekarskiej.

Obserwujemy przygotowania do rabunku pieniędzy i sam napad, w którego trakcie dochodzi jednak do użycia broni

palnej i zranienia jednego z konwojentów. Los sprawił, że rannego konwojenta miał operować dr Hoffman, który w ten sposób stanął przed dramatycznym wyborem: w zgodzie z moralnymi i zawodowymi zasadami ratować za wszelką cenę życie człowieka i w ten sposób siebie samego narazić na dekonspirację – czy też pozwolić konwojentowi umrzeć i w ten sposób samemu uniknąć więzienia. Wydaje się, że w tym momencie Wojciech Wójcik przynajmniej częściowo zdecydował się „wyjść z roli” wyłącznie specjalisty od filmów akcji i wystąpił także w roli moralisty, co dodatkowo podniosło walory tego niewątpliwie udanego i bardzo interesującego filmu. Nie zdradzając jego zakończenia, wypada dodać jeszcze, że puenta filmu jest dość zaskakująca, ale zarazem nader klarowna i w sumie pozytywna. Przekonuje po raz kolejny, że naprawdę warto być przyzwoitym.

Poza wątkiem sensacyjnym i aspektem historyczno-politycznym film *Tam i z powrotem* – ze względu na nieczęsto spotykany pietyzm scenografów i kostiumologów względem realiów epoki – dla młodych widzów jest niczym wycieczka do muzeum techniki (na przykład można na ekranie zobaczyć Szarotkę – w swoim czasie niezwykle popularne pierwsze polskie przenośne radio na baterie), dla starszych zaś jest powrotem do zapomnianego świata dzieciństwa lub młodości. Dzięki tej trosce o detale „siermiężny socjalizm” z czasów Gomułki jawi się na ekranie na swój sposób malowniczo, a w każdym razie dość egzotycznie. ■

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008)

Granatniki z „Jajczarni”

Michał Mackiewicz

Do największych osiągnięć Polskiego Państwa Podziemnego zalicza się zorganizowanie seryjnej produkcji broni. Powszechnie znane są pistolety maszynowe „Błyskawica” czy granaty ręczne – „sidolówka” i „filipinka”. Niewielu jednak wie, że podczas Powstania Warszawskiego Polacy dysponowali także cięższym uzbrojeniem własnej, oryginalnej konstrukcji. Należały do niego granatniki wytwarzane w słynnej „Jajczarni”.

Przed 1 sierpnia 1944 roku stołeczny garnizon AK nie był dostatecznie uzbrojony. Tylko stosunkowo nieliczni żołnierze dysponowali pełnowartościowymi środkami walki, zwłaszcza bronią maszynową – indywidualną i zespołową – której brak wyraźnie uwidocznił się już w pierwszych godzinach powstania. W toku walk mieli jej coraz więcej, ale wciąż brakowało broni cięższej, tak potrzebnej do zwalczania nieprzyjacielskich wozów bojowych, umocnionych punktów ogniowych i wspierania własnych oddziałów podczas natarć. Pochodzące ze zrzutów brytyjskie granatniki PIAT były jedynie kroplą w morzu potrzeb, stąd też rozpoczęto gorączkowe próby stworzenia własnej konstrukcji.

Największa wytwórnia uzbrojenia dla walczącej stolicy znajdowała się w budynku Związku Spółdzielni Mleczarskich i Jajczarskich przy ulicy Hożej 51, powszechnie nazywanym „Jajczarnią”. Placówka ta rozpoczęła działalność już na początku sierpnia. Poza produkcją uzbrojenia – zwłaszcza granatów – i rusznikarnią (do kapitulacji wyremontowano kilkaset sztuk różnej broni), mieściła się tutaj jedyna powstańcza elektrownia polowa. Oprócz tego w chwili wybuchu powstania swoją siedzibę miał tutaj sztab Komendy VII Obwodu Okręgu Warszawskiego AK „Obroża”. Odpowiedzialnym za zorganizowanie tego kompleksowego zaplecza technicznego był dowódca saperów „Obroży” kpt. Michał Bucza „Mechanik”. ➤

➤ Powstańcy na barykadzie na ul. Zielnej obserwują płonący budynek PAST-y, 20 sierpnia 1944 roku



Produkcja w warunkach konspiracji, znaczny stopień improwizacji, pośpiech, wreszcie brak czasu na dokładne szkolenie w obsłudze powodowały, że zdarzały się wypadki. Ciekawą relację pozostawił st. sierż. pchor. Jerzy Szuster „Jur”, podówczas dowódca drużyny, który na stanowisku bojowym przy ulicy Piusa XI nr 1b dysponował jednym moździerzem konstrukcji Łopuskiego: „»Krystyna« [strzelec Krzysztof Pieniążek] wprowadził pocisk do lufy, choć dystansowe listewki były nasiąknięte wodą wskutek deszczu. Wprowadził miotający ładunek i zakręcono pokrywę [...]. Wlałem kwas do otworu, powodując detonację. Nastąpiła detonacja miotającego ładunku i prawie jednocześnie granatu w lufie. Lufa spęcała i pękła od dołu w pobliżu komory nabojojowej. Prawdopodobnie nastąpiło zagwożdżenie pocisku w lufie i jego detonacja [...] Mogę stwierdzić, że pociski różnie były wyrzucane z lufy, czasem gwałtownie, czasem leniwie, albo powolnie. Mogło to być nawilgoce- nie pogodowe mieszanki miotającej albo złe wymieszanie składników”. Co ciekawe, to właśnie na stanowisku przy Piusa nr 1b reporterzy BIP-u sfilmowali użycie bojowe granatnika dla powstańczej kroniki filmowej.

Spośród wielu typów i rodzajów produkowanych tam środków bojowych szczególne miejsce zajmują granatniki pomysłu inż. Mieczysława Łopuskiego, przedwojennego konstruktora lotniczego. Broń odznaczała się niezwykle prostotą, którą wymuszały

ograniczenia w dostępności materiałów. Wykonana z rury wodociągowej o przekroju 8 cm lufa zaopatrzona była na jednym końcu w gwint, do którego przykręcano odpowiednio zmodyfikowane złącze stanowiące komorę nabojojową. Przed każdym strzałem należało najpierw umieścić pocisk (od wlotu lufy, a nie wylotu, jak w klasycznym granatniku czy moździerzu), następnie do komory nabojojowej wkładano materiał miotający – składający się z woreczka z chlorem potasu z domieszką cukru – i po jego uszczelnieniu złącze/ komorę przykręcano do lufy. Do zapłonu używano buteleczki z kwasem siarkowym, umieszczonej na zawiesz- sie; po przechyleniu kwas dostawał się przez otwór zapłonowy do wnętrza komory i przeżarłszy woreczek, stykał się z materiałem miotającym, powodując detonację i wyrzucenie pocisku z lufy. Amunicją były granaty



Fot. Muzeum Wojska Polskiego

► Tak zwana sidolówka – granat zaczepny konstrukcji Władysława Pankowskiego produkowany w konspiracji w latach 1942–1945



► Jeden z najważniejszych produktów „Jajczarni” – granatnik konstrukcji inż. Mieczysława Łopuskiego

w kształcie walca, wypełnione materiałem wybuchowym (takim samym jak w materiale miotającym) i metalowymi odłamkami, detonowane za pomocą szklanego zapalnika z kwasem, który pękał w momencie uderzenia. Ubrojenia granatu, tzn. włożenia zapalnika do jego wnętrza, dokonywano na stanowisku bojowym, bezpośrednio przed strzałem. Skorupa granatu zaopatrzona była w drewniane listwy, uszczelniające i jednocześnie stabilizujące pocisk w przewodzie lufy. Lufę osadzano na stalowej podstawie umożliwiającej zmianę kąta podniesienia i prowadzenie ognia stromotorowego, tak jak w moździerzach.

Prezentacji granatników dokonano 17 sierpnia; pomimo prostoty i pewnych niedoskonałości broń okazała się skuteczna. Potężne detonacje miotanych stromotorowo granatów powodowały popłoch wśród Niemców. Warto zacytować w tym miejscu relację Tadeusza Baczyńskiego „Damiana” z kwatermistrzostwa VII Obwodu AK „Obroża”: „Inżynier Łopuski przystąpił do wykonania prototypu. Obróbki maszynowej rur wodociągowych dokonywano na obrabiarkach Fabryki Dźwigów przy ulicy Emilii Plater 10. Fabryka ta należała do Graniowskiego. Próbę prototypu wykonano w obecności przedstawicieli Komendy Głównej Armii Krajowej. Ponieważ wynik był zadowalający, przystąpiono do seryjnej produkcji. Granatnik tego typu, pomysłu inżyniera Łopuskiego, wyrzucał po stromym torze pociski na odległość kilkuset metrów. Wybuchy tych pocisków wywoływały panikę wśród Niemców”. W toku użytkowania inż. Eugeniusz Żochowski, zastępujący inż. Łopuskiego (który został ranny podczas prac nad granatem zapalającym), dokonał modyfikacji broni. Wprowadził wymienne komory naboje, które zwiększyły szybkostrzelność, oraz zastosował bezpieczniejszy zapłon elektryczny w miejsce chemicznego. Wyprodukowano od 15 do 25 egzemplarzy tej broni (relacje nie są zgodne). Użyto ich w kilku miejscach, m.in. w walkach

o oba budynki PAST-y – na ul. Zielnej i Piękniej (wówczas Piusa XI).

Innym efektywnym orężem powstańczej konstrukcji były granatniki skonstruowane i używane w drużynie Jerzego Szustera „Jura” z batalionu „Ruczaj” w walkach na Śródmieściu. Lufa wykonana była z rury kotłowej, broń wyposażono w zamek, uchwyt i kolbę. Amunicję stanowiły pociski zapalające, odpalane za pomocą myśliwskich naboje. Granatniki te, zwane popularnie „działkami”, strzelały ogniem płaskotorowym, podobnie jak PIAT-y. W odróżnieniu jednak od angielskiego oryginału miały kilkakrotnie większy zasięg (kilkaset metrów).

Poza wymienionymi granatnikami skonstruowano jeszcze kilka innych, nie okazały się one jednak tak udane jak broń pomysłu inż. Łopuskiego czy pchor. „Jura”.

Nieczęsto się zdarza, aby zachowała się tak bogata dokumentacja powstańczej broni jak w przypadku granatni-

ków z „Jajczarni”. Dysponujemy całkiem dokładnymi relacjami o historii powstania tej konstrukcji i jej użytkowaniu, a jeden oryginalny egzemplarz eksponowany jest w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. W dodatku istnieje kilka ciekawych zdjęć z okresu walk. Poza tym cały proces przygotowania granatnika, celowania i wreszcie strzelania sfilmowany został na potrzeby powstańczej kroniki filmowej. 📸

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kirchohm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

► Powstańcy z kompanii z batalionu „Harnas” oglądają na podwórzu kamienicy brytyjski granatnik przeciwpancerny PIAT pochodzący ze zrzutu, sierpień 1944 roku

Fot. Eugeniusz Łokajski/Muzeum Powstania Warszawskiego



Orły Wojska Polskiego we wschodniej Rosji i na Syberii

Organizacja polskich formacji wojskowych na Syberii zaczęła się w 1917 roku, blisko rok przed kapitulacją I Korpusu Polskiego i bitwą kaniowską, która położyła kres istnieniu II Korpusu. Wstąpienie w szeregi tych formacji było dla wielu naszych rodaków najbardziej obiecującą szansą wydostania się z ogarniętej rewolucją Rosji. Z czasem, w miarę postępu organizacji i scalania oddziałów, trafiły one pod dowództwo naczelne oddalonej o tysiące kilometrów Armii Polskiej we Francji. Orły i barwy biało-czerwone znalazły się na ich mundurach praktycznie od początku.

Tomasz Zawistowski

Od XIX stulecia aż po okres I wojny światowej służbę w szeregach armii rosyjskiej pełniła znaczna liczba Polaków. Jakakolwiek forma manifestowania swego pochodzenia była im oczywiście surowo wzbroniona. Sytuacja ta uległa zmianie dopiero na skutek rewolucji lutowej/marcowej 1917 roku. W rewolucjonizującej się coraz bardziej armii, na całym terenie chwiejącego się imperium, powstawały Związki Wojskowych Polaków, zrzeszając

tych rodaków, którzy poczuli się do polskości bądź też widzieli w niej szansę na przyszłość.

W lipcu 1917 roku odbył się we Władywostoku zjazd przedstawicieli Związków Wojskowych Polaków Nadamurskiego Okręgu Wojskowego. W szóstym punkcie rezolucji zjaz-

du stwierdzono, że polscy żołnierze powinni odróżniać się od mundurów innych narodowości: „Pożądane jest noszenie przez wojskowych Polaków na piersi z lewej strony odznaki: na amarantowo-czerwono-białej rozetce białego jednogłowego orła nie większej wielkości niż moneta trzykopiówkowa” (czyli ok. 28 mm).



► Orzeł po Marianie Strzetelskim, oficerze 5. Dywizji Strzelców Polskich

Powstanie i rozwój wojska

Tak opisywał formowanie pierwszych oddziałów polskich na Syberii por. Feliks Jaworski, pełniący później służbę w 5. Dywizji Strzelców Polskich: „[...] długo już przed przybyciem na Syberię, utytułowaniem się i zorganizowaniem Dowództwa Wojsk Polskich we Wschodniej Rosji i na Syberii wojsko polskie tam było. Przedziwne ono powstawało, wyczarowywało się. W miejscowościach setki i tysiące kilometrów od siebie oddalonych, kto tylko żył i czuł się Polakiem, wpychał się w mundur, nalepiał na gimnastorkę, frencz lub kitel amaranty, częściej coś w rodzaju amarantów, wyfantazjowywał jakieś wszywki, galony, naszywki, przyczepiał na naprędce uszytą rogatywę, skleconą z furazki maciejówkę albo wprost na papachę orła polskiego – cóż to za różne i dziwaczne orły były – i tak stawał się żołnierzem polskim. Tak tworzyły się oddziały”.

Latem 1918 roku przybył do syberyjskiego miasta Ufa oficer II Brygady Legionów Polskich, mjr Walerian Czuma, mianowany przez gen. Józefa Hallera na stanowisko dowódcy Wojska Polskiego na Syberii. Pod jego dowództwem znalazły się Legion Semipałatyński, Legion Irkucki i inne jednostki polskie; rozpoczęto formowanie następnych, poczynając od 1. Syberyjskiego Pułku Strzelców im. Tadeusza Kościuszki. Organizacja kolejnych oddziałów polskich przebiegała w warunkach niebywale ciężkich, bo przez cały czas na froncie toczyły się walki z bolszewikami. Koncentracja przybywających grup i pojedynczych żołnierzy odbywała się początkowo w Bugurusłanie, a korpus czechosłowacki zgodnie z zawartą wcześniej umową zaopatrywał Polaków w zdobyczne, rosyjskiej produkcji uzbrojenie i umundurowanie. Od sierpnia 1918 do kwietnia 1919 roku utworzona została 5. Dywizja Strzelców Polskich na Syberii, licząca ponad 11 tys. żołnierzy w jednostkach piechoty, kawalerii, artylerii i w oddziałach pomocniczych. Większość jej składu osobowego stanowili Polacy z byłej



► Por. Piotr Wasilewski z 1. Pułku Strzelców im. Tadeusza Kościuszki 5. Dywizji Strzelców Polskich

Fot. ze zbiorów autora

c.k. armii, uwolnieni z rosyjskich obozów jenieckich. Od października 1918 roku garnizonem jej stał się Nowonikołajewsk (obecnie Nowosybirsk) nad Obem. Oddziały liniowe skupione były w dywizji pod komendą płk. Kazimierza Rumszy. Całością Wojska Polskiego we Wschodniej Rosji i na Syberii, podlegającego organizacyjnie dowództwu Armii Polskiej we Francji, dowodził płk Walerian Czuma.

Na blisko rok Nowonikołajewsk stał się miastem bez mała polskim. Najokazalsze budynki w mieście oddane zostały 5. Dywizji na pomieszczenia sztabów i urzędów wojskowych. Na wieżycze budynku szkoły, w której mieścił się sztab Dowództwa Wojsk Polskich, powiewała majestatycznie amarantowa chorągiew z białym orłem pośrodku. Na ulicach widać było tylko polskie mundury i pobrzmiwała

polska mowa. Rzymskokatolicki cmentarz w Nowonikołajewsku zapełniał się mogiłami żołnierzy poległych w kołczakowskiej ofensywie, w marszu ku Woldze od wschodu.

Rosyjskie orły i polskie mundury

W czasie początkowych walk ciekawa historia z orłem w tle przydarzyła się por. Józefowi Werobejowi, późniejszemu dowódcy 3. Batalionu 1. PSP i dowódcy straży tylnej 5. Dywizji, podczas ewakuacji: „Prowadząc różnokierunkowy zwiad i pościg plutonami, por. Werobej po dotarciu do Bunino miał przy sobie tylko czterech żołnierzy, których ustawił na posterunkach. Jeden z nich zatrzymał pędzącą w stronę Belebeju trójkę koni. Siedzący w saniach awanturował się, że śmiało go zatrzymać. Żołnierz nasz zmusił ►

► Por. Jackowski z 5. Dywizji Strzelców Polskich nosił na czapce biało-czerwoną wstążkę zamiast orzełka



Fot. ze zbiorów autora

go jednak, aby poszedł rozmówić się z naczalstwem. Gdy wszedł do izby, w której za stołem siedział por. Werobej, ten stereotypowo spytał go:

– Kto ty takoj?

– Ja czlen rewwojensowieta fronta!

– z poczuciem wagi swej funkcji odpowiedział przybyły, nie spodziewając się spotkać w tym miejscu nieprzyjaciela.

Por. Werobej wstał i niespodziewanym ruchem chwyciwszy za gardę szabli komisarza, wyrwał mu ją z pochwy i rzucił na ziemię, aż potoczyła się pod stół. Oślupiał komisarz nie zdążył

sięgnąć po swego nagana, gdy już był na muszce pistoletu por. Werobeja.

– Czto eto takoje? – zapytał zaskoczony.

Por. Werobej bez słowa pokazał mu orzełka na leżącej na stole swej maciejówce dowborczyka.

– Znaczit ja popał [ros. wpadłem] – wymamrotał komisarz”.

Nie mamy kompletu informacji o umundurowaniu pierwszych powstających oddziałów. Z relacji Tadeusza Marcolli, organizatora i adiutanta sztabu Legionu Irkuckiego, wiemy, że noszono rosyjskie mundury sukienne i granatowe czapki maciejówki z amarantowym otokiem i srebrnym orzeł-

kiem. Szarże oznaczano na rękawach za pomocą kątów – srebrnych u oficerów, białych u szeregowych – umieszczanych na amarantowej tarczy pod orzełkiem. Po wcieleniu Legionu Irkuckiego w skład Wojska Polskiego na Syberii zaprzestano naszywania orłów w tym miejscu, ale byli żołnierze legionu nosili je w ten sposób jeszcze przez pewien czas. W latach 1918 i 1919 niektórzy żołnierze 5. Dywizji naszywali na rękawy rosyjskich mundurów oznaki w postaci tarcz w barwach narodowych; zdarzały się również przypadki używania wstążek biało-czerwonych jako oznak czapkowych. Warto zauważyć, że w tym samym czasie i regionie identyczne, biało-czerwone wstążeczki nosili na swych czapkach żołnierze Korpusu Czechosłowackiego.

Legion Irkucki wcielony został do polskiej 5. Dywizji jako 3. Pułk Strzelców. W początkowym okresie żołnierze dywizji używali umundurowania rosyjskiego, później zaś japońskiego. Do czasu przybycia na Syberię mjr. Jarosława Okulicza-Kozaryna, delegata gen. Józefa Hallera, oznaki stopni wzorowane były na regulaminie byłego I Korpusu Polskiego.

Z chwilą przejścia od lutego 1919 roku na etat francuski w dywizji wprowadzono umundurowanie przewidziane dla wojsk Armii Polskiej we Francji, lecz barwy szarozielonej w miejsce błękitnej, włącznie z charakterystycznymi czapkami-rogatywkami oraz oznakami stopni.

Przemundurowywanie oddziałów było realizowane stopniowo i trwało jeszcze pod koniec roku 1919. W niełatwych warunkach zaopatrzenia wojennego trudno mówić o dokładnym egzekwowaniu rozkazów, w praktyce istniało od nich wiele wyjątków. Mundury zamawiane przez intendenturę z Władywostoku adaptowane były w pewnym zakresie do użytku w syberyjskich warunkach klimatycznych. Dlatego też oprócz czapek regulaminowych noszono wysokie czapy futrzane, a także rogatywki bez daszków o otokach obszytych barankowym futrem. Na czapkach z koziej skóry małe, blaszane orzełki ginęły pośród kudłów.



Fot. ze zbiorów autora

► Naramiennik żołnierza 5. Dywizji z wczesnego okresu jej istnienia; nałożony orzeł odłany jest ze stopu ołowiu

Na wszystkich rodzajach czapek noszone były orły metalowe różnych typów: tak pochodzące z Korpusów Polskich na Wschodzie, jak i legionowe, pewną bowiem część żołnierzy dywizji stanowili byli legionści wcieleni do armii austriackiej. Rzecz jasna, godeł było za mało, w związku z czym została uruchomiona lokalna produkcja mająca uzupełnić braki. Powstał wówczas nowy, oryginalny wzór orła z napisem „ZA OJCZYZNĘ I WOLNOŚĆ” i literami „W P S”, oznaczającymi zapewne Wojsko Polskie na Syberii. Wyprodukowano przynajmniej dwie jego odmiany. Biorąc pod uwagę istnienie w strukturach 5. Dywizji bardzo sprawnego Batalionu Inżynieryjnego, który dzięki doskonałej kadrze utworzył między innymi ruchome warsztaty mechaniczne, podejrzewać można, że orły produkowane były własnym przemysłem. Na hełmach typu francuskiego, używanych przez żołnierzy szczególnie znienawidzonego przez bolszewików Batalionu Szturmowego, malowano duże, białe orły na tarczach amazonek.

Na wzór umundurowania Armii Polskiej we Francji nakazano umieszczenie orłów na amarantowych podkładkach również na naramiennikach. Do rozkazu tego zastosowała się jedynie część żołnierzy, jednakże w odróżnieniu od godeł haftowanych, jakie noszono na naramiennikach we Francji, na Syberii w użyciu były głównie orły metalowe.

Rozbicie 5. Dywizji i powrót do Polski

Wobec niepowodzenia wiosennej ofensywy wojsk syberyjskich Aleksandra Kołczaka (1919), zwanego złośliwie admirałem bez floty, i wyparcia ich przez bolszewików z europejskiej czę-

ści Rosji, projekt powrotu do Polski drogą lądową na zachód stał się niemożliwy do zrealizowania. W tej sytuacji pod koniec 1919 roku rozpoczęto ewakuację oddziałów na Daleki Wschód, wybierając okrężną drogę kolejową i morską. Bezpieczeństwo linii transsyberyjskiej stało się zadaniem priorytetowym. Wyruszywszy z Nowonikołajewska, 5. Dywizja ochraniała ją, prowadziła walki tak z lokalnymi partyzantami, jak i z regularnymi oddziałami bolszewickimi, a jednocześnie stanowiła straż tylną wojsk czechosłowackich i kołczakowskich. Czterdziestopięcioletni mróz dodatkowo utrudniał i tak niełatwe zadanie. Współpraca z oddziałami w zasadzie sojuszniczymi pozostawiała wiele do życzenia; Czesi, wycofując się nazbyt wolno, blokowali drogę, a przypadki przechodzenia całych pułków kołczakowskich na stronę bolszewików były coraz częstsze. Zdradzili również i przeszli na stronę wroga żołnierze noszący na czapkach emblemat w postaci złotej Pogoni, należący do sformowanego w strukturach polskiej dywizji batalionu litewskiego. Najcięższe bodaj walki stoczone zostały 23 grudnia 1919 roku na stacji kolejowej Tajga, gdzie krwawo odparte oddziały nieprzyjaciela powstrzymały na pewien czas swój marsz. Niemniej już niebawem, na skutek wybuchu czerwonego powstania w Krasnojarsku, transporty 5. Dywizji utknęły na stacji kolejowej Klukwiennaja. Czesi, których

transporty blokowały linię, odmówili jakiegokolwiek współpracy, odmówili nawet ostatniej prośbie płk. Czumy o przepuszczenie transportu rannych, kobiet i dzieci. Wobec niemożności kontynuowania walki i ewakuacji dywizja zmuszona została do kapitulacji przed bolszewikami na stacji kolejowej Klukwiennaja 10 stycznia 1920 roku. Niecały tysiąc żołnierzy wraz z dowódcą dywizji, płk. Rumszą, przedarł się przez kordon i dotarłszy do Charbina (obecnie Harbin) w Mandżurii, powrócił po długiej morskiej podróży do Gdańska, wpływając do portu na statku Jaroslavl 1 lipca 1920 roku. Przyjąwszy uzupełnienia, wyruszyli oni na front jako Brygada Syberyjska, wcielona do 5. Armii gen. Władysława Sikorskiego, by wziąć czynny udział w kontrofensywie i pościgu za bolszewikami aż do granicy Prus Wschodnich.

Żołnierze polscy – a wśród nich zarówno rozbitkowie 5. Dywizji, jak i pełniący służbę w oddziałach pomocniczych i polskich punktach etapowych – którzy przedarli się do Mandżurii, otrzymali nowe umundurowanie barwy błękitnej według wzoru obowiązującego w Armii Polskiej we Francji i w nim powrócili do kraju.

Dalsze 9 tys. byłych żołnierzy 5. Dywizji dotarło do Polski z niewoli sowieckiej w latach 1920–1922. 🇵🇱

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*



Największa polska bitwa I wojny światowej

Tomasz Stańczyk

Ta nazwa miała zniknąć ze świadomości historycznej Polaków. W lipcu 1916 roku pod Kostiuchówką, znaną także jako Kościuchnówka, oddziały Legionów Polskich stoczyły najkrwawszy w swojej historii, ciężki, trzydniowy bój. Była to zarazem największa polska bitwa podczas I wojny światowej.

W tradycji ludowego Wojska Polskiego nie było miejsca na pamięć o legionowych bojach i o Józefie Piłsudskim jako dowódcy wchodzącej w skład armii Austro-Węgier I Brygady. Poza tym Kostiuchnówka znajdowała się na Wołyniu, a więc była odgradzona od Polski Ludowej żelazną kurtyną granicy wschodniej. Miejsce bitwy i cmentarze poległych legionistów nie mogły być odwiedzane przez Polaków z kraju.

Piłsudski pisał w rozkazie z 11 lipca 1916 roku: „Żołnierze! Najcięższe z dotychczasowych naszych bojów przeżyliśmy w dniach ostatnich. Ogień artylerii z nieznaną nam dotąd potęgą, szalejący na naszych okopach, masowe ataki nieprzyjaciela, przebijanie się bagnetem przez piechotę wroga, masowe również szarże kawalerii rosyjskiej, wreszcie odwrót w nadzwyczajnie ciężkich warunkach – oto cośmy przeszli w ciągu kilku dni. Pomimo krwawych i ciężkich ofiar, któreśmy złożyli, cofnęliśmy się z każdorazowej pozycji jedynie wtedy, gdyśmy byli prawie otoczeni; schodziliśmy zawsze ostat-

ni z pola, przeciwstawiając wszędzie na naszym froncie nowy opór przemocy”.

Rosyjski atak na pozycje I i III Brygady między Optową a Kostiuchnówką, który nastąpił 4 lipca 1916 roku, rozpoczął się od huraganowego ostrzału artyleryjskiego. „W ciężkiej kurzawie błyskały jeno raz w raz języki ognia, a dym włókł się ociężale, szary i siny. Powietrze stało się ciężkie, smrodliwe, dym wżera się w piersi, gryzący, ostry, drażniący, oczy przestają widzieć, uszy słyszeć [...] wokół roznosił się istny szal ognia. Nie widać okopów, nie widać drutów, nie widać ludzi, nie widać nic” – wspominał uczestnik bitwy Wacław Lipiński w książce *Szlakiem I Brygady*.

Felicjan Sławoj Składkowski, wówczas lekarz batalionowy, tak opisał w książce *Moja służba w Brygadzie* skutki ostrzału: „W dole piachu, wyrwanym przez granat, leży na kupie dziewięciu żołnierzy, z których zdaje się, sześciu jest rannych, a trzech zabitych. Rany straszne, szarpane, spod porwanych strzępów mundurów dymi żywe ciało. Nogi niektórych rannych, urwane prawie zupełnie, trzymają się na płacie skóry i skrawku sukna spodni, wyrzucone daleko na głowy swych nieszczęśliwych właścicieli [...]. Jest to kłębowisko zmasakrowanych ciał, bólu i rozpacz”.

Bitwa była ciągiem odpieranych ataków rosyjskich, polskich kontrataków na utracone pozycje i krwawych zmagani odwrotowych. Oddajmy jeszcze raz głos Wacławowi Lipińskiemu:

► Delegacja Związku Legionistów przy pomniku legionistów w Kostiuchnówce, fotografia z okresu międzywojennego



8. kompanii pułku dowodzonego przez Leona Berbeckiego i odparcie przez bataliony mjr. Albina Fleszara zmasowanej szarży kawalerii rosyjskiej. W rozkazie Piłsudski wyróżnił też kierującego ogniem artylerii mjr. Ottokara Brzozę-Brzezinę, Czecha z pochodzenia. Oficerowi temu Jan Lechoń poświęcił wiersz *Polonez artyleryjski*:

Słyszycie! Z cicha, z cicha, z cicha
Warkotem, bez ustania
Na miły Bogi! Czy ziemia wzdycha?
Pułk się za pułkiem w śmierć przepycha

.....
To artyleria nasza licha
Dziś puka od świtania
Ani się pyta kto dziś z nami,
Bateria wścieklej stali
To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali!

Oddziały legionowe poniosły ciężkie straty: dwa tysiące zabitych, rannych, wziętych do niewoli, zaginionych. Największe straty zanotował 5. pułk: zabitych trzydziestu oficerów i pięciuset żołnierzy. Historyk wojskowości Mieczysław Wrzosek pisze, że odejście formacji legionowych odbywało się pod naciskiem przeciwnika, ale w twardej walce i bez objawów paniki. Ta postawa zyskała uznanie niemieckich wojskowych. W dziesięć dni po bitwie gen. Erich Ludendorff pisał: „Wzrok mój znów zwraca się na Polskę. Polak to dobry żołnierz [...]. Trzeba zrobić Wielkie Księstwo Polskie z Warszawą i Lublinem, a następnie armię polską pod niemieckim dowództwem”.

W okresie międzywojennym Wołyń leżał w granicach państwa polskiego. W latach trzydziestych XX wieku rozpoczęto na poboju pod Kostiuchnówką prace zmierzające do utworzenia skansenu historycznego. Zaczęto sypać kopiec Chwały Legionów. Odnowione zostały okopy, ustawiono tabliczki informacyjne. Bazaltowe Słupy Pamięci znaczyły miejsca obecności Józefa Piłsudskiego na polu bitwy pod Kostiuchnówką. Słupy te po wojnie poprzewracano i starano się zniszczyć. Dziś znów stoją w Polskim Lasku i na Reducie Piłsudskiego w Lasku Saperskim.

Ludzie dewastowali cmentarze i kwatery legionowe. Zarastały, były pozbawiane krzyży i betonowych ram, traktowanych jako materiał budowlany. Począwszy od 1998 roku, harcerze z hufca ZHP ze Zgierza, a później także z innych miast, m.in. Łodzi i Legionowa, wspierani finansowo przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, zajęli się →

► Legioniści w okopach na pozycjach strzeleckich pod Kostiuchnówką w 1916 roku

„Rwie wszystko na mostek. Jedy-
na droga odwrotu, jedyny cel. Wokół
zielone, grząskie bagno. Na mostku
krzyk straszliwy. Tam w mig, pioru-
nem powybijano kolbami, porozdziera-
no bagnetami żołdatów, co już zaszedłszy
z boku, zastąpili drogę. Lecz cofać się dalej
nie można. Zatrzymać trzeba tłum, co wali
na nas w zbitej gromadzie, w oszołomie-
niu, żałośnie jęcząc w trzasku ognia swoje
»urra!« [...]. Powietrze napęlnia nieustanny,
wysoki jazgot, trzask piekielny pękających
ekrazytówek”.

W kontrataku na bagnety, by umożli-
wić odwrót żołnierzy do Polskiego Lasku,
ginie kpt. Stanisław Sław-Zwierzynski,
dowódca 1. batalionu 5. pułku. Do naj-
sławniejszych czynów trzydniowych
bojów Piłsudski zaliczył kontratak

► „Legionista” – rzeźba dłuta
artysty rzeźbiarza Włodzimierza
Koniecznego, należąca do
marsz. Józefa Piłsudskiego

z inspiracji zgierskiego nauczyciela historii Władysława Barańskiego i przy pomocy miejscowej ludności – ustawianiem Słupów Pamięci i remontem cmentarza w Polskim Lasku pod Kostiuchnowką oraz nieodległej Brackiej Mogiły, a także cmentarzy i kwater w Koszyszach, Wołczecku i Jeziornie. Spoczywają na nich w znakomitej większości żołnierze polegli na Wołyniu jeszcze jesienią 1915 roku, m.in. w walkach pod Kamieniuchą i Kuklami, a także w listopadzie tamtego roku w pierwszej bitwie pod Kostiuchnowką o wzgórze nazwane potem Polską Górą. Spośród poległych pod Kostiuchnowką w lipcowej bitwie 1916 roku – jak pisze Adam Rafał Kaczyński, autor książki *Cmentarze legionowe na Wołyniu*, a zarazem uczestnik ich odbudowy – prawie nikt bowiem nie ma swego grobu. Ostrzał artyleryjski sprawił, że wielu zostało na zawsze pogrzebanych w zasypanych okopach i ziemiankach, inni zaś potopili się podczas odwrotu w bagnach.

Jednym z poległych był artysta rzeźbiarz, absolwent krakowskiej ASP, por. Włodzimierz Konieczny, autor niewielkiej statuetki piechura. Był to prezent imieninowy dla Piłsudskiego, wręczony mu 19 marca 1916 roku. Według tego wzoru – a była to propozycja samego Marszałka – powstał potem pomnik Czynu Legionów w Radomiu. Odsłonięty w 1930 roku, zniszczony przez Niemców, został odtworzony w 1998 roku.

Z inicjatywy łódzkiej chórągi ZHP i przy wsparciu władz województwa łódzkiego w 2011 roku w Kostiuchnowce – dziś leżącej w granicach państwa ukraińskiego – otwarto Centrum Dialogu. Znalazło się ono w budynku, który wykorzystał mury szkoły ufundowanej w latach trzydziestych ubiegłego wieku ze składek żołnierzy Legionów. ■

Tomasz Stańczyk – dziennikarz zajmujący się tematyką historyczną, głównie dziejami Polski w XX wieku



► Słup Pamięci i cmentarz żołnierzy polskich w Polskim Lasku pod Kostiuchnowką

Z pomocą DNA

Milena Bykowska, Andrzej Ossowski

Dzięki nowoczesnym metodom łatwiej dziś ustalić tożsamość ofiar II wojny światowej.

Lata 1939–1945 to okres masowych zbrodni na ludności cywilnej i niewyobrażalnych strat wśród żołnierzy. W całej Europie wciąż odnajdywane są szczątki ofiar, których tożsamość pozostaje nieznaną. Najistotniejszą rolę w identyfikacji poległych i zamordowanych Polaków odegrał Polski Czerwony Krzyż. Zgromadzone i zabezpieczone przez pracowników PCK depozyty ofiar (np. książeczki wojskowe, nieśmiertelniki i obrączki z wygrawerowanymi napisami) w wielu wypadkach umożliwiły ustalenie tożsamości ofiar. Większość ekshumowanych ciał pozostała jednak niezidentyfikowana.

Do przełomu w metodach poszukiwania i identyfikacji ofiar II wojny światowej przyczynił się ogromny rozwój technologiczny w biologii molekularnej, jaki dokonał się w ostatnich dwudziestu latach. Wykorzystano również dorobek zespołów, które w ostatnich dziesięcioleciach prowadziły na niespotykaną wcześniej skalę identyfikację ofiar rozmaitych konfliktów zbrojnych, ataków terrorystycznych i masowych katastrof z przełomu XX i XXI wieku. Warto zaznaczyć, że zespoły te powoływano także pod wpływem presji społecznej, wywieranej na władze państwowe i międzynarodowe instytucje. Dziś badania genetyczne umożliwiają identyfikację ofiar sprzed kilkudziesięciu, a nawet tysięcy lat.

W skład zespołów poszukiwawczo-identyfikacyjnych wchodzi historycy, archeolodzy, antropolodzy, odontolodzy, kryminolodzy, lekarze sądowi oraz genetycy, którzy swoje zadania wykonują w kilku etapach. Najpierw prowadzą badania historyczne, potem – po odpowiednim przygotowaniu – prace poszukiwawcze i ekshumacyjne, wreszcie badania, które mają doprowadzić do identyfikacji ofiar. Nad całością prac poszukiwawczo-ekshumacyjnych czuwa koordynator procesu



Fot. M. Kuś

► Specjalista podczas badań antropologicznych

identyfikacyjnego, który jest odpowiedzialny za dobór metod poszukiwawczych, ekshumacyjnych oraz identyfikacyjnych.

Badania historyczne

Jako pierwsi do pracy przystępują historycy. Zapoznając się z przebiegiem walk na danym terenie, są w stanie wstępnie zlokalizować miejsca pochówku ofiar. Często jednak studia takie nie wystarczają do określenia dokładnego obszaru badań ekshumacyjnych. Konieczna okazuje się także analiza dokumentów znajdujących się w zasobach archiwalnych, czyli w archiwach państwowych, Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie, zbiorach Polskiego Czerwonego Krzyża czy Instytutu Pamięci Narodowej. Ogromne znaczenie mają również materiały zgromadzone w archiwach niemieckich (Deutsche Dienststelle w Berlinie, Volksbund Deutsche Kriegsgräberfürsorge e.V. w Kassel, Deutsches Rotes Kreuz w Monachium oraz Bundesarchiv we Fryburgu i Koblencji), rosyjskich (Centralne Archiwum Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej) i amerykańskich (National Archives and Records Administration). Akta znajdujące się we wspomnianych archiwach pozwalają na zawężenie pola poszukiwań, tak aby przy użyciu detektorów metalu i georadarów można było już dokładnie określić miejsce pochówku. Często dzięki zawartym w tych aktach informacjom możliwa jest nawet identyfikacja ofiar; wówczas badania DNA służą jedynie do potwierdzenia tożsamości ekshumowanych osób.

Nie bez znaczenia są również relacje świadków, zwłaszcza gdy brakuje dokumentów dotyczących wydarzeń związanych ze śmiercią poszukiwanych osób.

Przygotowanie prac poszukiwawczo-ekshumacyjnych

Na początku drugiego etapu na miejsce prac ekshumacyjnych przybywa zespół badawczy, by już tam określić, w jaki sposób zostaną przeprowadzone prace poszukiwawcze, a przede wszystkim by porównać informacje zawarte w dokumentach z materiałami topograficznymi, zdjęciami satelitarnymi i lotniczymi. Dziś jest już oczywiste, że urządzenia GPS stały



Fot. M. Kuś

► Przykładowy dokument przedstawiający lokalizację grobów wojennych żołnierzy Armii Czerwonej

Fot. M. Kus

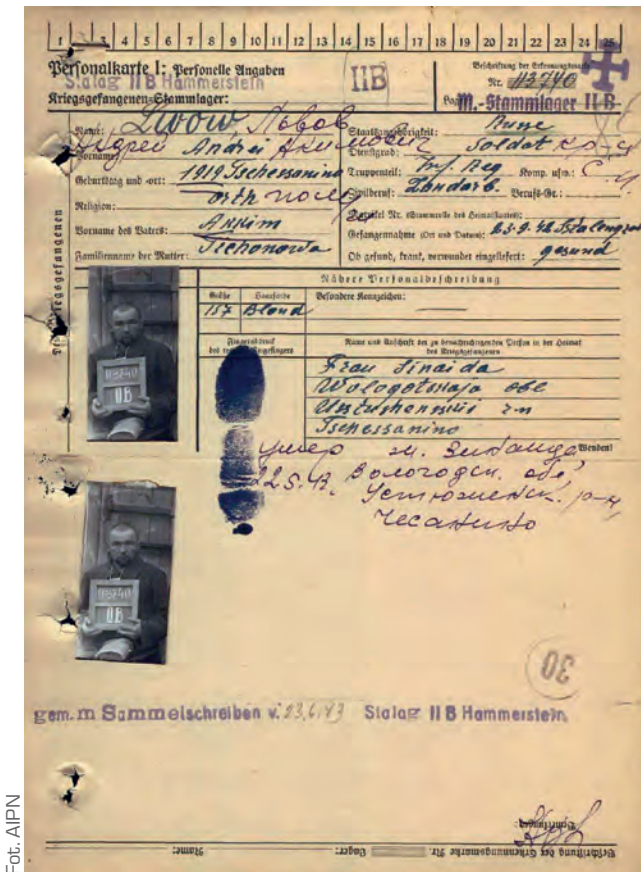


▶ Próbk DNA w statywie magnetycznym podczas izolacji DNA

Fot. M. Kus



▶ Izolacja DNA jądrowego metodą PrepFiler (Applied Biostems, USA)



Fot. AIPN

▶ Karta jeniecka pochodząca z dokumentacji niemieckiego obozu dla jeńców wojennych Stalag IIB Hammerstein; jeńiec Andriej Lwow, ekshumowany w m. Linowo, zidentyfikowany na podstawie badań DNA (CAMO)

się niezbędne do precyzyjnej weryfikacji danych kartograficznych oraz informacji pochodzących ze zdjęć lotniczych. Wreszcie prowadzenie prac ekshumacyjnych nie jest możliwe bez załatwienia różnych formalności i odpowiednich zezwoleń jako ważnych elementów logistyki całego przedsięwzięcia. Nad tym wszystkim oraz nad zapewnieniem niezbędnego sprzętu czuwa koordynator bądź zespół koordynatorów, jeśli jest to konieczne.

Prace poszukiwawcze i ekshumacyjne

Prace poszukiwawczo-ekshumacyjne to proces wyjątkowo rozbudowany, którego tryb postępowania zależy od liczby poszukiwanych szczątków, miejsca oraz rodzaju pochówku. Wykorzystuje się do tego: **SIR-3000** (GSSI, USA) – urządzenie georadarowe (odbite fale odbierane są przez antenę odbiorczą, a zebrane informacje są przedstawiane w formie graficznej) stosowane w medycynie sądowej, kryminalistyce i archeologii; **detektory metalu**, służące do poszukiwania przedmiotów metalowych należących do ofiar, broni, łusek i pocisków; **sondę Foerstera**, czyli urządzenie magneto-metryczne, służące do zlokalizowania szczątków, przy których znajdują się przedmioty wykonane z ferromagnetyków; **koparki**, bo są one niezbędne do zdjęcia wierzchniej warstwy ziemi (dalsze prace odbywają się ręcznie z zachowaniem procedur archeologicznych); **sita i pompy szlamowe**, gdy konieczne jest odfiltrowanie znalezisk.

Identyfikacja ofiar

Ostatni, czwarty etap badań rozpoczyna się od analizy antropologicznej odkrytych szczątków ludzkich. Sporządza się więc „protokół identyfikacyjny ofiary” oparty na **protokołach DVI** (*Disaster Victim Identification*), standardowo stosowanych w identyfikacji osobniczej ofiar masowych katastrof. Podczas tych badań ustalane są płeć, wzrost, wiek, cechy szczególne osobnika, opisywane są także obrażenia widoczne na szkielecie oraz przedmioty kultury materialnej.

Badania kryminalistyczne polegają na zabezpieczeniu i opisaniu rzeczy osobistych, przedmiotów kultury materialnej, dokumentów i znaków tożsamości.

W przypadku odnalezienia szczątków szkieletowych materiał do **badania genetycznych** DNA musi zostać natychmiast zabezpieczony. Nie można doprowadzić do wyschnięcia próbek kości. Pobierane zostają zęby i paliczki, jednak najlepszy materiał do badań genetycznych stanowią kości udowe lub piszczelowe. Aby zachować wszelkie środki ostrożności podczas pobierania materiału, używa się jednorazowych rękawiczek i sterylnych opakowań. Pobrany w ten sposób materiał przekazuje się do pracowni DNA, gdzie zostaje zamrożony.

Najlepszy **materiał porównawczy** do badań pochodzi od rodziców lub dzieci osoby N.N., a w dalszej kolejności – od rodzeństwa i dziadków. Dalsze stopnie pokrewieństwa są mało przydatne. Przy zastosowaniu badania tzw. DNA mitochondrialnego materiał do badań możemy pobrać od dalekich krewnych

w linii matczynej. Jednak wyniki badań DNA mitochondrialnego nie są tak miarodajne jak DNA jądrowego. Pokrewieństwo można również analizować w linii męskiej z zastosowaniem markerów Y-STR. Przyjmuje się, że od im większej liczby bliskich krewnych pochodzi materiał porównawczy, tym lepiej.

Badanie DNA należy poprzedzić wstępną obróbką materiału biologicznego. W przypadku szczątków szkieletowych należy skruszyć pobrane próbki kości lub zębów poprzez zamrożenie w ciekłym azocie, a następnie zmiążdżenie w specjalnym młynie kriogenicznym. Kolejny etap stanowi izolacja DNA, a następnie jego amplifikacja, czyli namnażanie z markerami genetycznymi. Przygotowany preparat jest analizowany w urządzeniach nazywanych analizatorami genetycznymi. Takie postępowanie pozwala na uzyskanie profilu DNA osoby N.N. Na profil genetyczny składa się analiza od kilku do kilkudziesięciu markerów DNA.

Dla **porównania profili DNA jądrowego** istotne jest to, że każdy człowiek dziedziczy 50 proc. DNA od matki i 50 proc. DNA od ojca. Rzadko zdarzają się mutacje DNA i inne mechanizmy genetyczne, co też trzeba jednak brać pod uwagę. W miarę wzrostu liczby miejsc, w których DNA zostaje przebadany, wzrasta stopień dyskryminacji. Badania DNA mitochondrialnego polegają na porównaniu zsekwencjonowanych fragmentów mtDNA z sekwencjami pochodzącymi od domniemanych krewnych w linii matczynej. Natomiast badanie tzw. DNA jądrowego markerami zlokalizowanymi na chromosomie męskim Y daje nam możliwość porównywania osób w linii męskiej w rodzinie.

W przypadku ofiar II wojny światowej badania DNA wykonuje się tylko wtedy, gdy istnieją silne przesłanki archiwalne, historyczne i antropologiczne, a przede wszystkim profile DNA blisko spokrewnionych członków rodziny. W banku DNA przechowuje się zamrożony materiał uzyskany w czasie prac ekshumacyjnych, ponieważ rozwój metod identyfikacyjnych daje tak ogromne możliwości, że nie można wykluczyć możliwości identyfikacji ofiar dzięki bazie genetycznej profili DNA, dziś powszechnie stosowanych w sprawach karnych na całym świecie.



Fot. A. Ossowski

► Żołnierze polscy, radzieccy i niemieccy pochowani we wspólnej mogile w Rożnowie Łobeskim (woj. zachodniopomorskie)

GENETYKA W PRAKTYCE

Nie zawsze zastosowanie badań DNA umożliwiła ostateczną weryfikację tożsamości ofiar. Elementem niezbędnym do przeprowadzenia takich badań jest posiadanie materiału porównawczego, np. profilu DNA żyjących członków rodziny lub profilu DNA pochodzącego z rzeczy osobistych osoby identyfikowanej. Dzięki tego rodzaju badaniu udało się potwierdzić tożsamość **zamordowanego w Katyniu kpt. Ludwika Szymańskiego**, którego czaszka przechowywana była w Zakładzie Medycyny Sądowej w Kopenhadze. Analogiczne badania przeprowadzone zostały po ekshumacji **rosyjskich jeńców wojennych** odnalezionych w Linownie (woj. zachodniopomorskie). W mogile znajdowały się szczątki dziesięciu mężczyzn, zmarłych w latach 1941–1943 w lokalnym majątku rolnym. Badania genetyczne pozwoliły ustalić profile genetyczne całej dziesiątki. Znalezione jenieckie znaki tożsamości umożliwiły identyfikację ośmiu z nich. Tożsamość jednego jeńca zweryfikowano na podstawie dokumentacji przekazanej przez Centralne Archiwum Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej (CAMO). W dwóch przypadkach, w których odnalezienie żyjących członków rodzin było możliwe, tożsamość ofiar potwierdzono poprzez badania genetyczne. Podobny schemat postępowania miał miejsce w przypadku weryfikacji tożsamości trzech **żołnierzy Bojowego Oddziału Armii**, których szczątki zostały ekshumowane w 2009 roku na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie. Udało się ustalić profile genetyczne wszystkich ekshumowanych, jednak nie odnaleziono rodzin, od których można było pobrać materiał porównawczy.



Fot. A. Ossowski

► Czaszka Ludwika Szymańskiego zamordowanego w Katyniu

Stworzenie bazy genetycznej ofiar systemów totalitarnych w Polsce umożliwiłoby identyfikację znacznej części szczątków znajdujących się na obszarze całego kraju. Baza ta stałaby się bardzo szybko jednym z największych tego typu zbiorów na świecie, ale też wiązałoby się to z gigantycznymi kosztami. Gdy jednak analizujemy tematykę baz i identyfikacji osobniczej, nasuwa się rozwiązanie pośrednie. Można bowiem gromadzić materiał ekshumacyjny, zabezpieczać go we właściwy sposób, aby w przyszłości podjąć badania porównawcze DNA po wykonaniu wstępnych badań identyfikacyjnych, które doprowadzą do wstępnego typowania. To samo można zrobić z materiałem porównawczym: nie musimy na tym etapie ustalać profili genetycznych osób spokrewnionych z ofiarami, wystarczy zgromadzić materiał biologiczny do późniejszych badań porównawczych DNA. 📌

Autorzy są członkami zespołu powołanego w ramach projektu centralnego IPN: „Poszukiwania miejsc pochówków ofiar terroru komunistycznego lat 1944–1956”

Milena Bykowska – pracownik OBEP IPN w Szczecinie, zajmuje się powojenną konspiracją antykomunistyczną

dr Andrzej Ossowski – specjalista IPN w dziedzinie poszukiwań i identyfikacji ofiar zbrodni systemów totalitarnych, pracownik Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, ekspert z dziedziny genetyki i antropologii sądowej, kryminalistyki i nauk pokrewnych, twórca zespołu zajmującego się procesem poszukiwawczo-identyfikacyjnym, współpracującego z organami ścigania w całym kraju

Cykl: Historia na planszy

Od Kijowa po Warszawę, czyli cała wojna w jednym pudełku

Wojna polsko-bolszewicka i bitwa warszawska w 1920 roku to wydarzenia niezwykle ciekawe, nie tylko z politycznego, lecz także militarnego punktu widzenia. Nie dziwi zatem, że znajdują odzwierciedlenie również w grach planszowych.

Wśród wielu gier planszowych, które w ostatnich latach cieszą się w Polsce rosnącą popularnością, najdłuższą tradycję mają gry wojenne. Obecne są na polskim rynku od końca lat osiemdziesiątych XX wieku i mają stałe grono odbiorców. *Orzeł i gwiazda* nie jest pierwszą grą wojenną odtwarzającą przebieg zmagania Rzeczypospolitej Polskiej z Rosją bolszewicką. W 1995 roku nakładem wydawnictwa ENCORE ukazała się gra *Rok 1920* autorstwa Jarosława Flisa. Była to klasyczna gra strategiczna, w której gracze dysponowali żetonami, reprezentującymi jednostki wojskowe na planszy podzielonej na heksagonalne pola.

W 2009 roku z tym samym tematem zmierzył się Robert Żak, proponując grę strategiczną typu *card-driven*, czyli pozwalającą na wykorzystanie przez graczy talii kart. Jednostki wojskowe – reprezentowane przez drewniane bloczki z naklejkami zawierającymi informacje o rodzaju broni, sile i nazwie oddziału – przesuwane są po dużej planszy, która przedstawia uproszczoną mapę centralnej Polski i Kresów. Autorzy zastosowali również

system *point-to-point*, w którym poszczególne miejscowości oznaczone są okręgami połączonymi liniami symbolizującymi drogi i tory kolejowe. To po tych liniach poruszają się bloczki jednostek w czasie gry. Minusem planszy jest niezgodne z położeniem geograficznym umieszczenie niektórych miejscowości. Szkoda, bo wierniejsze usytuowanie miejscowości pozwoliłoby graczom na lepsze poznanie geografii Kresów Rzeczypospolitej. Pewne wątpliwości budzi także rozmieszczenie rzek i pominięcie terenów na zachód od Rzeszowa.

Z pozoru zasady gry w *Orle i gwiazdę* wydają się skomplikowane. Wrażenie to wzmacnia niezbyt czytelna instrukcja. W rzeczywistości dość szybko system okazuje się intuicyjny i przyjazny. Sama rozgrywka, chociaż wciągająca i dynamiczna, wymaga sporo czasu. Najbardziej ekscytujące jest rozegranie całej kampanii – od „wyprawy kijowskiej” po październik 1920 roku. Może to jednak zająć nawet 8–12 godzin! Mniejsze scenariusze zawarte w grze, takie jak „Ofensywa Tuchaczewskiego” czy „Cud nad Wisłą”, wymagają 2–4 godzin.

W *Orle i gwiazdę* grać może od dwóch do czterech osób. Każda ze stron konfliktu dysponuje własną talią, składającą się z 55 kart, które nawiązują do wydarzeń z okresu wojny polsko-bolszewickiej. W każdej turze (odpowiadającej mniej więcej jednemu miesiącowi) gracze dobierają po sześć kart dla każdego z frontów. Możliwości zastosowania kart są wielorakie. Mogą odzwierciedlać np. działania polityczne, sukcesy wywiadu czy też pracę służb kwatermistrzowskich. Odpowiednie wykorzystanie „wydarzeń” może całkowicie zmienić przebieg rozgrywki. Gracz zmuszony jest jednak rozważnie planować posunięcia, ponieważ sześć kart przypadających na każdy z do-



wodzonych przezeń frontów to zdecydowanie za mało, by mógł pozwolić sobie na ich lekkomyślną utratę. Braki w zaopatrzeniu, problemy z łącznością czy dyscypliną oddziałów często utrudniają przeprowadzenie operacji zakrojonych na większą skalę.

Doskonale sprawdza się także obowiązujący w grze system wydawania rozkazów za pomocą zakrytych dla oczu przeciwnika żetonów. Aż do momentu realizacji posunięć wydane przez graczy rozkazy pozostają dla przeciwnika tajemnicą. W rezultacie w fazie akcji nad planszą toczy się gra nerwów, w której zwycięży ten, kto zmyli przeciwnika, zamaskuje własne i przewodzi wrogie zamiary. Przy rozstrzygnięciu starć do minimum ograniczono wpływ czynnika losowego (nie ma tu często stosowanego w grach wojennych rzutu kostką). O wyniku potyczek w większej mierze decyduje dobra organizacja operacji i umiejętność przewidywania.

Orzeł i gwiazda zapewnia nie tylko dużo zabawy, ale także uzmysławia, jak skomplikowanym zadaniem jest prowadzenie kampanii wojennej oraz jak wiele czynników politycznych i ekonomicznych może wpłynąć na jej przebieg. Kilkakrotnie rozegranie i poznanie talii obu stron konfliktu pozwala uzyskać rozeznanie w najważniejszych aspektach wojny polsko-bolszewickiej i niewątpliwie zachęci gracza do poszerzenia wiedzy. Tu niestety ujawnia się kolejny mankament instrukcji, jakim jest brak opisu historycznego i choćby podstawowej bibliografii. Wiele do życzenia pozostawia także poziom wydawniczy gry. Jakość żetonów, blozków jednostek, a nawet planszy, odbiega od współczesnych standardów. Ze względu na długość rozgrywki trudno też myśleć o zastosowaniu *Orla i gwiazdy* w edukacji szkolnej. Jest to jednak dobra propozycja dla uczniów zainteresowanych wojskowością, rozwijających swoje hobby w ramach kółek tematycznych.

Orzeł i gwiazda została wyróżniona tytułem „Planszowej gry wojennej roku 2009” w plebiscycie czytelników serwisu ploter.pl. Tematyka i mechanika gry zainteresowały wydawców amerykańskich. Z pewnymi modyfikacjami w stosunku do oryginału i z nową szatą graficzną gra została wydana pod tytułem *Strike of the Eagle (Atak Orła)* przez Academy Games – jednego ze znanych wydawców gier wojennych w USA. Również na tym rynku zdobyła wyróżnienie – tytuł najlepszej historycznej gry planszowej w 2012 roku, przyznany przez Stowarzyszenie Wytwórców Gier GAMMA.

Przejrzyste, oryginalne i dynamiczne zasady czynią *Orla i gwiazdę* jedną z ciekawszych gier wojennych dostępnych na naszym rynku. Z jej rozegraniami powinny poradzić sobie także osoby, które dotąd z tego rodzaju grami nie miały styczności, dla miłośników gatunku zaś jest to niemal pozycja obowiązkowa. ■

Bogusław Kleszczyński – pracownik OBEP IPN w Rzeszowie

OKIEM HISTORIA



W lutym 1919 roku, kiedy w Europie Zachodniej dawno już opadł kurz po zakończonej w listopadzie 1918 roku Wielkiej Wojnie, a politycy zwycięskich mocarstw obradowali w Wersalu nad tym, jak od nowa zorganizować Stary Kontynent, na wschodzie Europy rozpalal się nowy konflikt pomiędzy odrodzoną po 123 latach Rzeczpospolitą i bolszewicką Rosją. O tym, że toczył się on o coś więcej niż tylko o granice, świadczą chociażby słowa rozkazu Michaiła Tuchaczewskiego, dowodzącego Armią Czerwoną na froncie północnym, z lipca 1920 roku: „Po trupie Polski wiedzie droga do ogólnego wszechświatowego pożaru”.

O rozstrzygnięciu tego konfliktu możemy zadecydować w grze *Orzeł i gwiazda*. Niestety, nie od samego początku, czyli od lutego 1919 roku, ale niejako od środka zmagania – od wiosny 1920 roku. Daje nam to wprawdzie możliwość rozegrania kluczowych dla losów wojny operacji kijowskiej i warszawskiej, ale już nie np. wileńskiej z kwietnia 1919 roku. Trochę szkoda, bo kto wie, czy z czysto militarnego punktu widzenia nie była ona ciekawsza.

Początkowe rozstawienie wojsk na planszy, oddające dość wiernie *ordre de bataille* obu stron konfliktu w przededniu wyprawy kijowskiej, może sprawić wrażenie, jakoby to stro- na polska dążyła do opanowania całości ziem ukraińskich i białoruskich (mniej więcej 2/3 mapy znajduje się za polskimi liniami). Nie jest to niestety w żaden sposób wyjaśnione w nieco zbyt ogólnym komentarzu historycznym poprzedzającym instrukcję do gry. Szkoda, warto bowiem pamiętać, że o wiele istotniejszym od samego opanowania ukraińskiej stolicy celem wyprawy kijowskiej była próba (nieudana) utworzenia niepodległej Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Głównym walorem edukacyjnym *Orla i gwiazdy* są karty do gry, które zawierają zwięzły komentarz historyczny dotyczący danego wydarzenia. To z niego możemy się dowiedzieć np. o utworzeniu przez Sowieców Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski i podjętej przez niego próbie utworzenia Polskiej Armii Czerwonej (karta *Polrewkom*) czy też o rozwikłaniu przez Polaków sowieckich kodów (karta *Złamane szyfry sowieckie*). Karty ukazują także międzynarodowy aspekt wojny, wyrażający się niemal całkowitym brakiem poparcia dla polskiej polityki wschodniej, którą kraje zachodnie postrzegały jako „imperialną” (*Niechęć aliantów, Ręce precz od Rosji*), czy też ambicje Stalina (*Niesubordynacja Stalina*).

Mimo drobnych niedociągnięć, grę *Orzeł i gwiazda* należy uznać za udane przypomnienie wydarzeń sprzed ponad dziewięćdziesięciu lat. Tym cenniejsze, że przecież konflikt ten zakończył się triumfem polskiego oręza – i to jednym z najświetniejszych w całej historii.

Maciej Żuczkowski – pracownik BEP IPN

Sprostowanie: W numerze 3/2012 „Pamięci.pl” w artykule Katarzyny Florczyk i Marty Szczesiak dotyczącym konkursu „Wielkopolskie dwory i ich mieszkańcy” podaliśmy błędną liczbę prac konkursowych. Uczestnicy nadesłali 147 prac (52 plastyczne, 70 multimedialnych i 25 pisemnych). Autorki i osoby biorące udział w konkursie serdecznie przepraszamy

– redakcja

Piłsudski – postać kontrowersyjna

Józef Piłsudski, szczególnie w kontekście przewrotu majowego oraz polityki prowadzonej w latach 1926–1939 przez rządy sanacyjne, wciąż budzi liczne kontrowersje. Jedni publicyści i historycy akceptują, inni potępiają ówczesne wydarzenia. Niekiedy jednak uczestnicy tej debaty formułują opinie w oderwaniu od materiału źródłowego. Tak było w przypadku artykułu prof. Antoniego Dudka, opublikowanego na łamach majowego numeru „Pamięci.pl”.

Już sam początek lektury nie pozostawia żadnych wątpliwości, kogo należy obciążać całkowitą odpowiedzialnością za przewrót. Marszałek był wówczas stroną inicjującą i to nie podlega oczywiście żadnej dyskusji. Należy jednak pamiętać, że do wydarzeń z maja 1926 roku doprowadziły skomplikowane procesy polityczne, omówione w dużej mierze przez Bogusława Kubisza w innym artykule zamieszczonym na łamach tego samego numeru pisma. Walka o władzę w państwie nie wynikała więc z obawy Piłsudskiego, że „namawiający go od dawna do położenia kresu sejmokracji oficerowie stracą w końcu wiarę w zdecydowanie swojego Komendanta”, jak twierdzi prof. Dudek. W rzeczywistości powodowały nim określone racje polityczne, poparte gorzkim doświadczeniem człowieka, który przez okres czterech trudnych lat (1918–1922) stał na czele państwa wyniszczonego przez okupantów długotrwałą wojną i rabunkową gospodarką, państwa biednego, rozdieranego konfliktami społecznymi i narodowościowymi. Niewątpliwie istotną rolę odegrało również przeświadczenie, że tylko on może przyczynić się do polepszenia zaistniałej sytuacji. Co więcej, dostępne źródła jednoznacznie ukazują mechanizm planowanych działań – powrót Marszałka do czynnego życia politycznego miał zostać dokonany metodami politycznymi, a w jego kalkulacjach armia odgrywała jedynie rolę pomocniczą. Rozwój wypadków po upadku rządu Aleksandra Skrzyńskiego, co nastąpiło ostatecznie 5 maja 1926 roku, skłonił go jednak do sięgnięcia po środki pozaparlamentarne, czyli do demonstracji wojskowej.

Trudno także uznać za słuszną jednostronną opinię Autora, że u prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i nowego premiera Wincentego Witosa „zwyctężyło poczucie odpowiedzialności za Polskę, której dwa dni wcześniej zabrakło Piłsudskiemu”. W rzeczywistości podobną troskę można dostrzec u wszystkich czołowych aktorów ówczesnego dramatu, tym bardziej iż już w trakcie trwania walk Piłsudski próbował położyć im kres, bezskutecznie starając się nawiązać kontakt ze swoimi przeciwnikami. Przeciwnostawne racje obu stron konfliktu przypominają nieco grecką tragedię, co nie oznacza oczywiście, że musiało do niej dojść – być może w przypadku innego splotu zaistniałych okoliczności historia potoczyłaby się inaczej. Niemniej jednak przewrót majowy należy uznać za wydarzenie głęboko osadzone w ówczesnej rzeczywistości politycznej i w taki też sposób jest ono postrzegane przez większość badaczy zajmujących się tym złożonym zagadnieniem.

Sprawne państwo

Nie sposób zgodzić się z opinią, że w wyniku wydarzeń z maja 1926 roku rozpoczął się proces „likwidacji demokracji i ograniczania swobód obywatelskich”. Taki punkt widzenia należy uznać za daleko idące uproszczenie. Przede wszystkim warto pamiętać, że trudno do ówczesnych realiów społeczno-politycznych przykładać dzisiejsze ramy. Piłsudscy, formułując postulat naprawy państwa, zamierzali usprawnić jego funkcjonowanie, co zarówno przez nich, jak i przez dużą część ówczesnego społeczeństwa nie było



„Pamięć.pl” nr 2/2012

postrzegane w kategoriach ograniczania swobód obywatelskich oraz likwidowania demokracji. Po prostu starano się wyciągać wnioski z doświadczeń minionych czterech lat w celu stworzenia takiego systemu, który pozwoli uniknąć, używając ówczesnego języka politycznego, patologicznych zjawisk okresu „sejmokracji”. W powszechnym odczuciu społeczeństwo pozbawione przez ponad sto lat własnej podmiotowości powinno nauczyć się myśleć kategoriami państwowymi. Obserwując natężenie ówczesnych antagonizmów, nie sposób odmówić tym argumentom pewnej racji, tym bardziej gdy weźmie się pod uwagę sytuację geopolityczną. Należało więc stworzyć trwały ustrój polityczny oraz sprawić, żeby mieszkańcy II RP, zresztą nie tylko narodowości polskiej, „dojrze-li” do wyzwań związanych z posiadaniem niepodległego państwa.

Piłsudski, zdając sobie sprawę z realiów, w jakich przyszło mu rządzić, dążył do stworzenia trwałego obozu politycznego, opartego na szerokim poparciu społecznym. Temu celowi miał służyć Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, będący wyzwaniem rzuconym pod adresem tradycyjnych partii, które uważano za element destabilizujący w formie, w jakiej działały dotychczas. Nie oznacza to, że zanegowano sens ich istnienia. Co więcej, przewidywano, że mogą stać się sprzymierzeńcem w budowie nowego, zrównoważonego ustroju państwowego, jeśli tylko zaakceptują odmienne niż dotychczas reguły politycznej gry. Dlatego starano się pozyskać je do współpracy, co daje się zauważyć szczególnie w pierwszych tygodniach po wyborach parlamentarnych w marcu 1928 roku. Analiza ówczesnych procesów pokazuje jednak, że do porozumienia dojść nie mogło. Opozycja była bowiem zbyt silna, aby zgodzić się na warunki proponowane przez Piłsudskiego, a zarazem zbyt słaba, żeby samodzielnie rządzić. Tym samym nie udało się doprowadzić do konsensusu konstytucyjnego, co z kolei zaowocowało dalszym konfliktem. Z czasem obóz piłsudczykowski stanął w obliczu antysanacyjnej opozycji zjednoczonej w ramach Centrolewu.

Cena reform

Procesy te doprowadziły do wydarzeń z września 1930 roku, gdy wielu przeciwników obozu rządzącego znalazło się w wojskowej twierdzy w Brześciu, gdzie zostali poddani niezwykle brutalnemu traktowaniu. Odpowiedzialność za te drastyczne posunięcia spada wyłącznie na Piłsudskiego. W jego odczuciu była to cena wysoka, choć konieczna dla przeprowadzenia wielu niezbędnych zmian w funkcjonowaniu państwa. I nie miało to nic wspólnego ze swobodami obywatelskimi lub ich brakiem. Uzyskanie wówczas „pięciu lat spokojniejszego życia”, jak to określił Marszałek, umożliwiło uchwalenie konstytucji kwietniowej, która nie tylko wprowadziła w życie wiele istotnych rozwiązań ustrojowych, lecz także przyczyniła się do zachowania ciągłości naczelnych władz państwowych po klęsce wrześniowej. Są to więc dosyć złożone zagadnienia, które

należy rozpatrywać w sposób wyważony, ostrożnie formułując końcowe wnioski.

Podobne uwagi odnoszą się także do faktu powstania obozu izolacyjnego w Berezie Kartuskiej. Jego utworzenie wiąże się bowiem z zabójstwem ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego w czerwcu 1934 roku, dokonany przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów. Nie było to pierwsze tego typu wydarzenie i Piłsudski, ulegając argumentacji ówczesnego premiera Leona Kozłowskiego, zgodził się powołać do życia miejsce odosobnienia o zastrzyżonym rygorze na okres roku. Mieli tam trafić ludzie niebezpieczni z punktu widzenia interesów państwa – ukraińscy nacjonaści, prawicowi ekstremiści, komuniści. Określenie, że został on utworzony „dla przeciwników politycznych”, należy więc uznać za zbyt daleko idące uproszczenie. Z czasem władze administracyjne faktycznie zaczęły nadużywać tego środka prewencyjnego, o czym świadczy m.in. wysłanie do Berezki znanego dziennikarza Stanisława Cata-Mackiewicza. Zresztą działania te nie spełniły oczekiwań rządzących i nie doprowadziły do uspokojenia sytuacji.

Nie sposób również pominąć milczeniem głośnych przypadków przemocy w życiu politycznym. Hipotekę Marszałka obciąża oczywiście to, że przed sądem nie stanęli sprawcy brutalnego pobicia Jerzego Zdziechowskiego czy Adolfa Nowaczyńskiego, jak również ci, którzy przyczynili się do zaginięcia gen. Włodzimierza Zagórskiego.

Zwycięstwo Marszałka

Trudno jednak zgodzić się z następującym stwierdzeniem: „Dyktatura Piłsudskiego nie rozwiązała żadnego z wielkich problemów II RP”. Jest to opinia skrajna, na której poparcie próżno szukać argumentów w omawianym artykule. Niewątpliwie Marszałkowi i stworzonemu przez niego obozowi politycznemu nie udało się rozwiązać wielu problemów stojących przed młodym państwem polskim. Jako przykład można wskazać wspomniane przez Autora zagadnienie mniejszości narodowych zamieszkujących terytorium II RP, w dużej mierze nieidentyfikujących się z państwem, w którym przyszło im żyć. Zarówno przed majem, jak i później nikt nie miał pomysłu na rozwiązanie tego problemu, nie mówiąc już o możliwości osiągnięcia społecznego porozumienia, umożliwiającego władzom wdrożenie jednolitej polityki narodowościowej. Trudno się więc dziwić, że hasło tzw. asymilacji państwowej, lansowane przez piłsudczyków, na dłuższą metę okazało się niemożliwe do realizacji.

Zdziwienie budzi sam tytuł omawianej publikacji: „Waterloo Piłsudskiego”. Porównanie należy uznać za niefortunne, ponieważ wspomniana bitwa, rozegrana przez Napoleona w 1815 roku, zakończyła się jego klęską, podczas gdy trzydniowe walki na ulicach Warszawy okazały się dla Piłsudskiego zwycięskie. Autor użył tego określenia, mając na myśli długoterminowe skutki zamachu, który w jego odczuciu zakończył się przegraną „samotnika z Sulejówka”, a przecież nie można zapomnieć o wielu niewątpliwych osiągnięciach rządów pomajowych, którym m.in. udało się dosyć umiejętnie wykorzystać dobrą koniunkturę gospodarczą w latach 1926–1929. Wiele osiągnięto także w procesie scalania prawodawstwa polskiego, czego przykładem był np. nowy kodeks karny z 1932 roku.

Nie można również pominąć zagadnienia polityki zagranicznej, która po maju 1926 roku znalazła się w rękach Piłsudskiego. Autor, krytykując argument wskazujący na trudną sytuację międzynarodową Polski jako istotną przyczynę dokonanego przewrotu, stwierdził, że II RP, bez względu na panujący ustrój polityczny, nie miała „szans na przeciwstawienie się równo-

czesnej agresji Niemiec i ZSRR”. Patrząc na ten problem z perspektywy kilkudziesięciu lat, nie sposób odmówić temu twierdzeniu pewnej racji. Trudno jednak zarzucać Marszałkowi, że dążąc do przejęcia władzy w państwie, starał się także polepszyć jego pozycję na arenie międzynarodowej. Analiza dostępnego materiału źródłowego jednoznacznie pokazuje, iż kwestia ta stanowiła jeden z głównych motywów jego działania i że prowadzona przez niego polityka zagraniczna przyczyniła się do ułożenia stosunków z obu groźnymi sąsiadami, bo stworzyła podstawy tzw. polityki równowagi, stabilizującej trudne położenie Polski. Marszałek, będąc już u kresu życia, zdawał sobie sprawę z tymczasowości tego rozwiązania i dlatego 7 marca 1934 roku podczas spotkania wszystkich premierów pomajowych (tzw. lokatorów) ostrzegł ich przed zbyt daleko idącym optymizmem. Przewidywał, że istotne zmiany nastąpią za cztery lata. Trudno o bardziej trafną ocenę.

W artykule prof. Dudka zabrakło więc próby dokonania jakiegokolwiek analizy procesów zachodzących w złożonych realiach społeczno-politycznych przedwojennej Polski. A przecież tylko dzięki temu można było pokusić się o dokonanie rzetelnej oceny ówczesnej rzeczywistości, tak bardzo różnej od tej, którą znamy dzisiaj.

Piłsudski, bez względu na toczące się spory, niewątpliwie zasłużył na muzeum, ukazujące jego postać w sposób wielowymiarowy na tle burzliwej epoki, w jakiej przyszło mu żyć. A o tym, jak bardzo potrzebne jest stworzenie takiej instytucji, świadczy właśnie omawiana publikacja. 📖

dr Paweł Duber – pracownik Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie

Odpowiedź autora

Z zainteresowaniem przeczytałem polemikę dr. Pawła Dubera z moim artykułem. Jestem skłonny zgodzić się z jednym: konsolidacja władzy w rękę Józefa Piłsudskiego po maju 1926 roku rzeczywiście znacząco ułatwiła prowadzenie stabilnej polityki zagranicznej, co było dużą wartością, choć nie uchroniło nas ostatecznie przed wrześniową katastrofą. Ta ostatnia była zresztą w moim przekonaniu niemożliwa do uniknięcia, bez względu na to, kto Polskę by rządził, choć będąc się upierał przy zdaniu, że prowadzenie innej polityki obronnej (postawienie na broń pancerną i lotnictwo) mogło utrudnić zadanie Wehrmachtowi, zwłaszcza gdyby w 1938 roku dokonano też radykalnej reorientacji polityki wobec Czechosłowacji.

Odnoszę natomiast wrażenie, że mój polemista popada w sprzeczność, gdy pisze, że nie może się zgodzić z tezą, iż po maju 1926 roku rozpoczął się proces „likwidacji demokracji i ograniczania swobód obywatelskich”, po czym sam wymienia jego podręcznikowe przykłady, czyli uwięzienie przywódców Centrolewu w twierdzy brzeskiej, a następnie w obozie odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Można oczywiście bronić ewidentnych nadużyć procesu brzeskiego argumentem o walce z destabilizacją państwa, a więzionych w Berezie oenerowców, komunistów i ukraińskich nacjonalistów określać mianem „wrogów państwa”, a nie „przeciwników politycznych”, ale nie zmienia to faktu, że działania te nie miały nic wspólnego z państwem prawa i przestrzeganiem podstawowych praw człowieka. Podtrzymuję więc mój pogląd, że Piłsudski mógł być – zważywszy na jego wpływy w armii – strażnikiem polskiej demokracji, ale wolał zostać jej grabarzem.

A co do muzeum mu poświęconego, to nie jestem przeciwnikiem samej inicjatywy, ale uważam jego koszty za zbyt wysokie. Za planowane przez rząd do wydania 170 mln zł można bowiem zbudować sporą część pozostającego w zamrażarce Muzeum Historii Polski, gdzie znajdzie się miejsce i dla Piłsudskiego, i dla takich jego adwersarzy jak Roman Dmowski, Wincenty Witos czy Ignacy Daszyński. A także dla wielu innych ważnych postaci, od Mieszka I poczynając.

Na pewno warto też dalej dyskutować o roli Piłsudskiego, jego bezrefleksyjny kult bowiem – będący m.in. pochodną szkalowania go w czasach PRL – może z czasem zrodzić reakcję, na którą z pewnością nie zasługuje. 📖

prof. Antoni Dudek

Instytut Pamięci Narodu

Wybór w czerwcu 2000 roku prof. Leona Kieresa na pierwszego prezesa Instytutu Pamięci Narodowej i rozpoczęcie realnej działalności IPN ożywiły dążenia do stworzenia analogicznych instytucji w innych państwach postkomunistycznych. W sierpniu 2002 roku słowacki parlament przyjął ustawę o udostępnieniu akt organów bezpieczeństwa państwa z lat 1939–1989 i powołaniu Instytutu Pamięci Narodu (Ústav pamäti národa, ÚPN).



Fot. AIPN

▶ Ján Langoš, twórca ÚPN

Wwielu aspektach słowacka ustawa nawiązuje do polskiej lub wręcz zawiera identyczne rozwiązania. Jej twórcą był Ján Langoš, słowacki opozycjonista, a po wolnych wyborach w 1990 roku federalny minister spraw wewnętrznych. On też został pierwszym prezesem ÚPN.

Słowacki instytut realną działalność rozpoczął w 2003 roku. Dysponuje on stosunkowo niedużym, liczącym 1800 metrów bieżących zasobem archiwalnym (w tym ponad 70 tys. mikrofilmów). Dokumenty są powszechnie dostępne; głównymi użytkownikami są historycy i inni badacze. Na stronie internetowej instytutu opublikowano szereg elektronicznych baz danych, m.in. spis słowackich Żydów z 1942 roku (większość z nich padła ofiarą Holocaustu), osób zesłanych po wojnie do Gułagu, funkcjonariuszy partii komunistycznej oraz aparatu bezpieczeństwa. Najwięcej emocji wzbudziło zamieszczenie w Internecie treści zachowanych dzienników archiwalnych czechosłowackiej bezpieki (StB), w tym informacji o sieci agenturalnej.

Publikacja zapisów rejestracyjnych naraziła ÚPN na wiele procesów. Jednym z najgłośniejszych był proces wytoczony przez abp. Jána Sokola. W czerwcu 2006 roku, spiesząc się na jedną z rozpraw, w wypadku samochodowym zginął Ján Langoš. Instytut Pamięci Narodu utracił wówczas nie tylko swojego twórcę, ale także charyzmatycznego przywódcę; człowieka, który żywił głębokie przekonanie, że bez poznania przeszłości nie jest możliwe zbudowanie lepszej przyszłości. Znacznemu osłabieniu uległa pozycja ÚPN w życiu publicznym Słowacji. Kilkakrotnie podejmowano próby ograniczenia jego niezależności.

Oprócz prac związanych z udostępnianiem dokumentów i baz danych ÚPN prowadzi

także badania naukowe nad historią Słowacji w latach 1939–1989 oraz działania edukacyjne. Zorganizowano wiele konferencji naukowych (także międzynarodowych), ukazało się pięćdziesiąt publikacji książkowych. Od 2004 roku Instytut Pamięci Narodu wydaje popularnonaukowy kwartalnik „Pamät' národa”; przygotowano także kilka wystaw. Utrwalono ponad trzysta świadectw (przede wszystkim ofiar represji); wiele z nich dostępnych jest na stronie internetowej ÚPN. Na podstawie tego materiału zrealizowano kilkanaście filmów dokumentalnych. Instytut od dwu lat organizuje przegląd filmowy „Festival slobody” („Festiwal wolności”), który cieszy się dużym zainteresowaniem.

Od 2006 roku ÚPN wystawia zaświadczenia uczestnikom antykomunistycznego ruchu oporu.

W przypadku odkrycia w toku prowadzonych prac dowodów na popełnienie zbrodni ÚPN kieruje do odpowiednich władz zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. W większości wypadków nie udało się jednak doprowadzić do ukarania sprawców.

Od lutego 2007 roku prezesem Instytutu Pamięci Narodu jest dr Ivan A. Petranský. Sześć lat temu, 1 czerwca 2006 roku, podpisane zostało porozumienie o współpracy ÚPN i IPN. Słowacki instytut angażuje się w wiele międzynarodowych inicjatyw. Był współzałożycielem, a od marca 2012 roku przewodniczy Europejskiej Sieci Instytucji Archiwalnych Zajmujących się Aktami Tajnych Służb. 🇸🇰

▶ Kwartalnik ÚPN



By kamienie wołać nie musiały

Labelski ośrodek TVP w porozumieniu z tamtejszym Oddziałowym Biurem Edukacji Publicznej IPN zrealizował w ciągu czterech lat osiemdziesiąt programów z cyklu „Z archiwum IPN”, których drugie, uzupełnione wydanie prezentujemy. Estetyczny i praktyczny zestaw opatrzone folderem zawierającym wstęp i omówienie Sławomira Poleszaka. Filmy prezentują wyniki badań naukowych historyków, skupiając się wyraźnie na dziejach antykomunistycznego zbrojnego podziemia niepodległościowego.

Prezentowano sylwetki Żołnierzy Wyklętych, m.in. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, Mariana Bernaciaka „Orlika”, Kazimierza Kamińskiego „Huzara”, Władysława Łukasiuka „Młota”, Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca”, Zdzisława Brońskiego „Uskoka”, duchownych – ks. Stanisława Domańskiego i ks. Jana Trojnarę – oraz działania oddziałów, także tych o zasięgu lokalnym.

Znajdziemy tu informacje m.in. o 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, Ruchu Oporu Armii Krajowej, Konspiracyjnym Wojsku Polskim, Wielkopolskiej Samodzielnej Grupie Ochotniczej „Warta”, 11. Grupie Operacyjnej NSZ, Związku Zbrojnej Konspiracji, V Wileńskiej Brygadzie AK, IV Zarządzie WiN, III Wileńskiej Brygadzie NZW, XVI Okręgu NZW oraz Polskim Związku Powstańczym.

Seria „Z archiwum IPN” demitologizuje wydarzenia i postaci eksponowane w czasach PRL (m.in. okoliczności powstania i treść manifestu PKWN oraz postać Karola Świerczewskiego), pokazuje działalność Informacji Wojskowej, prowokację UB z wykorzystaniem agentów, grę wywiadów polskiego i sowieckiego z zachodnim. Jako przykład można podać zwalczanie ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego po II wojnie światowej, jak również słynną operację „Cezary”, czyli utworzenie przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego fałszywej struktury WiN-u. Prócz tego znajdziemy interesującą opowieść o mazowieckich siatkach wywiadowczych Zrzeszenia WiN, jak również historie działaczy podziemia niepodległościowego oskarżanych niesłusznie przez powojenne władze o współpracę z gestapo.

Nie zapomniano o wrześniu 1939 roku i okupacji niemieckiej: działaniach Armii „Lublin”, SGO „Polesie”, Warszaw-

skiej Brygadzie Pancerno-Motorowej, obronie środkowego odcinka Wisły, bitwach tomaszowskich, boju KOP z oddziałami sowieckimi pod Wytycznem. Przedstawiono sylwetkę Jerzego Dąmbrowskiego, mordy Ukraińskiej Powstańczej Armii na Wołyniu, których okrągłą rocznicę obchodzić będziemy w przyszłym roku. Zaprezentowano sytuację na Zamojszczyźnie, opisaną przy okazji relacjonowania losów Tadeusza Kuncewicza „Podkowy”.

W programach poruszono również tematykę konspiracji młodzieżowej z lat 1944–1956, lwowskich organizacji konspiracyjnych po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną w 1939 roku, w tym okoliczności zamachu na marszałka Siemiona Tymoszenkę. Na płytach przybliżono również okoliczności przeprowadzenia akcji „Wisła” oraz protest w płockiej Petrochemii z czerwca 1976 roku.

Autorzy serii nie unikają tematów trudnych i kontrowersyjnych – losów żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej NSZ, którym Niemcy umożliwili przejście przez front, działalności Polskiej Armii Wyzwolenia, którą Związek Walki Zbrojnej posądzał o kontakty z Abwehrą, czy też zamordowania przez partyzantów NSZ 194 osób narodowości ukraińskiej, co skomentował Rafał Wnuk. „Pamiętając o tym, że w Wierchowinach dokonano zbrodni na ludności cywilnej, musimy jednocześnie pamiętać, że dokonali tego konkretni ludzie, konkretni dowódcy wydawali rozkazy; przenoszenie tej zbrodni na całą formację Narodowych Sił Zbrojnych, która miewała piękne karty walki z okupantem niemieckim, której żołnierze dzielnie bili się z Sowietami, jest niesprawiedliwe” – trafnie podsumował historyk.

„Z archiwum IPN” to również historia zbrodni. Przerażające wspomnienia pozostawia odcinek *Czerwona oberża*, przedstawiający – w oparciu o relacje historyków i krewnych ofiar – działalność bandy Władysława Rypińskiego „Rypy”, członka PPR, przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w Łęgu. Do października 1947 roku Rypiński wymyślał się żołnierzom podziemia. Wyrok na przestępcy wykonali żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych.

Jak mówi w jednym z odcinków ks. Stanisław Falkowski, „jeżeli ludzie odpowiedzialni za przekazywanie wiedzy nie zdadzą egzaminu, to na pewno kamienie wołać będą, a więc te pomniki będą głosić prawdę młodemu pokoleniu Polaków”. Być może nie będą musiały. Interesująca seria „Z archiwum IPN” zawiera bowiem ciekawe odcinki nieprzekraczające 30 minut, prezentujące relacje świadków, fragmenty kronik filmowych, cytaty z dokumentów procesowych, rozkazów, listów, a historia opowiadana jest w nich na miejscu wydarzeń – w sam raz do wykorzystania na lekcjach przez nauczycieli historii. 🍷

Maciej Foks



Piłka nożna pod kontrolą

Euro 2012 to dobra okazja, by pisać o futbolu nie tylko w jego czysto sportowym aspekcie. *Nieczysta gra. Tajne służby a piłka nożna*, pod redakcją Sebastiana Ligarskiego i Grzegorza Majchrzaka, to zbiór dziesięciu artykułów, autorstwa głównie pracowników IPN, opisujących działania, które Służba Bezpieczeństwa prowadziła w środowisku piłkarskim, a także związki piłki nożnej z historią polityczną PRL.

Najpopularniejszy sport, wywołujący duże emocje w społeczeństwie, musiał wzbudzać zainteresowanie władz PRL. Wiele meczów i transferów miało drugie, pozasportowe tło. Władza ludowa chętnie podczepiała się pod sukcesy sportowe, co pozwalało jej zaprezentować się w korzystnym świetle, i odczekać też przedstawiała je jako „swoje”. Najważniejsze jednak było to, aby sport mieć pod pełną kontrolą. Archiwa SB, nad którymi pieczę sprawuje IPN, pełne są teczek zawierających informacje na temat piłkarzy, trenerów, dziennikarzy i działaczy sportowych, którzy albo byli obiektem działań tajnych służb, albo z nimi współpracowali.

Wpływ władz PRL na polską piłkę nożną przedstawił Grzegorz Majchrzak w tekście *Futbol pod specjalnym nadzorem*. Nie pisze on tylko o SB, lecz prezentuje szerszy obraz związków piłki nożnej z polityką w PRL. Wielu działaczy sportowych należało do PZPR, niektórzy mieli za sobą pracę w strukturach MSW. O stopniu ingerencji władz w piłkarski świat świadczyć może choćby to, że decyzję o wyborze selekcjonera narodowej reprezentacji podejmowano w Komitecie Centralnym PZPR. To tam np. zdecydowano, że następcą Kazimierza Górskiego nie będzie jego asystent Andrzej Streljau, który był bezpartyjny, lecz należący do PZPR Jacek Gmoch.

Funkcjonariusze SB inwigilowali piłkarzy podczas wyjazdów zagranicznych, obserwowali też najważniejsze mecze odbywające się w Polsce. Interesowali się nimi szczególnie w momentach istotnych wydarzeń politycznych. Jedną z takich sytuacji opisał Jerzy Eisler, pokazując polityczny kontekst meczu Górnika Zabrze z Manchesterem United, który odbył się w czasie wydarzeń Marca '68. W związku z sytuacją polityczną znacznie utrudniono możliwość przyjazdu do Polski zagranicznym dziennikarzom. Komentatorzy sportowi stali się wskutek tego także przekąźnikami wiadomości politycznych, informując o przebiegu protestów studenckich, co nie podobało się władzom PRL.

Dla komunistycznych decydentów kibice piłkarscy stanowili środowisko dość niepewne ideologicznie. Na cenzurowanym tajnych służb jedno z czołowych miejsc zajmowali kibice Lechii Gdańsk. Karol Nawrocki opisuje okoliczności meczu Lechii z Juventusem Turyn w 1983 roku. Spotkanie odbywało się w Gdańsku, czyli mieście, gdzie powstawała Solidarność. Poza tym władze szykanowały wówczas Lecha Wałęsę, któremu jednak udało się pojawić na meczu. Do imprezy służby drobniaczko się przygotowały: zgromadzono ponad półtora tysiąca milicjantów, transportery opancerzone, armatki wodne, więźniarki. Lechia przegrała, ale do zamieszek nie doszło.

Kibice manifestowali natomiast poparcie dla Solidarności, czego skutkiem było opóźnienie transmisji telewizyjnej. O ich zaangażowaniu w działalność opozycyjną poświęcony jest także artykuł autorstwa ks. Jarosława Wąsowicza.

Marta Marcinkiewicz w szkicu *Mundial zza krat, czyli jak sport przenikał się z polityką* w interesujący sposób opisała postawy internowanych w stanie wojennym w trakcie piłkarskich mistrzostw świata w Hiszpanii. Niektórzy internowani chcieli na czas mundialu przerwać bojkot oglądania telewizji. Z kolei nie chcąc, aby władze PRL wykorzystały ewentualny sukces polskiej drużyny, kibicowali... jej przeciwnikom. Więźniów interesował nie tylko przebieg sportowej rywalizacji, ale też zachowanie publiczności na trybunach i pojawiające się na nich symbole poparcia dla Solidarności.

Autorzy *Nieczystej gry* opisują różnorodne aspekty związków między piłką nożną a polityką, kreśląc przy tym obraz rzeczywistości PRL widzianej z pozycji sportowców i działaczy. Sebastian Ligarski opisał udział polskiej drużyny w mundialu w Hiszpanii w 1982 roku oczami komisarza wojskowego, a Krzysztof Łoniewski – inwigilację polskich piłkarzy w czasie mistrzostw świata w piłce nożnej w Meksyku w 1986 roku. Paweł Szulc przedstawił historię afery z 1980 roku, kiedy Józef Młynarczyk po nocnej imprezie spóźnił się na lotnisko. Tomasz Szymborski zaś opisał dzieje współpracy z SB najbardziej znanego polskiego komentatora tamtych czasów Jana Ciszewskiego. Książkę zamyka tekst Grzegorza Wołka *Trafila „Kosa” na generalów*. Autor pokazał historię transferu Romana Koseckiego z milicyjnej Gwardii Warszawa do wojskowej Legii w 1988 roku. Sprawa oparła się o samego szefa MSW gen. Czesława Kiszczaka. To, że takimi sprawami zajmowała się jedna z najważniejszych osób w państwie, pokazuje stopień upolitycznienia polskiego futbolu w tamtym okresie.

Artykuły opublikowane w *Nieczystej grze*, mimo że napisane przez profesjonalnych historyków i oparte na materiale źródłowym często o dużym ciężarze gatunkowym (fakta służb specjalnych), stanowią dość przyjemną i lekką lekturę, niepozabawioną przy tym dużej dawki wiedzy o zjawiskach szerzej dotąd nieopisywanych. W niektórych zauważyć można zbyt swobodny sposób pisania o sprawach osobistych bohaterów tekstów (esbecy nie mieli skrupułów, by wkraczać w intymność „figurantów”, jednak u historyków zbytnia szczegółowość w tej materii wydaje się niekiedy zbędna), czasem nieco kolokwialny język czy naleciałości z żargonu służb specjalnych. W części artykułów brakuje tła opisywanych wydarzeń. Zamiast szczegółowego opisywania jednego wydarzenia, można by się pokusić o pokazanie go na tle problemów politycznych, społecznych czy gospodarczych, szersze opisanie takich zjawisk jak alkoholizm sportowców czy ich postawa wobec SB.

Trzeba jednak podkreślić, że *Nieczysta gra* jest książką mającą przede wszystkim zainteresować czytelnika ciekawymi historiami ze styku piłki nożnej, polityki i działań SB. Ten cel z pewnością redaktorom tomu udało się zrealizować. *Nieczysta gra* to książka, która może zainteresować nie tylko pasjonatów historii polskiej piłki nożnej, ale też tych, którzy chcą poznać historię PRL. ■

Jan Olaszek



Nieczysta gra. Tajne służby a piłka nożna, pod redakcją Sebastiana Ligarskiego i Grzegorza Majchrzaka, Videograf, Chorzów 2012, ss. 175

Nie tylko Berek Joselewicz

W 2010 roku Instytut Pamięci Narodowej opublikował książkę Marka Gałęzowskiego *Na wzór Berka Joselewicza. Żołnierze i oficerowie pochodzenia żydowskiego w Legionach Polskich*. Autor zawarł w niej życiorysy 648 żołnierzy żydowskiego pochodzenia, którzy w czasie I wojny światowej zaciągnęli się do Legionów Polskich.

Część słownikową Gałęzowski poprzedził obszernym tekstem przedstawiającym portret zbiorowy Żydów-legionistów. Szczególną uwagę zwrócił na motywy, jakimi kierowali się galicyjscy Żydzi, wstępując przed I wojną światową do polskich organizacji niepodległościowych, a po jej wybuchu – do Legionów. Były to wyłącznie osoby, które aktywnie uczestniczyły w ruchu asymilacyjnym. Trudno oszacować liczbę młodych Żydów, którzy włączyli się w ruch strzelecki, sokoli i do Drużyn Bartoszewskich, ale przyjmuje się, że było to ok. 10 proc. wszystkich członków niepodległościowych ugrupowań.

Niektórzy z nich mieli w rodzinie powstańców styczniowych, więc była to swoista sztafeta pokoleniowa bojowników o Polskę. Byli to głównie młodzi ludzie, ale nie tylko. Na przykład człowiekiem w sile wieku był dr praw Adolf Sternszus, aktywny działacz Drużyn Sokolich, który w wieku czterdziestu lat uciekł z armii austriackiej i zaciągnął się do Legionów. Walczył pod Jastkowem, gdzie został ranny, a następnie w kampanii wołyńskiej. W październiku

1915 roku zginął pod Kukłami. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Wirtuti Militari i Krzyżem Niepodległości.

Takich życiorysów było znacznie więcej. Warto wspomnieć o innych legionistach żydowskiego pochodzenia, jak wybitny malarz Leopold Gotlieb, matematyk Hugo Steinhaus, historyk Henryk Wereszycki (także jego brat Tadeusz walczył w Legionach), znany działacz socjalistyczny Henryk Lieberman i prawnik Władysław Winawer. Niektórzy z nich pozostali w Wojsku Polskim, jak gen. Jakub Krzemieński, historycy Henryk Eile i Bertold Merwin czy Zygmunt Zygmontowicz, redaktor naczelny czasopisma „Panteon Polski”.

Czym kierowali się ci młodzi i starsi wiekiem polscy Żydzi, stając z karabinem w rękę obok polskich towarzyszy broni? Warto w tym miejscu przytoczyć świadectwo Juliusza Kadena-Bandrowskiego o poległym w bitwie pod Kukłami Bronisławie Mansperlu „Chabrze”, studencie medycyny paryskiej Sorbony, działaczu niepodległościowym. Słowa te można chyba odnieść także do innych Żydów walczących o niepodległą Polskę: „Jaki też interes, prawdziwy, osobisty interes ma Mansperl w trosce swej o walkę za Ojczyznę?... Mansperl był Żydem. Istotnie, miał jeden wielki, prawdziwy, osobisty interes w walce za Polskę: przelewając za Nią krew, pragnął sobie zdobyć do Niej prawo, którego by mu nikt odmówić nie śmiał”.

Maciej Sobieraj



Marek Gałęzowski,
Na wzór Berka Joselewicza. Żołnierze i oficerowie pochodzenia żydowskiego w Legionach Polskich, IPN, Warszawa 2010, ss. 800

Narodowi komuniści z „Grunwaldu”

Koncesjonowany nacjonalizm. *Zjednoczenie Patriotyczne Grunwald 1980–1990* pióra Przemysława Gasztold-Senia to kolejny tom z IPN-owskiej serii „monwografie”.

Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald” zostało zarejestrowane 25 kwietnia 1981 roku, ale rozgłos zyskało już wcześniej, 8 marca, gdy zorganizowało uliczny wiec przed gmachem byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Podczas tej manifestacji grunwaldczycy starali się obarczyć Żydów odpowiedzialnością za zbrodnie okresu stalinowskiego.

Żydzi („farbowane lisy”), którzy uaktywnili się w marcu 1968 roku i od drugiej połowy lat siedemdziesiątych skupili się wokół opozycyjnego Komitetu Obrony Robotników, dążyli – zdaniem organizatorów manifestacji – do objęcia kontroli nad NSZZ „Solidarność”, przejęcia władzy i przywrócenia w Polsce stalinowskich praktyk. Tego rodzaju hasła nie mogły przejść bez echa zarówno w Polsce, jak i w krajach zachodnich.

W kolejnych miesiącach stowarzyszenie było instrumentem władz w walce z solidarnościową opozycją. Patronami „Grunwaldu” byli Stefan Olszowski i Stanisław Kociołek oraz inni „twardogłowi” wywodzący się ze środowiska tzw. partyjnej lewicy, jak również ludzie z kręgów wojska czy MSW. Dzięki nim organizacja ta mogła kontynuować swą działalność do końca lat osiemdziesiątych, będąc swoistym wentylem bezpieczeństwa systemu dla skrajnych środowisk nacjonalistyczno-komunistycznych, jak również straszakiem władz na opozycję.

Praca Gasztold-Senia została podzielona na trzy rozdziały. W pierwszym odnajdziemy obszernie

wprowadzenie na temat różnych wersji łączenia dwóch ideologii: nacjonalizmu i komunizmu, a także genezy ZP „Grunwald”.

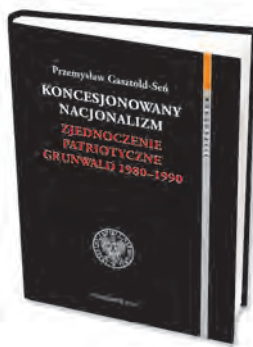
Obszerne omówienie wspomnianej manifestacji 8 marca oraz jej reperkusji zawiera rozdział drugi. Jego lektura dostarcza informacji zarówno na temat przygotowań, jak i przebiegu samego wiecu, reakcji różnych środowisk, instytucji i organizacji (także zagranicznych) na antysemityczne wystąpienie grunwaldczyków.

W ostatnim rozdziale znalazł się szczegółowy opis programu i działalności stowarzyszenia, targających nim wewnętrznych sporów oraz interwencji MSW, które podjęło działania mające na celu pogodzenie zwalczających się frakcji.

Praca została oparta na bardzo bogatym materiale źródłowym. Autor wykorzystał zbiory archiwów centralnych, oddziałów IPN w Bydgoszczy, Gdańsku, Katowicach, Łodzi, we Wrocławiu czy Archiwum Państwowego w Szczecinie. Sięgnął również po gazety krajowe i zagraniczne. Dużym plusem książki jest przytoczenie relacji m.in. Bohdana Poręby, Józefa Kosseckiego, Daniela Passenta, Czesława Kiszczaka, przy czym autor zawsze stara się zweryfikować informacje pozyskane od rozmówców.

Koncesjonowany nacjonalizm... to książka podejmująca temat dotąd niezbadany przez historyków. Działalność ZP „Grunwald” była specyficznym elementem ostatniej dekady istnienia PRL. Czyni to z pracy Gasztold-Senia lekturę obowiązkową dla wszystkich chcących zgłębić meandry rzeczywistości politycznej tego okresu.

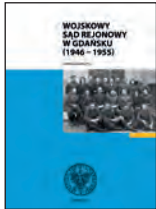
Michał Siedziako



Przemysław Gasztold-Sen,
Koncesjonowany nacjonalizm. Zjednoczenie Patriotyczne Grunwald 1980–1990, IPN, Warszawa 2012, ss. 446



■ Krystyna Bień-Orlicz, *O sprawiedliwy wymiar kary. Losy organizacji niepodległościowej Ludwika Machalskiego ps. „Mnich”*, IPN, Kraków 2012, ss. 262.



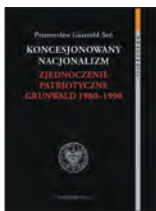
■ Dariusz Burczyk, *Wojskowy Sąd Rejonowy w Gdańsku (1946-1955)*, IPN, Gdańsk 2012, ss. 504.



■ Paulina Codogni, *Wybory czerwcowe 1989 roku*, IPN, Warszawa 2012, ss. 376.



■ Dokumenty Krajowej Komisji Porozumiewawczej i Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” (1980-1981), oprac. T. Kozłowski, M. Owiński, IPN, Warszawa 2012, ss. 344.



■ Przemysław Gasztold-Seń, *Koncesjonowany nacjonalizm. Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald” 1980-1990*, IPN, Warszawa 2012, ss. 448.



■ Janina Fieldorf, *Los już mną zawładną... Wspomnienia*, oprac. A. Dymek, J. Jurach, K. Lisiecki, IPN, Gdańsk 2012, ss. 216.



■ Janusz Kaliński, *Gospodarka w PRL*, IPN, Warszawa 2012, ss. 126.



■ Elżbieta Kowalczyk, Katarzyna Pawlicka, *Działalność Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego na m.st. Warszawę (1944-1954), Warszawa Nie? Pokonana?* t. 3, IPN, Warszawa 2011, ss. 656.



■ Powiat Siedlce w pierwszej dekadzie rządów komunistycznych, Mazowsze i Podlasie w ogniu 1944-1956, t. 4, red. K. Krajewski, IPN, Oficyna Wydawnicza Rytm, Świątów Związek Żołnierzy Armii Krajowej, Warszawa 2012, ss. 784.



■ Nie można zdradzić Ewangelii. Rozmowy z abp. Ignacym Tokarczukiem, rozmawiał, wstępem i przypisami opatrzył Mariusz Krzysztofiński, IPN Rzeszów, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie, Rzeszów-Kraków 2012, ss. 136.



■ Krzysztof Michalski, *Działalność Komisji Wspólnej Przedstawicieli Rządu PRL i Episkopatu Polski 1980-1989*, IPN, Warszawa 2012, ss. 296.



■ PRL – „normalny” kraj, red. F. Musiał, J. Szarek, IPN Kraków, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2012, ss. 151.



■ Poznański Czerwiec 1956. Wybór dokumentów, oprac. Stanisław Jankowiak, Rafał Kościński, Edmund Makowski, Rafał Reczek, IPN, Poznań 2012, ss. 599.



■ *Spętana Akademia. Polska Akademia Nauk w dokumentach władz PRL. Materiały partyjne (1950-1986)*, oprac. P. Pleskot, T.P. Rutkowski, IPN Warszawa 2012, ss. 896.



■ *Szkice z dziejów NSZZ „Solidarność” na Pomorzu Nadwiślańskim i Kujawach (1980-1990)*, red. Igor Hałagida, IPN, Bydgoszcz-Gdańsk 2012, ss. 240.



■ „Śmierci się z nas nikt nie boi”. Listy kapłanów archidiecezji wileńskiej z ZSRS, oprac. ks. A. Szot, W.F. Wilczewski, IPN, Białystok 2012, ss. 400.



■ Daniel Wicenty, *Załamanie na froncie ideologicznym. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich od Sierpnia '80 do stanu wojennego*, IPN, Gdańsk 2012, ss. 649.



■ *Zbrodnie przeszłości. Opracowania i materiały prokuratorów IPN*, t. 4: *Ściganie*, red. R. Ignatiew, A. Kura, IPN, Warszawa 2012, ss. 124.



■ Marcin Krzanicki, *Komiks w PRL, PRL w komiksie*, IPN, Rzeszów 2012, ss. 174.

Historię piszą zwycięzcy...

Historię piszą zwycięzcy” – mawiał ponoć Churchill. Dużo w tym racji, jednak gdy równocześnie zagwarantowana jest wolność słowa, można dostrzec także do tej historii, którą spisali pokonani. Gdy tej podstawowej wolności obywatelskiej brak – nieakceptowane przez władze wersje dziejów krążą poza oficjalnym obiegiem. W PRL (jak w każdym kraju pozbawionym wolnych mediów) kawał polityczny był jednym z elementów tworzących właśnie taki alternatywny obieg informacji. Często jego rola polegała nie tylko na uzupełnianiu i odkłamywaniu wiedzy o świecie, lecz także na informowaniu o celowo przemilczanych faktach. Opowiadający i słuchający dzielili się żartobliwymi komentarzami dotyczącymi zarówno wydarzeń im współczesnych, jak i ważnych faktów z historii, często polemizując z ich oficjalną wersją.

W wojsku odbywa się egzamin z wiedzy o socjalistycznej ojczyźnie. - No, szeregowy - pyta kapitan - jaką mamy teraz Polskę? - Socjalistyczną - odpowiada Kowalski. - I jeszcze jaką? - pyta kapitan. - Ludową - odpowiada szeregowy. - Dobrze - cieszy się kapitan i już tylko dla porządku pyta: - A przed wojną jaka była? - Niepodległa - cicho odpowiada szeregowiec...

Jednym z najbardziej niewygodnych dla władzy ludowej tematów była pamięć o polskich Kresach. Władze starannie starały się zamazywać ich związek z Polską, sugerując, że właściwie zawsze były to tereny obce. Ludziom, którzy urodzili się przed II wojną światową za powojenną granicą Polski (np. we Lwowie), uparcie wpisywano jako kraj urodzenia ZSRR. Kawał polityczny przypominał o tych ważnych dla polskiej historii ziemiach. W 1981 roku, w szczycie „karnawału Solidarności”, zadawano dosyć politycznie niewygodne pytania:

- W jakich polskich miastach Solidarność nie organizowała jeszcze manifestacji?

- W Wilnie i we Lwowie...

Radziecki zabór z XX wieku zestawiano z osiemnastowiecznym imperializmem rosyjskim. Gdy w 1986 roku nastąpił wybuch w radzieckiej elektrowni atomowej w Czarnobylu, pojawił się żart przypominający o tym, że jeszcze w końcu XVIII wieku miejscowość ta leżała na terytorium Rzeczypospolitej.

Wieczorem Gorbaczow modli się:

- Panie Boże, ześlij jakąś zarazę na tych Polaków, tak mi tu brudzą...

- Może dałoby się coś zrobić, ale jeżeli obiecasz, że dasz Cerkwi wolność.

- Dam, dam, tylko zrób coś...

- Poczekaj do jutra.

Następnego dnia Gorbaczow włącza radio i słyszy. „W elektrowni atomowej w Czarnobylu miała miejsce eksplozja...”

- Panie Boże... przecież prosiłem na Polaków, na Polaków!!!

- Misza, wybaczone... stare mapy mi dali...

W książkach do nauki historii wiele miejsca poświęcano spotkaniu Wielkiej Trójki w Jałcie. Konferencja ta – które *de facto* pieczętowała podział terytorium Polski i jej podporządkowanie Sowietom – była kłamliwie przedstawiana jako sukces dyplomacji radzieckiej dającej Polsce niepodległość. Informacji tej towarzyszyło zdjęcie premiera Wielkiej Brytanii, prezydenta USA i dyktatora Związku Radzieckiego zrobione przed krymskim pałacem w Liwadii. Polacy do tej historii dopisali własny komentarz:

Wielka Trójka w przerwie konferencji jałtańskiej pozuje do wspólnej fotografii. Gdy fotografowie przygotowują sprzęt, przywódcy chwalać się swoimi papierośnicami. Roosevelt wyciąga srebrną, pokazując wygrawerowany na niej napis: „Prezydentowi – Naród”.

Churchill także się chwali. Wyjmuje kunsztowną srebrną papierośnicę, inkrustowaną kamieniami półszlachetnymi z napisem: „Mojemu premierowi – Król”.

Kolej na Stalina. Ten zrazu się ociąga, ale po chwili pokazuje: przedmiot jest wyjątkowo efektowny, ze złota, inkrustowany kamieniami szlachetnymi – robota najlepszych jubilerów. Na wieczku wygrawerowano dedykację: „Potockiemu – Radziwiłł”.

Pamiętając, że w tym samym czasie specjalne oddziały Armii Czerwonej od miesięcy prowadziły regularną grabież na terytorium polskim, nie sposób nie uznać, że żart ten, choć całkowicie fikcyjny, trafnie oddawał rzeczywistość...

AZ

